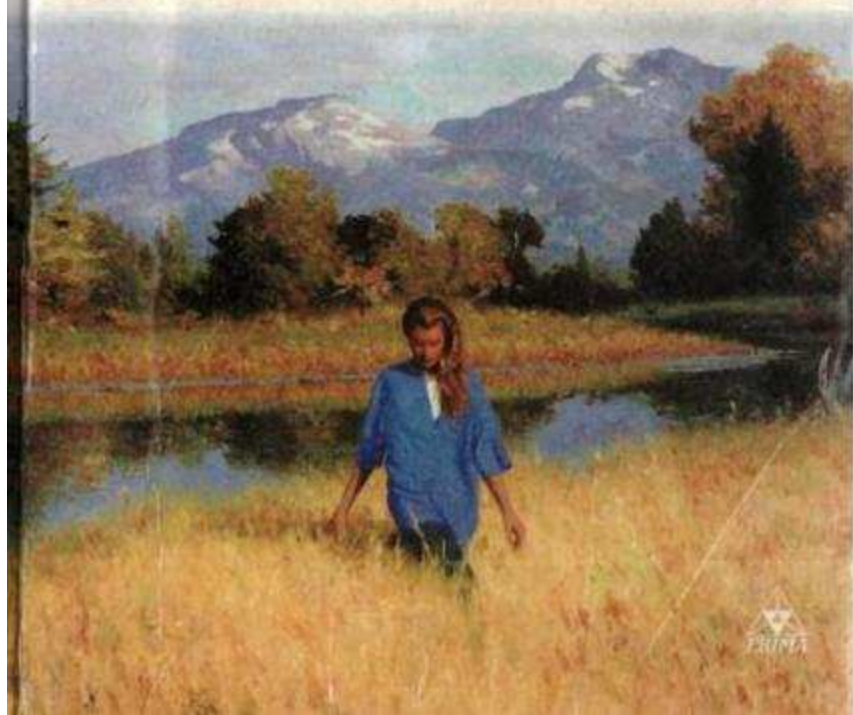


MARY STEWART

POWIEDZ CHOĆ SŁÓWKO



PRAGA

Młoda Angielka Charity Selborne przyjeżdża do Awinionu na wakacje. Poznaje tam piękną Loraine podróżującą z trzynastoletnim pasierbem Davidem. Richard Byron, ojciec chłopca, został niedawno uniewinniony z zarzutu zabójstwa; teraz poszukuje swojego syna. Charity spotyka Richarda i – aby chronić Davida – naprowadza go na fałszywy trop. Wkrótce jednak przekonuje się, że Richard jest rzeczywiście niewinny. Co więcej, zagraża mu śmierć ze strony prawdziwych zabójców – współników Loraine – którzy zamierzają wykorzystać Davida jako przynętę. Charity postanawia pomóc Richardowi i wplątuje się w przygodę obfitującą w niebezpieczeństwa.



MARY
STEWART

POWIEDZ CHOĆ
SŁÓWKO

Przełożyła
BARBARA GENDROWSKA



WARSZAWA 1997

Tytuł oryginału: MADAM, WILL YOU TALK?

Copyright © 1955 by Mary Stewart

Copyright © for the Polish edition by PRIMA 1997

The right of Mary Stewart to be identified as the author of this work has been asserted by her

First published in English language by Hodder & Stoughton Ltd.

Copyright © for the Polish translation by Barbara Ceodrowska 1997

Cover illustration © Gary Blythe/Artists Partners Ltd.

Redakcja: Anna Calikowska

Redakcja techniczna: Janusz Festur

Komputerowe opracowanie okładki: Witold Kiiatnierzcyk/Plus 2

ISBN 83-7186-038-2

PRIMA Oficyna Wydawnicza sp, z o.o.

Świętokrzyska 30/55, 00-116 Warszawa

Adres do korespondencji: skr, poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

tel./fax 624-89-18

E-mail:

wydawnictwo@prima. waw.pl

Internet:

<http://www.prinMLwaw.pl>

Dystrybucja/informacja handlowa: „Internovator”

Cybernetyki 19, 02-677 Warszawa tel./fax (22)-843-10-85, tel. (22)-647-38-57

Sprzedaż wysyłkowa dla odbiorców indywidualnych:

Księgarnia Wysyłkowa Faktor skr. poczt. 60, 02-792 Warszawa 78

tel. 22-649-55-99

Warszawa 1997. Wydanie I

Objętość: 12 ark, wyd., 16 ark, druk.

Skład: Zakład Poligraficzny „Kolonel”

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, Koszalin

Rodzicom

ROZDZIAŁ I

Wchodzi czterech czy pięciu aktorów

Cała historia zaczęła się bardzo niewinnie. Gdy latem napisałam do mojej przyjaciółki Louise, proponując jej wspólną podróż samochodem po Prowansji, ani mi w głowie nie powstało, że wystawiam ją tym samym na niebezpieczeństwo. I gdy po dniu niespiesznej jazdy w upale przybyliśmy do uroczego, otoczonego murami Awinionu, czułyśmy się nieco zmęczone, lecz ożywił nas dreszczyk oczekiwania, który chyba zwiastuje początek każdych normalnych wakacji.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, na zwieńczonych machikułami murach nie kładły się ponure cienie. Gdy przez Porte de la République wjechałyśmy na oblany słońcem Cours Jean-Jaurès, nie obrzucił nas przenikliwym spojrzeniem żaden tajemniczy nieznajomy. A kiedy dotarłyśmy wreszcie przed Hôtel Tistet-Védène, w którym zamówiłyśmy pokoje na większą część pobytu, nie przejął nas nawet najlżejszy dreszcz trwożnego przeczucia.

Nuciłam nawet pod nosem, odstawiając samochód, a kiedy jeszcze się okazało, że otrzymałam pokój z balkonem, z którego rozpościerał się widok na ocienione podwórze, byłam bardzo zadowolona.

Także później, kiedy na mój balkon wskoczył kot, nic nie wskazywało na to, że to początek dziwnej, niemiłej i zawikłanej afery. A raczej nie początek całej intrygi, lecz tylko mojego epizodu, ponieważ w tym właśnie momencie wypadło mi pojąć się

na scenie. I chociaż udział w tej tragedii zupełnie odmienił moje życie, odegrałam w niej bardzo niewielką rolę — po prostu pojawiłam się na scenie w ostatnim akcie. Sztuka dobiegała już bowiem końca, wyczerpawszy wszystkie wątki z repertuaru krwawej tragedii: miłości, pożądania, zemsty, strachu i morderstwa — zabrakło tylko Ducha. A teraz morderca z okrwawionymi dłońmi kryje się za kulisami, czekając, aż znowu zapłoną światła, by w ich blasku dokonać ostatniej zbrodni, po której kurtyna opadnie już na zawsze.

Skąd mogłam wiedzieć, że w to urocze, spokojne popołudnie większość aktorów zgromadziła się właśnie w owym schludnym, skromnym prowansalskim hoteliku? Dokładniej mówiąc, wszyscy prócz jednego, żywiącego mordercze zamiary. Ale i on nie był tak daleko i pod palącymi promieniami południowego słońca sunął po mrocznym kręgu swego prywatnego piekła. A krąg ten zawęził się stopniowo do notera Tistet-Védène w Awinionie.

Nie mając o tym pojęcia, powoli i starannie rozpakowywałam swoje rzeczy, Louise tymczasem leżała na moim łóżku z papierosem w ustach i rozprawiała o komarach.

— Dwa tygodnie — mówiła z rozmarzeniem. — Całe dwa tygodnie. I nic do roboty, tylko pić i wylegiwać się w słońcu.

— Nic nie będziesz jadła? Jesteś na diecie?

— Jedzenie? Aach, już prawie zapomniałam, co się z tym robi. Ale podobno we Francji nadal hoduje się bydło na steki. Ciekawe, jak poradziłabym sobie z befsztykiem.

— Musisz zabierać się do niego stopniowo. — Podniosłam jedną z opuszczonych żaluzji, osłaniających pokój przed ostatnimi promieniami popołudniowego słońca. — Pewnie kelner najpierw was sobie przedstawi, tak jak się mówi: „Alke — Louise”, tak powie: „biftek, biftek, Louise”. Potem oboje się uklonicie i uroczyste zostanie wniesiony befsztyk.

— We Francji oczywiście nie dostaniemy puddingu na deser — westchnęła Louise. — Jakoś trzeba będzie sobie radzić. Czy jak podnosisz żaluzję, nie wpuszczasz komarów?

— Jeszcze za wcześnie. Poza tym po ciemku nie mogę rozwieść rzeczy. Czy mogłabyś skończyć tego papierosa albo go zgasić? Śmierdzi.

— Przepraszam. — Podniosła go z popielniczki. — Nawet palić mi się nie chce. Ostrzegam cię, że nie idę zwiedzać. Nie obchodzi mnie, czy Juliusz Cezar atakował miasto ani czy miotał kamienne kule przez wejście do portu. Jeśli chcesz podziwiać rzymskie pozostałości, musisz pójść sama. Ja posiedzę z książką pod drzewem możliwie blisko hotelu.

Roześmiałam się i zaczęłam wyklądać kremy i olejki do opalania na coś, co zdaniem hotelu Tistet-Védène miało uchodzić za toaletkę.

— Wcale się nie spodziewałam, że ze mną pójdziesz. Zrobisz, jak będziesz chciała. Ale uważam, że Pont du Gard...

— Moja droga, widziałam wiadukt Holborn. Życie nie kryje już dla mnie więcej...

Louise zgasiła papierosa i splotła ręce za głową. Wysoka, ładna i pulchna, miała długie nogi, przyjemny głos i piękne ręce. Była artystką praktycznie pozbawioną temperamentu i wyróżniała się niewypowiedzianym i nieuleczalnym lenistwem. Gdy czyniono jej z tego zarzut, odpowiadała, że podchodzi do życia ze spokojem, chłonąc wszystkie jego przejawy, a to wymaga czasu. Nie można jej było zirytować ani zadziwić, a z pewnością nikomu nie udałooby się z nią pokłócić. Jeśli zdarzały się jakieś kłopoty, Louise po prostu przy nich nie było, znikiała niczym kot z Cheshire i powracała, z niewzruszoną pogodą ducha, ledwie burza zdążyła się przewalić. Również niczym kot Louise zachowywała spokojną niezależność, choć pozbawiona była kociej ciekawości. A choć z wyglądu przywodziła na myśl te wielkie, rozlazłe dziewczuchy, które z reguły odznaczają się niechlujstwem — takie, co to gaszą papierosa w słoiczku z kremem i nigdy nie czyszczą płaszczu z włosów — była zawsze przepięknie zadbana, a ruchy miała delikatne i precyzyjne. Jak kot. Lubię koty. Jak się przekonacie, mam z nimi wiele wspólnego, zresztą ze Słoniątkiem również.

— W każdym razie — rzekła Louise — ruin i zabytków mam dość na całe życie. Mieszkam wśród nich.

Wiedziałam, o co jej chodzi. Nim wyszłam za Johnny'ego Selborne'a, ja również uczyłam w Prywatnej Szkole dla Dziewcząt Alice Drupe. Znajduje się w West Midlands i nic więcej na jej temat nie mogę powiedzieć, nie narażając się na ciężki proces o zniesławienie. Louise nadal wykladała tam przedmioty artystyczne, a zdrowie i równowagę psychiczną zdołała zachować dzięki opisanemu wyżej zwyczajowi usuwania się z niespokojnej strefy. W przybytku Alice Drupe postępowała w ten sposób, kiedy się tylko dało. Nawet tam podchodziła do życia ze spokojem. A w każdym razie miała się na bacności, gdy życie podchodziło do niej.

— Nie bądź taka pewna — ostrzegłam ją. — W restauracji na dole możesz natknąć się na Lloyda-Lloyda i Merridewa, którzy sączą tam pernod.

— Ale nie razem, złotko. Już ze sobą nie rozmawiają... Wielka Waś sparaliżowała szkołę na całe tygodnie... — urwała i zmarszczyła nos. — I nie pernod, Charity, wodę Vichy. — Zapaliła następnego papierosa.

— A co się stało?

— Ach, pewnie Merridew wywiesił jakieś ogłoszenie, nie zapytawszy o zgodę Lloyda albo Lloyd wywiesił coś bez zgody Merridewa, albo zrobili coś równie przerażającego — rzekła obojętnie. — Mnie przy tym nie było.

Jasne, że nie.

— Głupoty — powiedziałam zupełnie szczerze.

Louise zgrabnie strąciła popiół do popielniczki i obróciła złotą główkę na poduszce.

— Owszem, ty możesz tak powiedzieć. Wyrwałaś się stamtąd na dobre. Szczęściara z ciebie.

Nie odpowiedziałam. Delikatnie odłożyłam fotografię Johnny'ego do walizki, gdzie się na nią natknęłam, i wyciągnęłam sukienkę. Strzepnęłam ją i rozłożyłam na krześle, gotową do włożenia. Wydawało mi się, że nie zmieniłam wyrazu twarzy. Ale Louise знаła mnie dość dobrze. Zdusiła papierosa.

— O Boże, Charity, przepraszam — mruknęła zmienionym głosem. — Zapomniałam. Co ze mnie za idiotka.

— Nie przejmuj się — starałam się mówić możliwie beztrzesko. — Ja już przestałam.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Upłynęło tyle czasu. Chyba nie uważasz mnie za zwariowaną histeryczkę. I, jak słusznie zauważyłaś, naprawdę mam szczęście — uśmiechnęłam się do niej. — W końcu jestem bogatą wdową... Spójrz tylko.

— Rany boskie! Jaka fantastyczna bielizna!

I, Bogu dzięki, rozmowa znowu zesłała na sprawy naprawdę ważne.

Gdy Louise poszła do swego pokoju, umyłam się, przebrałam w białą sukienkę z szerokim niebieskim paskiem, po czym bardzo powoli zrobiłam makijaż i ułożyłam włosy. Nadal było gorąco, a wiązka miedzianozłotych promieni wpadała skośnie przez balkon i na pół odsłonięte żaluzje. Nieruchome cienie drobnych listków rysowały na nich wzór równie subtelny i precyzyjny co chińskie malunki na jedwabiu. Rzutowany przez słońce cień drzewa miał wdzięk, jakiego trudno byłoby dopatrzeć się w jego pierworzorze — bezimiennym drapaku, który, wyschnięty i pokryty grubą warstwą kurzu, mozolnie piął się ku niebu z donicy na hotelowym podwórku. Ale jego cień mógł być projektem Ma Yüana.

Na dziedzińcu panowały pustki, goście nadal jedli lub przebiegali się, tylko szaleni Anglicy spacerowali w popołudniowym słońcu. Pomalowana na biało krata parkanu oddzielała z jednej strony dziedziniec od ulicy, gdzie po wąskiej jezdni ludzie, muły, samochody, a od czasu do czasu nawet autobusy podążały gdzieś w swoich sprawach. Lecz w obrębie porośniętego winoroślą ogrodzenia było bardzo cicho i spokojnie. Żużel między zabawnymi krzeselkami starannie zagrabiono i polano wodą, cienie łagodnie kładły się na stolikach. Na niektórych, nakrytych do kolacji, zachęcająco

połyskiwało szkło i srebra. Jedynym żywym stworzeniem na podwórku był chudy, ryży kot, zwinięty wokół pnia drapakowatego drzewa niczym — jak on się zwał? Nidhug? — wokół Yggdrasilu.

Usiadłam przy na pół przesłoniętym oknie i zaczęłam się zastanawiać, dokąd by jutro powędrować.

Oczywiście most w Awinionie, na którym „tańczą panowie, tańczą panie”, potem sam Awinion i Pont du Gard — choć ja również widziałam Holborn Viaduct. Sięgnęłam po przewodnik Michelina po Prowansji i wpatrzyłam się w widniejący na okładce rysunek wielkiego akweduktu.

Jutro — powiedziałam sobie — nie będę się przemęczać. Przejdę się wokół wałów i pałacu papieskiego. A później, pojutrze...

Lecz wtedy do akcji wkroczyło przeznaczenie, które przybrało postać Nidhuga.

Przyszła pora, bym wygłosiła swoją kwestię. Musiałam wejść na scenę.

Otrzymałam już pierwszy sygnał — cienie na balkonie gwałtownie zadrzały. Chiński wzór zadrzał, rozprysnął się i ułożył w obraz rozczapierzonej miotły jakiejś wiedźmy — drzewo Yggdrasil zatrzęsło się bowiem i przygięło gwałtownie pod ciężarem, którego z powodu swej lichości nie powinno było dźwigać. Potem ryży kot wskoczył na mój balkon, okręcił się wokół swego ogona na przestrzeni wielkości sześciopensówki, posłał swemu napastnikowi mordercze spojrzenie i usiadł spokojnie, by się umyć. Nagły ruch na dole oraz dzikie ujadanie wyjaśniało wszystko.

Potem dał się słyszeć trzask oraz stukot biegnących nóg.

Kot ziewnął, poprawił wąs, ze znużeniem wdrapał się po rynnie o nieprawdopodobnym kształcie i zniknął na dachu. Podniosłam się i wyjrzałam z balkonu.

Podwórko, poprzednio tak opustoszałe i spokojne, wypełniło się nagle, choć znajdowali się na nim jedynie chłopiec i nieokreślonej rasy pies. Zwierzę, nadal z przejęciem wpatrzone w balkon, na próżno usiłowało doskoczyć do niedoszłej ofiary. Rozgorączkowane, niespokojne, zionęło gniewem i nienawiścią. Chłopiec

tymczasem jedną ręką usiłował go pochwycić i uciszyć, a drugą podnieść przewrócony na bok stół, szczęśliwie nie nakryty do obiadu.

Żeliwny stół był bardzo ciężki, toteż chłopiec miał pewne trudności. W końcu puścił psa i wzięwszy się do roboty obiema rękami, zdołał unieść mebel do połowy. I wówczas pies, który najwyraźniej nie był stworzeniem zbyt bystrym, niemniej jednak upartym, zorientował się, że zdobycz uszła z balkonu i zaczął jak szalony miotać się we wszystkich kierunkach. Rzucił się na chłopca. Stół z hukiem walnął z powrotem na ziemię.

— Och, Rommel! — usłyszałam ze zdumieniem.

Zanim zdążyłam zdecydować, w jakim języku się odezwał, chłopiec podniósł wzrok i ujrzał mnie. Wyprostował się, odgarnął włosy z czoła i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— *J'espère* — powiedział, starannie wymawiając słowa — *que ce n'était pas votre chat, mademoiselle?*

Oczywiście rozstrzygnęło to natychmiast sprawę jego narodowości, ale przecież mam poczucie taktu. Potrząsnęłam głową.

— Nie znam zbyt dobrze francuskiego — odparłam. — Czy mówi pan po angielsku, *monsieur!*

Był najwyraźniej zadowolony.

— Prawdę mówiąc, jestem Anglikiem — przyznał. — Przestań, Rommel! — Mocno pochwycił psa. — Chyba nie zrobił kotu krzywdy? Widziałem, jak wskoczył na balkon.

— Nie wyglądał na szczególnie nieszczęśliwego.

— A więc wszystko w porządku. Nie mogę mu wytłumaczyć, że ma się zachowywać przyzwoicie... Jak przystoi cudzoziemcowi. Śmiesznie być cudzoziemcami, prawda?

Przyznałam, że też tak uważam.

— Przyjechała pani niedawno?

— Owszem, koło czwartej.

— Więc nie zdążyła pani jeszcze zwiedzić Awinionu. Zabawne miasteczko. Ciekawe, czy się pani spodoba.

— Podobało mi się to, co zdążyłam zobaczyć do tej pory. A tobie jak się tu podoba?

Była to najbanalniejsza w świecie pogawędka, jednakże rysy małego uległy dziwnej zmianie, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią. Z tej odległości nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy, lecz bezsprzecznie nie sprawiał wrażenia szczęśliwego chłopaczka — przypuszczałam, że może mieć najwyżej trzynaście lat — który spędza fantastyczne wakacje na południu Francji. Właściwie prócz zewnętrznych atrybutów — zmiętej koszulki, poplamionych spodenek i kundla — zupełnie nie przypominał przeciętnego wyrostka. Nawet gdy prawił najbanalniejsze uprzejmości, jego twarz zdradzała poczucie humoru i żywą inteligencję, lecz teraz włożył maskę i sprawiał wrażenie starszego. Jakieś niewyczuwalne brzemie w sposób niemal widoczny obciążało mu ramiona. Mimo młodzieńczej wrażliwości w zarysie ust i dziecięcej szczupłości przegubów i rąk, czuło się, że sprostałby całkiem dorosłym wyzwaniom, że da odpór najsilniejszemu atakowi. Wiedział, że ciąży na nim brzemie i gotów był je dźwigać. Widać, że proces hartowania jego ducha trwał już od jakiegoś czasu. Patrząc na pochyloną nad tym beznadziejnym psem osamotnioną sylwetkę, pomyślałam sobie, że nie musiał to być proces przyjemny, i poczułam nagły gniew.

Lecz ponury nastrój opuścił chłopca równie szybko, jak go opadł — w istocie tak szybko, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie poniosła mnie wyobraźnia.

— Oczywiście, że mi się podoba. Rommlowi nie. Za gorąco. Lubi pani upał? — Znowu zaczęliśmy gawędzić. — Miały dziś przyjechać dwie Angielki, to pewnie panie, pani Selborne i panna Apple?

— Cray. Pani Selborne to ja.

— Tak, oczywiście. — Uśmiechnął się nagle jak mały chłopczyk. — Nie mam pamięci do nazwisk, więc usiłuję je zapamiętać metodą... metodą skojarzeń. Czasami wszystko mi się myli. Ale pani nazwisko zapamiętałam z powodu Gilberta White'a.

Większość ludzi dostrzegłaby związek między Cray i Apple — dwiema słynnymi markami komputerów, lecz wydawało mi się,

że niewielu trzynastolatków posiada tak dogłębną znajomość listów Gilberta White'a, opatrzonych wspólnym tytułem „Krajobrazy Selborne”. Nie myliłam się co do jego inteligencji. Ja sama znałam tę książkę tylko dlatego, że człowiek z natury rzeczy chce poznać wszelkie materiały, w jakich pojawia się jego nazwisko. A ponieważ Johnny...

– Mam na imię David – powiedział chłopiec. – David Shelley.

Roześmiałam się.

– To przynajmniej łatwo zapamiętać. Miło mi cię poznać, Davidzie. Gdybym zapomniała, po prostu pomyślę o poetach romantycznych. Ale nie pogniewaj się, jeśli nazwę cię Davidem Byronem albo...

Urwałam raptownie. Wyraz twarzy chłopca, uśmiechającego się do mnie uprzejmie, znowu się zmienił. Tym razem nie mogłam się mylić. Zesztywniał nagle, fala czerwieni oblała go od karku do skroni, po czym równie nagle ustąpiła. Wyglądał bardzo blado i mizernie. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i zaczął majstrować przy obroży psa. Potem z wysiłkiem przesłał mi uprzejmy, nie nieznaczący uśmiech i znowu pochylił się nad psem, szukając po kieszeniach sznurka, by przywiązać kundla.

Zdaje się, że popełniłam błąd. Ale słusznie wyczuwałam, że dzieje się tu coś bardzo złego. Nie należę do osób, które chętnie wtykają nos w cudze sprawy, lecz nagle, gwałtownie i niepostrzeżenie zapragnęłam właśnie w tę sprawę się wtrącić.

Nie ma co się zastanawiać; na pewno to zrobię.

Ale nie w tej chwili. Zanim zdążyłam się odezwać, przeszkodziła mi kobieta, która weszła z ulicy przez bramę w porośniętym winoroślą parkanie. Mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Była wysoką blondynką i chyba najpiękniejszą niewiastą, jaką widziałam w życiu. Prostą kremową suknię, w którą była ubrana, wymarzył sobie chyba Dior w przypływie wyjątkowego natchnienia,

a rachunek za nią musiał przyprawiać męża blondynki o koszmary senne. Ponieważ sama jestem kobietą, olbrzymi szafir spostrzegłam na palcu jej lewej ręki niemal jeszcze wcześniej, niż ujrzałam ją samą.

Nie zauważyła mnie, ale to absolutnie naturalne. Ujrawszy Davida i psa, przystanąła na chwilę, po czym podeszła z gracją tak przykuwającą wzrok, że obejrzeliby się za nią wszyscy przechodnie w deszczowy poniedziałkowy poranek na Picadilly w Manchesterze. Wolałam nie myśleć, jak zareagowaliby na to mężczyźni w Prowansji, których ulubionym hobby jest przyglądanie się kobietom. Oczyma duszy widziałam kafejki na Rue de la République, pustoszące, gdy przechodziła tamtędy, podobnie jak pustoszyły domy w Hamelin, gdy mijał je Szczurołap (opuszczali je, co prawda, innego typu goście).

Przystanąła przy przewróconym stoliku.

— Davidzie — odezwała się.

Miała przyjemny głos, jej angielski był bez zarzutu, lecz akcent zdradzał Francuzkę. Nie było odpowiedzi.

— *Mon fils...*

Więc jest jej synem? Nie podniósł wzroku.

— Wiesz, która godzina? — spytała tym samym, spokojnym tonem. — I co, na miłość boską, dzieje się z tym stołem?

— Rommel go przewrócił.

Odwrócona głowa i to ponure mamrotanie były zarazem niegrzeczne i zdumiewające. Nie zwróciła uwagi na jego impertynencję, lecz lekko dotknęła go w ramię.

— No więc go postaw, kochanie. I idź się przebrać. Niedługo będzie kolacja. Gdzie dzisiaj byłeś?

— Nad rzeką.

— Jak możesz... — roześmiała się, wzruszając ramionami, jak typowa Francuzka, po czym sięgnęła do torebki po papierosa. — Postaw stolik, dziecko.

David zaprowadził opierającego się Rommla do drzewa i zaczął przywiązywać go do pnia.

— Nie dam rady go podnieść — powiedział apatycznie.

— Pani pozwoli, *madame* — wtrącił się gładko inny głos.

Mężczyzna, który niepostrzeżenie wyłonił się z hotelu, był ciemnowłosy i niesłychanie przystojny. Jego ubranie, wygląd, nie mniej niż głos nieomylnie świadczyły, że jest Francuzem. Sprawiał wrażenie niesłychanie męskiego, a zarazem wyrafinowanego, co stanowi mieszkankę piorunującą. Tym dziwniejsze zdało się więc, że podziękowała mu zdawkowo, po czym nie zwracała już nań najmniejszej uwagi — zapaliła papierosa, nie spojrzawszy w jego kierunku, chociaż dałabym sobie głowę uciąć, że nie należy do kobiet nieczułych na męski urok. Nowo przybyły uśmiechnął się do Davida, podniósł stół bez śladu wysiłku, ustawił go równo, po czym otrzepał ręce chusteczką.

— Dziękuję panu — powiedział David. Zaczął odwiązywać Rommla od drzewa.

— *De rien* — powiedział Francuz. — *Madame*.

Sklonił się lekko w jej kierunku, co skwitowała zdawkowym uśmiechem, i poszedł do swego stolika w przeciwnym kącie podwórka.

— Jeśli ci się spieszy — odezwała się matka do Davida — możesz iść pierwszy do łazienki.

Chłopiec bez słowa powlókł się do hotelu, ciągnąc za sobą na sznurku dziwnie spotulniałego psa. Kobieta patrzyła przez chwilę w jego kierunku, na poły ze zdziwieniem, na poły z irytacją. Potem uśmiechnęła się, lekko wzruszając ramionami i poszła w ślad za synem.

Francuz również mnie nie zauważył — pochyliwszy przystojną głowę nad zapalką, zapalał papierosa. Cofnęłam się cicho przez drzwi balkonowe do pokoju, zastanawiając się nad tą nieco zagadkową scenką. Istota przywodząca na myśl największe gwiazdy filmowe i nędzne psisko... Christian Dior i Gilbert White... ona była Francuzką, chłopiec zaś wyraźnie miał akcent pochodzący z głębokiej angielskiej prowincji... i zachowywał się wobec niej niegrzecznie, choć w stosunku do obcych był czarująco uprzejmy.

Ale to przecież nie moja sprawa.

Wzięłam torebkę i zesłam na dół, by się czegoś napić.

ROZDZIAŁ II

Wtedy mi w głowie mroczna myśl powstała o zbrodni...
(Chaucer)

Niewielkie podwórko zaczęło się właśnie wypełniać gośćmi. Louise jeszcze nie było, znalazłam więc stolik w cieniu i zamówiłam cinzano.

Rozejrzałam się z rezygnacją, pogodziwszy się z myślą, że prawie wszyscy mieszkańcy hotelu najprawdopodobniej również będą Anglikami. Ale otaczająca mnie gromadka wyglądała na dość urozmaiconą. Zaczęłam zgadywać, jakie zawody reprezentują poszczególni jej członkowie — i, oczywiście, jakie narodowości. W tej grze rzadko się trafia i zazwyczaj uprawiają ją zadufki, głoszące wszem i wobec, że są badaczami ludzkiej natury... ale zabaawiałam się dalej.

Dwaj mężczyźni przy sąsiednim stoliku to Niemcy. Jeden był szczupły i wyglądał inteligentnie, drugi, o byczym karku, przypominał typowego Szwaba z kreskówek. A gdy usłyszałam, jak mówi do swego towarzysza: „Ach, so?”, właściwie nie musiałam już myśleć zbyt intensywnie, by zyskać pełny obraz obu kompanów. Znajdowała się tam też młoda para, najprawdopodobniej z Ameryki, przypuszczalnie spędzająca we Francji miodowy miesiąc. Przy narożnym stoliku siedział przystojny Francuz, samotnie sącąc pernod, przy ogrodzeniu zaś inny mężczyzna, również bez towarzystwa, czytał książkę, ostrożnie i z niedowierzaniem pociągając jasnozielony napój. Długo nie potrafiłam go rozszyfrować — tyle było możliwości — póki nie zobaczyłam tytułu książki. „Cztery

kwartety” T. S. Eliota. To rozstrzygało sprawę. Były też dwie inne grupy, na temat których nie mogłam sobie wyrobić jednoznacznego poglądu. W tym momencie dołączyła do mnie Louise.

— Nie mogłam się napić — żaliła się, z wielką jak na nią goryczą. — Przettrzymała mnie *patronne*, absolutnie przekonana, że nie mogę się doczekać, by poznać historię, stan interesów oraz genealogię każdego gościa. A przy okazji, umierała z ciekawości, żeby się dowiedzieć czegoś o nas.

Gdy przyniesiono jej wermut, podniosła go do światła z pełnym zadowolenia westchnieniem.

— *L'heure de l'apéritif*. Cóż to za miły zwyczaj. Aha, to musi być *monsieur* Paul Véry. — Spojrzała na Francuza przy narożnym stoliku. — Jest tak przystojny, że kobiety zabijają się z jego powodu... w każdym razie tak powiada *madame*. Nie można tego chyba odnieść do nikogo innego z obecnych. Na stałe mieszka w Paryżu. Zajmuje się handlem antykami czy czymś w tym rodzaju.

— To niezwykle ekscytujące.

— Drugi samotny mężczyzna jest Anglikiem, dyrektorem szkoły. Nazywa się John Marsden, bez wątplenia prowadzi drużynę skautów i jest abstynentem.

— Dlaczego tak uważasz, na miłość boską? — spytałam przeżona.

— Bo — odparła kostycznie Louise — każdy samotny mężczyzna, z którym ostatnimi czasy miałam do czynienia, okazywał się właśnie takim harcerzykiem, a do tego złożył śluby czystości. Tak się mówi: „złożyć śluby czystości”?

— Chyba tak.

— W każdym razie za tego tam bym się nie zabiła. Dlaczego jest taki poważny? Czyta „Zmierzch i upadek Cesarstwa Rzymskiego”?

— T. S. Eliota. „Cztery kwartety”.

— No tak — skwitowała to Louise, która uważa, że bez poezji można się obejść. Pan Marsden przestał się liczyć.

— A ta para to chyba Amerykanie? — spytałam.

— Tak. Nazywają się Cornell... a może przyjechali z Cornell? Moja francuszczyzna nie stała tu na wysokości zadania. A mama i papa pod palmą świeżo przybyli z Newcastle w Szkocji.

— Ze Szkocji? — spytałam tępo.

— Tak poinformowała mnie *madame*. „Skocia lezi na południu Anglii, *n'est-ce pas!*” Córeczka jest niebrzydka, nie uważasz? Królowa MTV.

Obejrzałam się ostrożnie. Para pod palmą mogłaby pozować do portretu Średniozamożnych Anglików Za Granicą. Ubrani, jak tylko Brytyjczycy ubierają się w bardzo gorącym klimacie — w te same rzeczy, które wzięliby ze sobą na dwutygodniowe wakacje na północno-wschodnim wybrzeżu Anglii — sączyli drinki z rozważnym ukontentowaniem, wpatrując się w swą siedemnastoletnią córkę takim wzrokiem, jakim mogłoby spozierać ptactwo domowe, gdyby nagle wysiedziało flaminga. Najogłędniej mówiąc, sprawiała wstrząsające wrażenie. Wyglądałaby uroczo w dobrym, brytyjskim stylu, gdyby nie kryła swej urody za grubą firaną prostych włosów, szesanych na jedną stronę. Zza owej zasłony błyskało oko, umalowane na tak intensywny błękit, że prawie niknęło pod makijażem. Szkarłatne paznokcie, sandały na cienkim jak szpilka obcasie, wydekoltowana, ściśle przylegająca do ciała kwiecista sukienka oblepiała w zupełnie nieprawdopodobny sposób zupełnie nieprawdopodobną figurę... Do Awinionu *via* Scotswood Road przybył Hollywood. A cała ta bateria, naładowana sporą porcją wdzięku, swą skoncentrowaną moc wysyłała wyraźnie w którymś kierunku.

— Facet w rogu... — powiedziała Louise, prawie nie poruszając ustami.

Zerknęłam w kierunku *monsieur* Paula Véry'ego, który wykazywał całkowitą obojętność na przedsiębrane z myślą o nim wysiłki. Lekko zmarszczywszy brwi, stopką kieliszka kreślił wzór na blacie stołu z takim skupieniem, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie.

— Obawiam się, że mała traci czas — rzuciłam, a choć Francuz

absolutnie nie mógł mnie usłyszeć, podniósł oczy i napotkał moje spojrzenie.

Przez dłuższą chwilę ostentacyjnie wpatrywał się we mnie chłodnym, taksującym wzrokiem, po czym, równie ostentacyjnie uniół kieliszek i pociągnął łyk, nadal nie odrywając ode mnie spojrzenia. Odwróciłam od niego oczy i zaczęłam gapić się na tłusty kark Niemca, modląc się w duchu, by nie pokryć się pąsem.

— Rzeczywiście traci czas — rzekła cicho Louise. Spojrzała na mnie, z rozbawieniem unosząc brwi. — Tu napotkał silniejszy magnes.

— Nie opowiadaj głupstw — powiedziałam dość szorstko. — I, na miłość boską, przestań sobie wyobrażać nie wiadomo co. Pamiętaj, że to Prowansja, a jeśli kobieta wpatruje się w mężczyznę i daje się na tym złapać, to sama jest sobie winna. Oni mówią na to *oeillade*, co oznacza pożądlive spojrzenie.

— Niech będzie — zgodziła się pogodnie Louise. — W każdym razie tyle dowiedziałam się od *madame*. Ta druga grupka to Szwajcarzy. Kto z wyjątkiem Amerykanów mógłby sobie pozwolić na tak olśniewająco wulgarny samochód? Zresztą są tylko *en passant*. Na dłużej zatrzymała się tylko pani Bristol, która jest albo wdową, albo rozwódką. *Et voilà tous*. Napijemy się jeszcze?

Potem pojawiła się blondynka, zgrabnie lawirując między stolikami, by zasiąść przy parkanie dwa stoliki od pana Marsdena. Założyła jedną, niezwykle elegancko opończoszoną nogę na drugą, wyjęła papierosa i uśmiechnęła się do kelnera. Powstało małe zamieszanie, z którego wykryształizowały się trzy odrębne inicjatywy — gruby Niemiec, minimalnie wyprzedzając kelnera i pana Marsdena, podał jej ogień. Ale pan Marsden wygrał na punkty, bo zapalniczka Niemca się zacięła, a Marsden miał zapalkę. Piękność uśmiechnęła się do Byczego Karku, zamówiła drinka i rzuciła panu Marsdenowi spojrzenie, które przyćmiło płomień zapalki. W każdym razie poważne dzieło przez jakiś czas trzymał odwrócone do góry nogami. Miałam rację co do Szczurołapa.

— „Złożył śluby czystości” stanowczo nie było właściwym określeniem — odezwała się Louise. — Ona musi być panią Bristol.

Już miałam zaoponować, gdy pojawił się kelner, pomykający z szybkością zwycięzcy derby.

— Drink dla pani Bristol.

Z ukłonem postawił go na stoliku i oddalił się pospiesznie.

Usadowiwszy się wygodnie na krześle, piękność potoczyła wzrokiem dookoła. Z bliska wyglądała równie uroczo, co mówi bardzo wiele. Była to starannie pielęgnowana, egzotyczna uroda, przywodząca na myśl niezwykle kwiat. Wiem, że to wytarta metafora, lecz chyba najlepiej oddająca jej czar... Skórę miała niezwykle gładką, a ciężki zapach perfum był najwyraźniej jej nieodłącznym atrybutem. Zauważyłam, że ma duże oczy o niezwykłym, promiennym odcieniu błękitu. Jej ręce pozostawały w bezustannym ruchu, a w kącikach oczu i ust troska zarysowała cienkie zmarszczki. Pogłębiły się nagle, gdy ją obserwowałam, a potem zdałam sobie sprawę, że z hotelu wyszedł David. Kroczył w ślad za kelnerem, który niósł kolejnego drinka dla Louise, a gdy chłopiec mijał nasz stół, przesłał mi na poły przepaszający uśmiech, którego kobieta chyba nie zauważyła, bo kelner akurat zasłonił Davida przed jej wzrokiem. Kiedy siadł naprzeciwko niej, na twarzy małego znowu pojawił się ten dziwnie ponury wyraz. Spojrzała z aprobatą na czyste szorty i białą koszulę, po czym powiedziała coś, na co nie odpowiedział. Przez chwilę wpatrywała się w jego pochyloną głowę, lecz potem jej wzrok znowu pobiegł ku innym stolikom.

Miejsca zaczęły się teraz gwałtownie zapełniać, kelnerzy krążyli, podając karty dań.

— Poznałaś już tego chłopaczka? — spytała Louise. — Czy to kolejne pożądlive spojrzenie?

Odparłam, że rozmawiałam z nim przez chwilę na podwórzu. Z jakichś niezgłębionych powodów nie chciałam o tym mówić i byłam zadowolona, gdy porzuciła ten temat bez dalszych pytań.

— Lepiej coś zamówmy — zaproponowała.

Studiowałyśmy menu ze sporym entuzjazmem...

Lecz gdy Louise zapytała, czy wolę *côte d'agneau* czy *escalope de veau*, z roztargnieniem odparłam „Shelley”, a między *petites pommes de terre sautées* a *tarte maison* stale usiłowałam dopasować uroczą Francuzkę, panią Bristol, do Gilberta White'a, tego przeraźliwego psa oraz wyrazu twarzy dziecka, które najwyraźniej borykało się z czymś, co przerastało jego siły.

I nie chodziło tu o żeliwny stolik.

Po kolacji Louise oznajmiła, że ma zamiar wziąć książkę i przy kawie z koniakiem przesiedzieć cały wieczór. Skoro stworzyła sobie taką wizję przyjemnego spędzenia czasu, postanowiłam na własną rękę ruszyć w miasto.

Awinion szczelnie okalają mury; to urocze miasteczko o zwartej zabudowie od północy i zachodu opływa Rodan, a całe otoczone jest średniowiecznymi obwałowaniami. Memu niewyrobionemu oku wcale nie przeszkadzało, że ogromną część prac konserwatorskich wykonano w dziewiętnastym wieku — nie ujmuje to urody starożytnym zabytkom. Od północy nad miastem góruje Rocher des Doms, stroma masa białych skał, na których zielenią się szumiące sosny, a całość zwieńcza katedra Notre Dame. Za katedrą, skupiając na sobie całe światło, widnieje złocisty, zbudowany z kamienia pałac papieski. Samo miasto rozcina na dwoje pryncypalna ulica, Rue de la République, która od głównej bramy wiedzie wprost do rynku, a potem do Place du Palais, znajdującego się u stóp Rocher des Doms.

Ale o tym miałam się dopiero przekonać. Gdy wyruszyłam, zapadł już zmierzch i ulice były jasno oświetlone. We wszystkich kafejkach panował tłok, a kiedy przeciskałam się między ustawionymi na chodniku stolikami, z wolna zaczęło mnie ogarniać owo rozradowanie, które nieodmiennie zapanowuje w południowych miasteczkach po zmroku. Wystawy sklepowe lśniły i połykiwały wszelkimi luksusowymi dobrami, jakie mógłby sobie

wyobrazić umysł turysty: światła neonów ślizgały się po atlasie, zatapiały w aksamicie i tańczyły po perfumach i klejnotach, a ponieważ w ciągu dwudziestu ośmiu lat mego życia nauczyłam się hartować nieco serce, broniąc je przed zbytnią litością, nie odrywałam wzroku od tych drogocенności, starając się nie myśleć o żebrakach, skamłających po miejskich rynsztokach. Kroczyłam niewzruszenie, starannie unikając wszelkich myśli o tych nieszczęśnikach, póki nie doszłam do końca ulicy, gdzie Rue de la République rozszerza się, przechodząc w główny plac miasta, na którym wieczorem zbiera się cały Awinion. Dałabym głowę, że również wszystkie francuskie dzieci i psy tu właśnie wyznaczyły sobie spotkanie.

Plac szczelnie okalają kafejki, wylewając na wąskie chodniki pianę zabawnych stolików i wiklinowych krzesełek, a nawet, niczym morze, wyrzucając dodatkowe stoliki na drugą stronę jezdni, aż na sam środek placu. Tu, jak już powiedziałam, zbiera się w nocy cały Awinion i za cenę filiżanki kawy, która zapewnia gościowi krzesło, można przesiedzieć choćby i godzinę, patrząc, jak przed oczami oszołomionego turysty paraduje cała Francja.

Zapłaciłam za kawę i napawałam się łagodnym, ciepłym powietrzem. Jak to w Prowansji, nie mogłam nie podziwiać czarujących manier dzieci i niewiarygodnej różnorodności psych ras, urody półnagich młodzieńców o kawowej karnacji, którzy właśnie zeszli z pól, a także pełnego skromności wdzięku młodych dziewcząt. Moją szczególną uwagę zwróciło przesłiczne ciemnowłose stworzenie, które szło powoli, ze spuszczoneymi oczyma. Dziewczyna miała głęboko wydekoltowaną suknię, zmarszczoną wokół bardzo wciętej talii, lecz mimo to przywodziła na myśl zakonnice, gdy z powagą spacerowała między rodzicami — krępą, szacowną parą, która bez wątpienia dokładała wszelkich starań, by córka była równie niedostępna jak Danae. Widziałam, że niejedna para czarnych oczu słała za nią spojrzenia, mówiące dokładnie to samo, co mówiono Bele Yolanz i pięknej Amelot pięć wieków temu, gdy w Prowansji śpiewali trubadurzy.

— Przepraszam — odezwał się za mną kobiecy głos — czy nie spotkałyśmy się już w hotelu?

Odrzuciłam się. Nie opodal przy stoliku siedziała Mamuśka z Newcastle w Szkocji, uśmiechając się do mnie dość niepewnie.

— Nazywam się Palmer powiedziała. — Przepraszam, że tak zagaduję, ale widziałam panią przy kolacji i...

— Ależ bardzo mi miło. Jestem Charity Selborne. — Uniosłam się z filiżanką w dłoni. — Czy mogę się dosiąść?

— Bardzo proszę. — Odsunęła krzesło, by utworować mi drogę. — Ojciec i Carrie poszli się przejść, zbadać teren, jak powiedzieli, ale czasami trwa to tak długo...

— ...a jeszcze bardziej się dłuży, gdy nie ma się do kogo odezwać — dokończyłam za nią.

Rozpromieniła się, jakbym powiedziała coś niezwykle błyskotliwego.

— O właśnie! Trafiła pani w sedno! No i tu nie jest jak w domu, bo wszyscy mówią po francusku, więc człowiek zupełnie inaczej się czuje, prawda?

Przyznałam jej rację.

— Rzecz jasna, gdy w domu idę na filiżankę herbaty — ciągnęła pani Palmer — do Carricka albo do Fenwicka, zawsze znajdzie tam jakąś znajoma i jest z kim pogadać, zanim się wsiądzie do autobusu. Dlatego aż mi głupio, że nikogo tu nie znam, a do tego i tak nie dostanie się herbaty, prawdziwej herbaty, bo jakoś nie mogę się przekonać do tego czegoś, co tu podają z cytryną, a pani?

Powiedziałam, że ja też nie bardzo i że pani Palmer musi być niezwykle dzielna, skoro odważyła się na tak długą podróż, żeby spędzić wakacje.

— Tak naprawdę to Carrie nas namówiła. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby zatrzymać się w takim wspaniałym hotelu. Ale potem pomyślałam: dlaczego nie? Tyle się czyta o południu Francji, więc co za sens jeździć co roku do Scarborough i czytać o południu Francji. Stwierdziłam, że skoro możemy sobie pozwolić na ten wyjazd, to dlaczego nie? No i jesteśmy.

Uśmiechnęłam się do niej, powiedziałam, że rzeczywiście, dlaczego nie, miała świętą rację, a Carrie wpadła na wspaniałą pomyśl.

— Woli, żeby ją nazywać Carole — oznajmiła pospiesznie pani Palmer. — To pewnie od tych filmów. Ubiera się w tym stylu i nie da sobie tego wybić z głowy.

Powiedziałam, że Carole jest śliczną dziewczyną, co było zgodne z prawdą.

— Biedna ta pani Bristol — ciągnęła niestrudzenie pani Palmer. — Wygląda jakby była do tego stworzona. Carrie nigdy to nie spotka. Rzecz jasna, występowała na scenie czy gdzieś tam, zanim To się stało.

Wyprostowałam się.

— Zanim co się stało, pani Palmer?

— Ach, to pani nic nie wie? Od razu ją poznałam. Jej zdjęcie było we wszystkich niedzielnych gazetach. Ma się rozumieć, zanim wyszła za tego potwora.

— Jakiego potwora? Co się stało?

— To morderca — odparła pani Palmer, zniżając głos do szepotu. — Sądono go za morderstwo, brutalne morderstwo najlepszego przyjaciela, tak pisali w gazetach. — Zacytowane nagłówki rozbrzmiały dziwnym echem. — Myślał, że przyjaciel z nią kręcił... z jego żoną... więc go zamordował. To wszystko było w gazetach.

Wpatrywałam się w jej krowie, poczciwe oczy, w których migotały isierki podniecenia, i zrobiło mi się trochę niedobrze.

— Mówi pani o ojcu Davida? — spytałam tępo. — Ojciec Davida jest mordercą?

Skinęła głową.

— Zgadza się. Udusił go sznurem. Coś strasznego. Pisali, że w szaleńczym napadzie zazdrości.

Nie patrząc na nią, wybąkałam kulawo:

— Biedny dzieciak... kiedy to się stało?

— Rozprawa odbyła się w kwietniu. Nie jest, rzecz jasna, matką chłopca, to jego druga żona. Ale, oczywiście, zabrała małego, nie mogła zostawić Davida z nim. Nie po tym, co zaszło.

— Jak to? To on żyje?

— Jasne.

— Siedzi w więzieniu?

Potrząsnęła głową, przysuwając się bliżej.

— Nie. Na tym polega tragedia, pani Selborne. Jest na wolności.

— Ale...

— Wypuścili go. Powiedzieli, że nie zebrano dostatecznych dowodów winy i zwolnili go.

— A może nie jest winien. W końcu sąd...

— Winien — stwierdziła pani Palmer, poklepując mnie po ramieniu. — Winien jak diabli. — Urwała i zaróżowiła się. — Tak mówi pan Palmer, pani rozumie, pani Selborne. A ja uważam, że zwariował, biedak, bo nigdy by tak nie załatwił dzieciaka, żeby był nie wiem jakim mordercą.

— Załatwił dzieciaka? — powtórzyłam głosem nieco drżącym.

— Tak. Straszne, co? — Zauważyłam, że jej wyblakłe, pocziwe oczy wilgotnieją i wydała mi się sympatyczniejsza. Nie lubiła krwawych sensacji, relacjonowanie tych szczegółów nie sprawiało jej najmniejszej przyjemności, podobnie jak mnie słuchanie tej smutnej historii. — Znaleźli Davida nieprzytomnego w łazience, obok sypialni, w której znajdowały się zwłoki. Dostał w głowę.

— Czy powiedział, że to sprawka ojca?

— Nie widział, kto go uderzył. Ale to musiał być morderca. Złapany na gorącym uczynku, jak to mówią. Potworna sprawa. Aż dziw, że pani tego nie pamięta. Gazety pisały o tym przez dłuższy czas.

— Nie, nie pamiętam. — Mój głos zabrzmiał drętwo, niemal mechanicznie. Biedny David. Biedny mały. — Nigdy nie słyszałam tego nazwiska. To... to straszne.

Pani Palmer wydała okrzyk, schwyciła torebkę i podniosła się.

— Ojciec i Carrie są po drugiej stronie placu, nie zobaczą mnie stamtąd... Muszę lecieć. Miło się z panią gawędzi, pani Selborne, naprawdę bardzo miło. — Przesłała mi promienny uśmiech.

— I niech się pani nie martwi panią Bristol i chłopcem. Wie pani, rozwiodła się z tym człowiekiem. A dzieci podobno jakoś dochodzą do siebie nawet po ciężkich przeżyciach. Po niektórych może tak.

— Cieszę się, że mi pani powiedziała — podziękowałam jej. — Mogłabym coś palnąć... Nie miałam pojęcia.

— No, jeżeli nie widziała pani zdjęć... — rzekła pani Palmer. — Oczywiście Bristol to nie jest jej prawdziwe nazwisko, więc i tak by go pani nie знаła. Naprawdę nazywa się Byron. Richard Byron, o tak. A teraz muszę lecieć. Dobranoc, pani Selborne.

Przeszła na drugą stronę placu, coraz bardziej oddalając się ode mnie, a ja zostałam tam jeszcze długo i sporo czasu minęło, nim uświadomiłam sobie, że pani Palmer nie siedzi już obok mnie.

ROZDZIAŁ III

Sur le pont d'Avignon
L'on y danse, l'on y danse
Sur le pont d'Avignon
L'on y danse, tout en rond.
(francuska piosenka dziecięca)

Następnego dnia o dziesiątej rano było już tak gorąco jak w najgorętszy dzień w Anglii, lecz upał nie powodował znużenia, gdyż powietrze było przejrzyste i świeże. Louise, zgodnie ze swymi wcześniejszymi zamiarami, usunęła się z książką i szkicownikiem do małego publicznego parku w pobliżu hotelu.

— Zabaw się w turystkę — powiedziała. — Ja posiedzę pod drzewem i będę pić sok winogronowy. Mrożony.

Brzmiało to kusząco, ale jutro nie będzie chłodniej niż dzisiaj, a upał zbyt mi nie przeszkadza, więc wybrałam łagodniejszy wariant zwiedzania. Tym razem wyszłam przez bramę miejską i zawróciłam pod potężnymi murami obronnymi ku dzielnicy, w której Rodan przepływa pod Rocher des Doms, a potem opływa zachodnie fortyfikacje miasta. Doszłam do wniosku, że spacer w kłębach kurzu nie sprawia mi wielkiej frajdy. Po obu stronach wąskiej drogi zgromadziły się zwały piachu i pyłu, a jedyną roślinność, prócz drzew, porastających brzeg rzeki, stanowiły osty suche jak zeschnięty papier. Nawet wzdłuż płaskiej linii brzegowej Rodanu pod drzewami nie było trawy, a jedynie utwardzony muł i kamienie. Tam nocą żebracy spali na gołej ziemi. Nad rzeką krążyła para olbrzymich ptaków, od czasu do czasu dając nurka do wody.

Lecz niebawem spoza zakola obwałowania wyłonił się starodawny most z piosenki, jego cztery ocalałe łuki szybowały przez zieloną wodę, by zatrzymać się, niejako w pół skoku, i zawisnąć w połowie Rodanu. W głębi woda o intensywnym odcieniu nefrytu rozbłyskiwała złotymi refleksami, odbijającymi kaplicę Świętego Mikołaja, która strzeże drugiego łuku. Tu odgradzona piaszczystą mierzeją woda płynie spokojnie, połyskując promiennymi barwami kamieni, zalegającego cienia i zanurzonych w niej gałęzi, lecz poza piaszczystym brzegiem zgrabny most rozpięty jest nad rwącym potokiem. Stojąc tutaj, człowiek nagle przypomina sobie, że to jedna z wielkich europejskich rzek. Cicho, nie wzbijając piany, gładka i niewiarygodnie bystra, pochłania ogromne przestrzenie aż do Morza Śródziemnego, tu zielona niczym serpentyn, ówdzie wzbijając wir w odcieniu akwamaryny, wszędzie jednak utrzymuje intensywny kolor minerału.

Wtedy spostrzegłam Davida, który bawił się z Rommlem w rozlewisku pod kaplicą. Obaj, chłopiec i pies, byli mokrzy, David w kąpielówkach wyglądał dość wdzięcznie, ale Rommel sprawiał dużo lepsze wrażenie, bo jego zaskakującą nieco sylwetkę maskowała sierść. Stałam już na moście, gdy ujrzałam ich w dole. Wyglądali na pochłoniętych swymi zajęciami: David budował tamę, Rommel zaś konsekwentnie ją niszczył, a jednak prawie natychmiast chłopiec uniósł wzrok i zobaczył, że siedzę we framudze okna kaplicy.

Uśmiechnął się i pomachał do mnie.

— Będzie pani tam tańczyć? — zawołał.

— Chyba nie — odkrzyknęłam. — Za wąsko.

— Co jest w kaplicy?

— Nic nadzwyczajnego. Nie byłeś w środku? — W moim głosie musiało dźwięczeć zdziwienie.

— Nie mam forsy — odparł zwięźle David.

— Powiedz dozorczy, że zapłacę za ciebie przy wyjściu.

— Wie pani, że nie o to mi chodziło.

— Wiem. Ale mnie tak. Tylko, na miłość boską, trzymaj Rommla. Nie ma tu parapetu, a jeśli w to wpadnie, zdąży do Marsylii akurat na herbatę.

Chłopiec i pies zniknęli w domku dozorczy i niebawem pojawili się na moście, lekko posapując i zastanawiając się, czy Rommel ma prawo rzucić się na łeb, na szyję do Rodanu.

Ale zaraz okazało się, że Rommel, zabezpieczany nieuchronnym sznurkiem, został całkowicie poskromiony i całą trójką ostrożnie podeszliśmy do samego końca popękanego łuku — ostrożnie, gdyż most ma tylko parę stóp szerokości, a od północy zawsze duje silny wiatr — po czym usiedliśmy, biorąc Rommla między nas. Śpiewaliśmy *Sur le pont d'Avignon* w stylu Jeana Sablona, a David opowiedział mi historyjkę o świętym Bénézecie, który pokrzyżował plany klerykom z Awinionu i zbudował most tam, gdzie wskazał mu anioł, a potem przyglądaliśmy się dwom ogromnym ptakom. David powiedział, że to kanie, które szybowały wysoko w błękit nieba, zataczając na nim wspaniałe kręgi.

Następnie zeszliśmy na drogę, zapłaciłam dozorczy, a David ponownie mi podziękował i wyruszyliśmy do hotelu na lunch.

W ten uroczy, pogodny poranek wydawało się niemożliwe, by ojciec Davida był mordercą oraz by samego Davida bez żadnego powodu ogłuszyła w ciemności ręka niewątpliwego szaleńca.

— Gdzie spędzasz większość czasu? — spytałam.

— Przeważnie nad rzeką. Można przepłynąć pod mostem i skrajem do mierzei, bo tam nie ma prądu.

— Nie zwiedzałeś... okolicy? Pont du Gard i areny w Nîmes, i tak dalej? A może to cię nie interesuje?

— Ależ owszem, strasznie chciałbym zobaczyć arenę. Wie pani, że co niedziela odbywają się tam walki byków, a jeden z mata-dorów to kobieta?

— Nie znoszę walk byków — powiedziałam stanowczo. — Ale jutro mam zamiar obejrzeć arenę i gdybyś chciał się ze mną zabrać, to w samochodzie mam dużo miejsca. Myślisz, że matka ci pozwoli?

— Macocha — sprostował dobitnie David.

Spojrzał na mnie z ukosa i lekko się zarumienił.

— Widzi pani, są na to różne określenia.

— Widzę. Pozwoli ci? Naturalnie, jeśli masz ochotę.

Przez chwilę się wahał, w dziwnie zastanawiający sposób, po czym bez żadnego wyraźnego powodu zdjął maskę. Sprawiał wrażenie, jakby rozważał jakieś poważne zastrzeżenie, próbował je odrzucić, a ostatecznie uznał za pozbawione wszelkiego znaczenia.

— Bardzo chętnie, dziękuję — powiedział sztywno. — Nie przypuszczam, żeby macocha miała jakieś obiekcje. Jej to nie interesuje — dodał prostodusznie — nie bardzo ją obchodzi, co robię.

Kiedy doszliśmy do hotelu, goście gromadzili się na ocienionym dziedzińcu, by wypić aperitif. Wyszedłam z pokoju i zobaczyłam, że pani Bristol usadowiła się już przy stoliku koło drzewka pomarańczowego. Uśmiechnęła się do mnie, po czym zrobiła zapraszający gest, podeszłam więc i przysiadłam się do niej.

— Słyszałam, że była pani z Davidem. To miłe, że zadała sobie pani tyle trudu.

— Ależ nie sprawiło mi to najmniejszych kłopotów. Spotkaliśmy się przypadkiem... spędziłam uroczy ranek.

Wybąkałam jakieś grzecznościowe formułki, a ona z wdziękiem dziękowała mi za moją, jak się wyraziła, uprzejmość.

Postawiła mi drinka, przy którym przez jakiś czas wymieniałyśmy komunały na temat upału, miasta i sklepów. Była niezwykle urocza i rozmowna, lecz zauważyłam, że spowodowane zmartwieniem zmarszczki wokół ust pogłębiły się dziś, a gdy w rozmowie przewijało się imię Davida, jej oczy zaciemniał ten sam cień — czyżby czujności? — który przesunął się po twarzy chłopca, gdy zaproponowałam wycieczkę do areny w Nîmes.

— Chciałam jutro pojechać samochodem do Pont du Gard — powiedziałam wreszcie — a potem do Nîmes, żeby trochę pozwieźdzać. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie wzięłabym Davida. Nie wiem, czy przyjaciółka będzie miała ochotę wybrać się ze mną, więc byłoby mi bardzo miło, gdyby David mógł mi towarzyszyć.

Kiedy się odezwałam, zapalała właśnie papierosa i znieruchomiała, trzymając zapalną o cal od jego końca, jakby dziwacznie powielając deliberacje Davida. Widziałam, jak przyswaja sobie treść mego pytania, starannie je rozważa, waha się, a potem podejmuje decyzję. Za żadne skarby nie mogłam pojąć, dlaczego propozycja jednodniowej wycieczki (a w końcu po co przyjeżdża się w te okolice Francji, gdzie stacjonowali Rzymianie) wywołuje takie problemy.

— To bardzo miło z pani strony — stwierdziła pani Bristol, a płomień zapalniczki wreszcie zetknął się z papierosem. — Davidowi na pewno będzie się podobało. — Zrobiła zabawny grymas. — Te starożytności to nie dla mnie, ja lubię Paryż, miasta, ludzi, z którymi się można zabawić... pani rozumie?

— O tak — roześmiałam się. — Ja jestem amatorką jednego i drugiego. Muszę przyznać, że uwielbiam zwiedzanie. Jestem urodzoną turystką, ale nie znoszę tłumów. Ale co na miłość boską robi pani w Awinionie, skoro nie lubi pani eee... starożytności?

Znowu się zawahała i rzuciła mi szybkie spojrzenie zza przyciemnionych rzęs.

— Nie mamy zamiaru tu się zatrzymywać... Wstąpiliśmy tu przejazdem do Monte Carlo. Chcemy odpocząć parę dni w Awinionie.

— Dzięki za drinka, pani Bristol — powiedziałam podnosząc się.

Zauważyłam, że Louise usiadła przy narożnym stoliku i czyta kartę dań. Wymieniłyśmy jeszcze parę uprzejmości i odwróciłam się od stolika, lecz pasek mojej torebki zaczepił się o oparcie krzesła i gdy się znowu odwróciłam, by go odczepić, zauważyłam, że pani Bristol wpatruje się we mnie zwięzonymi w ochronie przed dymem oczami. W jej wzroku malowało się zadowolenie, lecz i niespokojny namysł, co mocno mnie zdziwiło.

Tego wieczoru, podobnie jak poprzedniego, Louise nie miała ochoty udać się na przechadzkę, toteż zostawiłam ją nad szkicownikiem w kawiarni na rynku, a sama podążyłam ciemną, wąską uliczką, prowadzącą do pałacu papieskiego i ogrodów pomiędzy piniami, hen w górę, aż do Rocher des Doms.

W przeciwieństwie do rynku, na Place du Palais panowały niemal zupełne pustki, budynki po trzech stronach były ciemne i ginęły w mroku, po prawej natomiast zanurzona w cieniu, lecz połyskująca w świetle gwiazd wystrzeliwała w górę z żywej skały olbrzymia fasada pałacu. Stałam tam dłuższą chwilę, wpatrując się w ogromną budowlę, po czym krętą ścieżką między piniami poszłam ku położonym na skraju miasta i okolonym murami ogrodom na wzgórzu. Tego wieczoru było tam niewielu ludzi, tylko od czasu do czasu dał się słyszeć szmer głosów czy cichy zgrzyt żuźlu pod stopami. Powietrze stało i wreszcie umilkły cykady, lecz wysoko w górze sennie szemrały pinie, odbijając szum wiatru, który przez całą zimę duje nad rzeką, a latem nadal w nich zawiewa.

Powoli wspinałam się ścieżką, wijącą się między zieloną roślinnością, aż wreszcie dotarłam do najwyższego położonego skraju górującego nad Rodanem ogrodu i oparłam się o blankę niskiego muru, by odpocząć. Podo mną kamienna ściana opadała pionowo, przechodząc w litą skałę, która okalała rzekę. Poniżej Rodan milcząco toczył swe wody szerokim połyskującym w mroku korytem.

Było bardzo cicho.

Wtem, niespodziewanie, skądś z tyłu dobiegł mnie przytłumiony głos mężczyzny, mówiącego po francusku:

— A więc tu jesteś!

Przestraszona, odwróciłam głowę, lecz za sobą miałam gruby mur roślinności, toteż nic nie widziałam. Stałam samotnie w rożku wału obronnego. Mężczyzna musiał znajdować się na niższej ścieżce, osłoniętej krzakami.

— Spóźniłeś się. Jestem tu od dawna — odpowiedział mu kobiecy głos.

Usłyszałam trzask zapalniczki, po czym głos, który nagle zabrzmiał ponuro:

— Nie było cię, gdy przechodziłem przed dziesięcioma minutami.

— Zmęczyłam się czekaniem i poszłam na spacer — odpowiedziała obojętnie kobieta, po czym dobiegł mnie zgrzyt żużlu, jakby mężczyzna poruszył się gniewnie.

Nie miałam zamiaru tkwić tak w załomku muru, podczas gdy w zasięgu moich uszu rozgrywa się scena miłosna, toteż postanowiłam, że skoro muszę minąć kochanków, by dojść do głównej ścieżki, najlepiej wyłonić się teraz, później bowiem sytuacja mogłaby przybrać taki obrót, że widok mojej osoby sprawiłby parę w zażenowanie. Lecz gdy odwróciłam się i chciałam ruszyć, kobieta znowu się odezwała, a ja zdałam sobie nagle sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze, że jest to głos pani Bristol, a po wtóre, że pani Bristol czegoś mocno się lęka. Nie poznałam go od razu, bo poprzednio słyszałam ją mówiącą tylko po angielsku, lecz gdy odezwała się głośniejszym, z wyraźnym przerażeniem, zorientowałam się, że to ona.

— Stało się. Wiedziałam, że do tego dojdzie. Wiedziałam... — rzekła.

— Co się stało? — ostro, niemal grubiańsko przerwał mężczyzna.

— Jest tu. Zjawił się. Musiałam się z tobą zobaczyć, ja...

Znowu jej przerwał.

— Weź się w garść, na miłość boską. Skąd wiesz, że tu jest?

Mówiła bez tchu, ciągle z drżeniem w głosie.

— Dziś wieczorem miałam telefon. Widziano jego samochód. Śledzili go aż do Montélimar. Musi tędy przejeżdżać. Dowiedział się pewnie, gdzie jesteście...

— Loraine...

— Co zrobimy? — wyszeptała z rozpaczą.

Przycisnęłam się do ściany w narożniku, za żadne skarby nie mogłam teraz stąd wyjść. Wypada tylko mieć nadzieję, że nie będą już szukać dla siebie bardziej odludnego zakątka.

Usłyszałam, jak mężczyzna (chyba on) głęboko wciągnął powietrze. Potem przemówił cicho i z naciskiem:

— Na razie nie możemy nic zrobić. Nie wiemy na pewno, gdzie jest, może znajdować się w dowolnym miejscu w Prowansji. Kiedy widziano go w Montélimar?

— Wczoraj.

— Boże drogi, a to skończeni durnie! — wybuchnął gniewnie. — I zadzwonili dopiero dziś wieczorem?

— Nie byli pewni. Przypuszczają, że duży szary samochód z plaketką GB należy do niego. Ostatnio widzieli go w Chartres.

— Powinni się upewnić. Za co im, do cholery, płacimy? — powiedział z wściekłością.

— A my sami nie możemy go odnaleźć? Nie zniosę już dłużej tego... tego napięcia.

— Nie, nie możemy nic zrobić. Na pewno niebawem wszystkiego się dowiemy. — Jego głos brzmiał ponuro. — I na miłość boską, Loraine, weź się w garść. Nie powinnaś była wzywać mnie tu dziś wieczorem, nie wiadomo, kto się tutaj kręci, przecież to taka mała dziura. Ktokolwiek z hotelu...

W jej głosie na nowo rozbrzmiało przerażenie.

— Myślisz, że ma w hotelu swojego człowieka? Myślisz, że...

— Nic nie myślę — odparł krótko. — Mówię tylko, że nie mogą nas widzieć razem. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Ktoś może nas zobaczyć i powiedzieć o tym Davidowi, a na ile się orientuję, on nie ma do ciebie zbytniego zaufania.

— Przecież się staram, robię, co mogę.

— Wiem, wiem — odparł łagodniej. — I wiem też, że niełatwo dać sobie z nim radę. Ale nie chodzi mi o Davida, tylko o niego. Gdyby się zorientował, że coś nas łączy, na diabła byłbym ci wtedy potrzebny. Znalazłby sposób, żeby najpierw mnie usunąć, a potem...

— Proszę, nie!

— Kochanie, przestań się martwić — powiedział serdeczniej.

— Obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Już raz wyciągnąłem cię z

tarapatów, zgadza się? Wydostałem cię z Anglii, tak czy nie? I chłopca też.

Wymamrotła coś, czego nie dosłyszałam, on zaś ciągnął dalej:

— I znowu wszystko dobrze się ułoży, przysięgam. Wiem, że to okropność tak tu siedzieć i czekać, co się wydarzy, ale mam oko na wszystko, a ty mi ufasz, prawda? Ufasz mi?

— Tak. Tak, oczywiście.

— Jeszcze papieroska? — Słyszałam, jak go jej zapala, po czym nastąpiło milczenie.

— Ta przekłeta angielska policja — powiedziała gorzko. — Gdyby znali się na robocie, nigdy by do tego nie doszło. Dawno powinni załatwić go na amen... Załatwić go na amen. — Powtórzyła to takim tonem, że ciarki przebiegły mi po krzyżu.

— Ale nie załatwili — rzekł żywo mężczyzna, jakby z wysiłkiem pragnął sprowadzić rozmowę na poziom mniej dramatyczny, a bardziej praktyczny. — Jest tu, we Francji. I nie ma się czego obawiać. Przecież nie może ci nic zrobić. Nie histeryzuj i trzymaj się Davida. Myślę, że powinniśmy już wracać. Ty idź pierwsza... zjedź ze mną do rogu, póki się nie przekonamy, czy ktoś się tu nie szwenda. — Musiał się odwrócić, gdyż jego słowa nagle rozbrzmiały ciszej.

Zatrzymała go na chwilę. Mówiła spokojniej i w jej głosie nie słychać już było paniki, lecz mimo wszystko przebijało z niego straszliwe napięcie.

— Chciałam cię zapytać... czy ta dziewczyna, Selborne... może jutro zabrać Davida na wycieczkę? Chyba nic się nie stanie?

Znowu zapadło milczenie. Wziął ją pewnie pod rękę, bo słyszałam, jak odchodzą razem, lecz nim znaleźli się poza zasięgiem mojego słuchu, dobiegła jeszcze do mnie jego odpowiedź.

— Nie powinno. A właściwie, może i dobrze się składa...

Dłonie miałam tak mocno przyciśnięte do kamiennego parapetu, że poczułam w nich ból. Przez jakiś czas po odejściu tych dwojga stałam absolutnie nieruchomo i z wolna rozcierając ręce, zaczęłam zastanawiać się nad sytuacją.

Nie nastrojała mnie przyjemnie świadomość, że gdzieś w pobliżu, być może nawet w tej chwili w Awinionie znajduje się człowiek, najprawdopodobniej morderca, człowiek tak mściwy, że, jeśli dobrze usłyszałam, ściga swą żonę, która się z nim rozwiodła, po rozprawie, i na tyle niebezpieczny, by przerazić kobietę tak, jak przerażona była Loraine. A nie wydawało mi się, by Loraine należała do niewiast z byle powodu wpadających w popłoch.

Dlaczego ją ścigał? Czy chciał, by wróciła, miał nadzieję, że się pogodzą? Nie, to nie pasuje, nie byłaby wówczas tak przerażona. Czy może był zły, że wniosła pozew w takiej chwili, i chciał się zemścić? Nie, to bzdura, nikt się tak nie zachowuje, w każdym razie nikt normalny... tak, to o to chodzi — pomyślałam i przejął mnie dreszcz... nie był normalny. Pani Palmer powiedziała, że to wariat, a nikt przy zdrowych zmysłach nie ogłuszyłby własnego syna...

David.

To nie Loraine ściga, lecz Davida.

Ręce, w których czułam teraz mrowienie, przycisnęłam do policzków i pomyślałam o Davidzie, wraz z psem Rommlem budującym tamę pod mostem St Bénézet. Zaświtało mi wówczas w głowie, że to dziecko musi czuć się bardzo samotne. Ta myśl mnie zmroziła. Wiem dobrze, co to samotność. Wiedziałam też, że niech się dzieje co chce: nawet gdyby zjawilo się nie wiem ilu morderców, rozpętało się piekło czy nastąpiła powódź, nie mogę stać z boku i tylko się przyglądać.

Z wolna zeszałam krętą ścieżką do wysokości placu przed pałacem, bacząc, by nie wpaść na panią Bristol, która może gdzieś tu czekać, by dać sygnał swemu towarzyszowi, że droga wolna.

Swemu towarzyszowi? Nie rozpoznałam zniżonego głosu ani pospiesznej francuszczyzny. Ale byłam pewna, że to ktoś z hotelu.

Potem, w wąskiej, ciemnej uliczce, biegnącej u podnóża skały, na której stoi pałac, ujrzałam kogoś, jakiegoś mężczyznę. Nie widział mnie, wpatrywał się bowiem w rynek, a gdy przystanąłam w ciemności pod pałacowymi schodami, zobaczyłam, jak wynurza się z cienia i z wolna kroczy ulicą, ku światłom miasta.

Rozpoznałam go bez najmniejszych trudności.

Był to Marsden.

ROZDZIAŁ IV

Stare pomniki...
(Spenser)

Późnym rankiem następnego dnia powoli prowadziłam mego riley'a wąską główną ulicą Awinionu, a stamtąd na obwodnicę. Louise siedziała obok mnie, a z tyłu usadowili się David i Rommel, który jak zwykle wyrwał się do każdego mijanego kota. Objechaliśmy Awinion, przemierzając tę samą trasę, którą kroczyłam poprzedniego dnia, lecz nim dotarliśmy do starodawnego mostu St Bénézeta, skierowałam samochód na wąski most wiszący nad Rodanem. Przepełzaliśmy przez chybotliwą, metalicznie pobrzękującą konstrukcję, po czym śmignęliśmy przez Villeneuve-lès-Avignon i podążyliśmy na południe, do Nîmes.

Serce rzymskiej Francji... Myślałam o legionach, ciągnących za rzeźbionymi orłami w bezlitosnym upale i kurzu, przez jałowy i wrogi kraj. Droga wiała się białą, pylistą wstęgą między skalistymi wzgórzami i zaroślami. Rozpoznałam kolcolist i jałowiec, lecz większość krzewów była mi nieznana. Ta roślinność, o ciemnozielonych, szorstkich liściach przy każdej okazji wysysała życie ze szczelin między piargami i skalnymi ścianami. Tu i tam domy kuliły się pod upałem, kurczowo trzymając się skraju drogi niczym liny ratowniczej, od czasu do czasu na zboczach wyrastał gaj oliwny jak srebrnozielona chmura albo przegroda cyprysów dzielnie zastawiała drogę mistralowi, lecz w przeważającej części wzgórze były gołe, rozpalone słońcem, pozbawione wody i nie

przybrane zielenią delikatniejszą od janowca czy zarośli.

— Czy nie było im gorąco w hełmach? — spytał David, podejmując moją refleksję, jakby wiedział dokładnie, o czym myślę. — Choć we Włoszech panują chyba takie same upały.

— I walczyli przez całe lato. Zimą się cofali...

— ...na zimowe leże. Pamiętam to — z uśmiechem powiedział David. — W mojej gramatyce łacińskiej, jeśli nie szli do miasta, by kupić chleb, zawsze uchodzili na zimowe leże.

— Chyba kwaterowali na wybrzeżu. Na wschód od Marsylii jest śliczne miejsce, gdzie Cezar założył coś w rodzaju uzdrowiska dla swych weteranów.

— Czy Michelin nie jest cudowny? — wymamrotała Louise. — A tak nawiasem mówiąc, Charity, nie chcę wam przeszkadzać, ale chyba widziałaś ten autobus?

— Trudno go nie zauważyć — odparłam sucho. — Jedzie środkiem drogi.

— Po prostu przyszło mi do głowy... jak jest po francusku „wypadek”?

— *Dépannage*. A w tym przypadku *accident*. Jeszcze się nie przyzwyczałaś do francuskiego stylu jazdy? Już pora.

Gwałtownie wyprzedziłam autobus, który w istocie pruł samym środkiem wąskiej szosy. Ale teraz wiedziałam już, jak się zachować. Przejechawszy setki mil z sercem w gardle, zdążyłam się zorientować, że „kultura jazdy” we Francji oznacza zupełnie coś innego niż w Anglii. Śmignęłam na lewo i siedziałam autobusowi na kole, a wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że zamierzam się z nim zderzyć. Lewą ręką z całej siły naciskałam klakson. Autobus zatrząbił ogłuszająco i natychmiast zjechał na lewo, akurat na naszą stronę szosy. Nawet nie wcisnęłam hamulca, lecz cały czas trzymałam rękę na klaksonie. Autobus najwyraźniej wrzucił ramionami i zjechał w prawo mniej więcej o stopę, tak że zdołaliśmy się jakoś przecisnąć.

Louise wydała głębokie westchnienie.

— Nigdy się do tego nie przyzwyczaję!

— Nie miałybyśmy szans, gdyby zobaczył tabliczkę z literkami

GB. Brytyjczycy dają się nieprawdopodobnie terroryzować na szosie.

— Widziała pani, kto był w autobusie?

— Nie, nie miałam głowy. A kto?

— Ten człowiek z hotelu. Nazywa się chyba Marsden. Siedzi przy stoliku koło wielkiej palmy.

— A tak, zauważyłam go.

Zdjęłam nogę z pedału gazu i w lusterku przyjrzałam się autobusowi. Mógł skręcić koło Pont du Gard, by tamtędy pojechać do Tarasconu, ale wydawało mi się, że autobusy linii Awinion-Tarascon kursują inną trasą. W takim razie musi być to autobus do Nîmes i nim to właśnie jechał Marsden. Po tym, co usłyszałam poprzedniej nocy w Rocher des Doms, nie byłam pewna, co sądzić o tym, że Marsden wyruszył naszym śladem do Nîmes.

Zwolniłam nieco. Z triumfalnym rykiem klaksonu autobus usiłował wyprzedzić riley'a, by rozpanoszyć się na drodze.

Spojrzałam w lusterko, gdy wyłonił się zza zakrętu. Tak, bez najmniejszych wątpliwości nawet w odbiciu zdołałam odczytać napis: NIMES.

Znowu nacisnęłam gaz i odjechaliśmy. Próbowałam się zastanowić, lecz miałam za mało danych. To jak przedzieranie się po omacku do okna przez firany pajęczych sieci, tylko po to, by się przekonać, że za oknem jest ciemno i że nawet gdyby się zdarło wszystkie pajęczyny, okna i tak nie byłoby widać.

Przestałam o tym rozmyślać i z niezwykłą ostrożnością wyprzedziłam małego citroena.

Przy Pont du Gard zaparkowałam w cieniu drzew, naprzeciwko hotelu. Louise zaczęła zbierać swoje rzeczy.

— Davidzie — powiedziałam — zrobisz coś dla mnie?

— Oczywiście. A co?

— Zapytaj w hotelu, o której przyjeżdża autobus. Jak długo się tu zatrzyma. I kiedy będzie w Nîmes. Dasz sobie radę ze swoim francuskim?

David popatrzył na mnie i wraz z Rommlem wygramolił się z samochodu.

— Oczywiście — powtórzył, po czym dodał w nagłym wybuchu szczerości: — Problem nie w tym, żeby zapytać, bo to można sobie po drodze przeciwzyć... chodzi o to, żeby zrozumieć, co oni mówią, a najgorsze są liczby. Ale spróbuję.

Rzucił mi ten swój raptowny, uroczy uśmiech i po wysypanym żużlem tarasie pobiegł do hotelu.

— Na pewno nie chcesz jechać do Nîmes, Louise?

— Serdeczne dzięki, ale nie. Pójdę nad rzekę i namaluję most... no dobrze, akwedukt... ale najpierw zjem tu lunch. O której wrócić?

— Jeszcze nie wiem. A o której chciałabyś wracać?

Louise spojrzała poprzez gałęzie drzew ku rzece, w której połyskujące złociście kamienie mieniły się migotliwym blaskiem.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Wiesz co, nie krepujemy się wzajemnie. Pojeźdź do Nîmes i oglądaj zabytki tak długo, jak będziesz chciała. Jeśli wrócisz i zobaczysz, że siedzę przy którymś z tych stolików, to mnie podwiesz. A jeżeli mnie tu nie zastaniesz, to będzie znaczyło, że wróciłam autobusem, więc nic się nie martw. Pewnie chciałabyś być z powrotem tuż przed kolacją, a ja skończę malowanie dużo wcześniej.

David przebiegł przez szosę i zdyszany stanął przy drzwiach samochodu.

— *Midi-vingt!* — ogłosił triumfalnie. — Autobus przyjeżdża o *midi-vingt*. Stoi pół godziny i w Nîmes jest o pół do drugiej. O to pani chodziło?

— Doskonale — powiedziałam, zerkając na zegarek. — Jest dopiero dwunasta, czyli mamy dwadzieścia minut. Zdążymy obejrzeć most... o, przepraszam, Louise, akwedukt.

Wyjęłam kluczyki i wrzuciłam je do torebki.

— O co ci chodzi? — spytała Louise. Przypatrywała mi się dziwnie. — Zdawało mi się, że po to tu przyjechałaś. Co ma do tego autobus?

Czułam, jak oblewa mnie rumieniec. Myślałam głośno, nie zdając sobie sprawy, jak idiotycznie musiało to zabrzmieć.

— Nic, nic — burknęłam bez przekonania. — Zastanawiałam się, czy by nie zjeść lunchu w Nîmes, żeby nie siedzieć tu zbyt długo.

Nie musiałam się obawiać, że Louise będzie dalej drążyć ten temat. Już rozglądała się za swymi ołówkami i nie bardzo słuchała mojej odpowiedzi. Lecz gdy odwróciłam się od samochodu, ujrzałam, że David mi się przygląda. Długim, nieprzeniknionym spojrzeniem... i znowu wyczułam, że otoczył się niewidzialnymi barierami. Potem Rommel pociągnął go niecierpliwie za sznurek i wszyscy razem zesliśmy na brzeg rzeki, pod wysokie drzewa, rozbrzmiewające zgrzytliwym dzwonieniem cykad.

ROZDZIAŁ V

O, krwawy Ryszardzie!
(Szekspir)

Gdy sięgam myślą wstecz do owych dziwnych i przerażających wydarzeń podczas tamtych wakacji na południu Francji, dwie rzeczy wybijają się na plan pierwszy. Jedna to bezustanny, szorstki i szarpiący nerwy hałas, którym napelniały okolice cykad, niewidoczne w zeschniętych drzewach, druga to widok rzymskiego akweduktu nad Gardonem w ów przepiękny dzień. Mam wrażenie, że dziesięć czy dwanaście minut, które David, Rommel i ja spędziliśmy, wpatrując się w złotawe łuki, przerzucone przez głęboki, zielony Gardon, to była ostatnia, krótka chwila ciszy przed burzą.

Staliśmy niemal przy samym brzegu wąskiej rzeki, na wygładzonej przez wodę białej skale, patrząc, jak Louise sadowi się w cieniu wierzb, gdzie akwedukt szybował w górę, przecinając niebo pod ostrym kątem. Po sklepieniach łuków przesuwały się z wolna rozjaśnione przez wodę cienie, tak że nasycony słońcem kamień lśnił jak czyste złoto. Z wyjątkiem srebrzystych świetlnych refleksów leniwie prześlizgujących się pod szeroko rozstawionymi przesłami, wszystko zamarło w bezruchu. Nie zdrzął najmniejszy listek, ani jedna chmurka nie zdradzała najlżejszego podmuchu wiatru. Można by przysiąc, że połyskująca rzeka zastygła na zawsze...

Burczenie silnika na szosie nad nami raptownie przywołało mnie do rzeczywistości. Pożegnaliśmy się z Louise, która ledwo

usłyszała nasze okrzyki, i zakurzoną ścieżką wspięliśmy się z powrotem do samochodu.

Żadne z nas się nie odzywało, póki nie wyjechaliśmy na drogę do Nîmes.

Wtedy David westchnął dziwnie.

— W sumie się jednak cieszę, że przyjechałem. — Rzucił mi szybkie spojrzenie i zarumienił się. — To znaczy... nie miałem zamiaru...

— Nieważne. Cieszę się, że się cieszysz, że przyjechałeś.

Znowu na mnie zerknął i wyczułam raczej, niż zobaczyłam, że przygląda mi się długo i uważnie.

— Pani Selborne...

— Słucham?

Zawahał się. Czułam obok siebie ciało, napięte jak u biegacza. Wzrok wbiłam w szosę i czekałam. Potem jeszcze raz westchnął, dziwnie gwałtownie i oparł policzek na barku Rommla.

— Nic takiego. Jak daleko jest stąd do Nîmes?

Przez resztę drogi rozmawialiśmy o Rzymianach. Nie pozwolił, bym mu pomogła. A ja wiedziałam, że nie należy zmuszać do zwierzeń chłopca w tym wieku — a zwłaszcza takiego, który doskonale wie, czemu musi stawić czoło i jak ma sobie z tym poradzić. Ale rzucając ukradkowe spojrzenie na dziecięcy zarys szczupłego policzka, zanurzonego w psiej sierści, nie byłam już taka pewna, czy rzeczywiście da sobie radę w każdej zaskakującej sytuacji. I wiedziałam też, że za wszelką cenę pragnę mu pomóc. Było to irracjonalne i nawet dziś nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu David tak mnie nastrajał. Skarciłam się ostro, że robię z siebie idiotkę, powiedziałam pod nosem parę przykrych rzeczy na temat kompleksu niespełnionego macierzyństwa i ze wzrokiem wbitym w szosę niedbale rozprawiałam o Rzymianach.

I tak wjechaliśmy do Nîmes, zaparkowałam samochód na placu przed kościołem, po czym poszliśmy na lunch do restauracji przy bocznej uliczce, niewidocznej z miejsca, gdzie zatrzymują się autobusy.

— Najpierw Arena! — powiedział David. — Chcę zobaczyć, gdzie trzymają byki!

— Krwiożercza mała bestia! Ale dziś nie ma walk. Tylko w niedzielę wieczorem. Czyń pięknie, a i dzień będzie piękny.

— Ale niech pani popatrzy na plakat. W tę niedzielę będzie corrida.

Spojrzał na mnie tęsknie. Roześmiałam się.

— Nie, Davidzie. Nie ma mowy. I tobie wcale by się to nie podobało. Jesteś Anglikiem. Będiesz po stronie byka. I pomyśl o koniach.

— Może i tak... O rany, czy to to?

Pnącą się w górę ulicą podeszliśmy do olbrzymiego łuku areny i obeszlśmy ją w połowie, nim znaleźliśmy wejście pośród potężnych, straszliwych sklepień. Kupiłam bilety i zanurzyliśmy się w cienie krat niższego korytarza. Znajdowało się tam jeszcze kilkoro innych turystów, którzy rozglądali się, rozmawiali, majstrowali przy kamerach. Za grupką Anglików pomaszzerowaliśmy głównymi schodami, w słońce Areny, aż wyłoniliśmy się przy bocznych miejscach siedzących, wpatrzeni w wielką owalną płaszczyznę na dole, gdzie pod bezlitosnymi promieniami słońca chrześcijanie i bestie odbywali krwawe, przerażające spotkania. Podeszłam do samego skraju Areny i spojrzałam na jej strome ściany, zbyt wysokie, by na nie wskoczyć, nawet dla ratowania życia. Podeszedł do mnie David. Jego przynajmniej nie prześladowały widma okrucieństw, których tu dokonywano. Był wyraźnie podniecony, twarz miał zaróżowioną, a oczy błyszczące.

— O rany, pani Selborne, ale tu fajnie! Tam na dole widziałem drzwi z napisem TORIL. Myśli pani, że trzymają tam byka? Czy używają tu hiszpańskich nazw? Skąd byk wybiega do walki?

Wskazałam na wielkie, podwójne drzwi na samym końcu owalnej płaszczyzny, na których wielkimi białymi literami również wypisano TORIL.

— O rany! — ponownie zakrzyknął David. Przechylił się przez

parapet i ze skupieniem zaczął wpatrywać się w dół. — Myśli pani, że zobaczymy ślady krwi?

Cofnęłam się w cień podestu. Żar, który odbijały kamienie, był wprost nie do zniesienia. W dole za sobą słyszałam monotony głos dozorca, sprzedającego bilety kolejnej grupie turystów. Kilkoro zwiedzających przeszło po schodach obok mnie, a — jak zauważyłam — następna gromadka weszła przez bramę u podnóża schodów, gdzie najwyraźniej wiodła droga wprost na arenę.

Stałam w cieniu, oparta o chłodny kamień i leniwie przypatrywałam się Davidowi, który przechadzał się wokół areny, od czasu do czasu pochylając się — najpewniej w poszukiwaniu krwawych plam. Przynajmniej przekonałam się, że nie jest nerwicowcem — o ile wiem, zdrowa fascynacja krwią jest całkiem normalna u chłopców w tym wieku.

Przymknęłam oczy. Głos dozorca rozbrzmiewał raz głośniej, raz ciszej. Słyszałam rozmowy po francusku, niemiecku i w amerykańskiej angielszczyźnie. Dobiegł mnie trzask kamery. Pojawili się następni turyści, mówiący z ożywieniem po niemiecku. Miałam wrażenie, że poza nami nie ma tu Anglików. Lecz gdy tylko ta myśl leniwie przeszła mi przez głowę, okazało się, że jestem w błędzie, gdyż niżej, na samej arenie, usłyszałam ludzi mówiących po angielsku. I nagle męski głos, ostry, wyrazisty, odezwał się ze złością:

— To dobry bilet, do cholery. Kupiłem go w Maison Carrée.

Potem ktoś przechodzący obok potrącił mnie i torebka wysunęła mi się z bezwładnych palców. Z przestrawem otworzyłam oczy i pochwyciłam ją. Winowajczyni — sympatyczna kobieta koło czterdziestki — pochyliła się, by ją podnieść i podała mi moją własność, wypowiadając słowa przeprosin z przemiłym amerykańskim akcentem.

— To moja wina, trochę przysnęłam.

— To przez ten wściekły upał — odparła. — Lepiej się pani pochyla w cieniu. Chodź, Junior. — Gdy odchodzili, zorientowałam się, że u mojego boku stoi David.

— Pani Selborne! — powiedział bez tchu.

— Davidzie, na miłość boską, co się stało?

Trzymał mnie za rękaw. Twarz miał kredowobiałą, a w cieniu jego oczy wydawały się ogromne.

— Nie czujesz się dobrze?

— Nie... nie o to chodzi... — Ręka na moim ramieniu drżała. Zaczął ściągać mnie ze schodów. — Możemy już iść? Nie chcę dłużej zostać... nie pogniewa się pani?

— Oczywiście, że nie. Już idziemy. Czekałam tylko na ciebie...

Nim zdążyłam skończyć zdanie, jak na skrzydłach zbiegł ze schodów, a potem przemknął przez bramę i z Rommlem u nogi wypadł na rozgrzaną ulicę.

Podążyłam za nim, tą samą drogą, którą przyszliśmy.

— Nie chcesz już nic więcej zwiedzać, Davidzie? Tędy wracamy do samochodu.

Przystanął na chwilę, gdy okrążaliśmy róg ulicy, i znowu niepewnie wyciągnął rękę.

— Nie czuję się zbyt dobrze, pani Selborne. Chyba przez ten upał. Nie ma pani nic przeciwko temu, że nie pójde z panią zwiedzać? Mogę gdzieś zaczekać.

Ujęłam go pod ramię.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Przykro mi, że się źle poczułeś. Wracamy do samochodu?

Przeszliśmy tą samą drogą na plac, po czym David znowu przystanął i spojrzał na mnie. Wyglądał już lepiej, nadal był blade, lecz przestał drżeć i nawet się uśmiechnął.

— Nic mi nie będzie. Posiedzę w kościele do pani powrotu. Tam jest chłodno i przyjemnie. Proszę się o mnie nie martwić.

— A może się czegoś napijesz? Mrożonej mięty? Tu zaraz jest kawiarnia.

Potrząsnął głową.

— Wystarczy, że posiedzę w kościele.

— A co z psem?

— Och... — Spojrzał niepewnie na kościelne drzwi. — Chyba nic takiego się nie stanie. Usiądę z tyłu, a o tej porze nie ma mszy. Może zostać w kruchcie....

W końcu postawił na swoim. Patrzyłam, jak wchodzi w chłodny cień zachodnich drzwi, potem odwróciłam się, by poszukać świątyni i ogrodów. Przynajmniej nikt nie zabronił wejść Rommowi, a kościół był najlepszym miejscem, jakie David mógł wybrać w tym upale. Uświadomiłam sobie, że gdyby przez swe złe samopoczucie zepsuł mi całą wyprawę, czułby się bardzo zażenowany, postanowiłam więc kontynuować zwiedzanie Nîmes, lecz zakończyć je możliwie najszybciej.

Obejrzałam prześliczne kolumny Maison Carrée, a potem cuchnącą ulicą nad kanałem przeszłam do przepięknych, starannie zaprojektowanych ogrodów, stanowiących chlubę miasta. Upał był straszliwy, więc gdy doszłam do ogrodów — tak wspaniale rozłożonych wokół stojących i zapowietrzających okolice stawów — nawet mój entuzjazm dla rzymskich zabytków zaczął słabnąć.

Stałam przez chwilę, wpatrując się w rzędy pinii, porastających strome zbocze, prowadzące do rzymskiej wieży. Było niezwykle urwiste, cykady grały w gałęziach jak oszalałe, żar falami unosił się znad ziemi.

— Nie — powiedziałam stanowczo.

Odwróciłam się plecami do wieży i jak wracająca do ula pszczoła popędziłam do ruin świątyni Diany, obok której znajduje się kawiarnia, gdzie w cieniu lip można sączyć mrożone drinki.

Gdy więc bardzo powoli wypiłam dwa, bardzo zimne, poczułam się znacznie lepiej. Nadal nie mogłam się zebrać, by pójść do Tour Magne, lecz z szacunku do siebie jako turystki musiałam wykorzystać część biletu, uprawniającą do zwiedzenia świątyni Diany. Wstałam i pod rozsypującymi się łukami weszłam na mały placzyk świątyni.

Miałam wrażenie, że znalazłam się na głębokim odludziu. Z tyłu, za rozpadającym się, sklepionym przejściem, rozciągał się upalny, biały świat, pełen zwiedzających, rozbrzmiewający ich głosami. Natomiast tu, wewnątrz, w chłodzie zielonego kwadraciaka, panowała cisza. Gałęzie drzew opadały na wysokie, walące się

mury, cienie układały się w arrasy na kolumnowych narożnikach, liście paproci łagodziły kontury każdej niszy i szczeliny. I cisza. Taka cisza. Cisza miła dla ucha, oznaczająca więcej, niż tylko brak dźwięku. Cisza niczym muzyka.

Usiadłam na obłamany fragmencie rzeźbionego kamienia, oparłam się o kolumnę i zamknęłam oczy. Staralam się nie myśleć o Johnnym... nic dobrego z tego nie wyjdzie... muszę myśleć tylko o tym, jak tu cicho i jak bardzo lubię samotność...

— Źle się pani czuje?

Z przestraszem otworzyłam oczy.

Mężczyzna wszedł do świątyni tak cicho, że nie usłyszałam, jak się zbliża. Stał teraz nade mną ze zmarszczonymi brwiami.

— Co się stało? Czy to przez ten upał?

Mówił z troską, lecz w jego głosie słyhać było niechęć, jakby poczuwał się do obowiązku zaproponowania mi pomocy, lecz modlił się w duchu, by nie okazała się potrzebna.

Wiedziałam, że łyzy osiadły mi na rzęsach i czułam się bardzo głupio.

— Wszystko w porządku, dziękuję — odparłam rześko. — Odpoczywałam tylko, chciałam nacieszyć się samotnością.

Uniósł brwi, a kąciki ust zadrgały mu z goryczą.

— Bardzo przepraszam.

Podniosłam się, czując, że zrobiłam z siebie jeszcze większą idiotkę.

— To ja przepraszam. Nie miałam zamiaru... nie chciałam być niegrzeczna. Właściwie... powiedziałam szczerą prawdę. Normalnie bym się tak nie odezwała, ale kiedy pan podszedł, nie bardzo wiedziałam, co się dokoła dzieje.

Nie odpowiedział, lecz stał, wpatrując się we mnie. Wiedziałam, że rumienię się jak pensjonarka i z jakiegoś idiotycznego powodu znowu poczułam za oczami ukłucia łyż.

— Zazwyczaj jestem uprzejma wobec nieznanomych... zwłaszcza, gdy są tak mili, że interesują się moim zdrowiem. Proszę mi wybaczyć.

Nie uśmiechnął się, lecz odpowiedział dość sympatycznie:

— To moja wina, że odezwałem się, gdy pani nie bardzo wiedziała, co się dookoła dzieje. Może papieros postawi panią na nogi?

Wręczył mi swoją papierośnicę, a gdy się zawahałam, dodał:

— A jeśli nie przyjmuje też pani papierosów od nieznajomych, możemy temu zaradzić. Nazywam się Coleridge. Richard Coleridge.

Wzięłam papierosa.

— Jestem Charity Selborne. Chociaż czuję, że powinnam nosić nazwisko Wordsworth.

Zapalił zapalną i rzucił mi złośliwe spojrzenie.

— Czy czuje też już pani tajemną więź między nami?

— Nie... chociaż zastanawiałam się przez chwilę, czy przypadkiem już się kiedyś nie spotkaliśmy. Mam wrażenie, jakbym skądś pana знаła.

Przerwał mi, a jego głos znowu zabrzmiał szorstko:

— Na pewno nie, zresztą nie znam nikogo o nazwisku Selborne z wyjątkiem postaci z książki Gilberta White'a.

Przestraszona, uniosłam głowę.

— Gilberta White'a?

— Tak. Zna ją pani?

— Oczywiście. Rzecz w tym, że niedawno ktoś inny skojarzył mnie z tą książką, a przecież takie lektury czyta teraz niewielu ludzi. Byłam zaskoczona, bo przecież David jest jeszcze chłopcem.

Chyba powinnam była zachować większą ostrożność, powinnam była zauważyć, jak zmienił mu się wówczas głos. Ale ciągle jeszcze czułam się zażenowana i pragnęłam jakoś się z tego wyplątać, plotąc bezmyślnie trzy po trzy.

— David? — powiedział bardzo cicho.

— Tak. David Shelley. Jego miałam na myśli, gdy powiedziałam, że powinnam nazywać się Wordsworth. Mielibyśmy wtedy wszystkich poetów romantycznych w komplecie.

— Gdzie spotkała pani tego Davida Shelleya?

Wtedy to usłyszałam. Ręka z papierosem zastygła mi w pół drogi do ust. Nieznajomy natomiast z niewzruszonym spokojem strząsnął popiół z papierosa, a na twarzy nie malowały mu się żadne emocje. Lecz gdy napotkałam jego spojrzenie, serce mi się ścisnęło.

Powtórzył cicho, niemal obojętnie:

— Gdzie spotkała pani tego Davida Shelleya?

I popatrzył na mnie oczami Davida.

Shelley — Coleridge — Byron. Teraz już wiedziałam. Znajdowałam się w tej cichej świątyni sam na sam z Richardem Byronem, którego oczyszczono z zarzutu morderstwa ze względu na brak dostatecznych dowodów i który teraz przyglądał mi się, jakby chciał mnie udusić.

Odrzucił papierosa i zrobił krok w moją stronę.

ROZDZIAŁ VI

Umknąć mi?

(Browning)

— Przepraszam, *monsieur*.

Richard Byron przystanął i odwrócił się. Dozorca stał akurat w drzwiach świątyni, patrząc nań z ponurym wyrzutem.

— Pański bilet. Pan go nie okazał.

Miękki wąsik opadł karcąco. Bładobrazowe, załamane oczy były lekko przekrwione. Nigdy do nikogo nie czułam takiej sympatii. Drżącymi palcami zdusiłam papierosa i podążyłam — jak najbardziej niedbałym krokiem — do drzwi. Lecz dozorca myślał chyba, że przyszedłam tu z Richardem Byronem, gdyż nie ruszył się ani o krok.

Podczas gdy pospiesznie grzebałam w torebce, szukając biletu, Byron gwałtownym, niecierpliwym gestem wręczył swój. Dozorca wziął go, obejrzał z tym samym wyrzutem przywodzącym na myśl smutny wzrok spaniela i potrząsnął głową.

— Jest podarty, *monsieur*. I zamazany. Może to w ogóle nie ten bilet...

— Nic nie poradzę, że jest podarty. Taki dostałem — odparł szorstko Richard Byron.

— Gdzie *monsieur* go dostał?

— W Maison Carrée.

Uderzyła mnie jeszcze jedna myśl. Ten głos na Arenie, wyklócający się w sprawie tego samego biletu niemal tymi samymi

słowami, i David, który, przechylony przez parapet spoglądał na Arenę, a potem popędził w dół po schodach, by mnie stamtąd odciągnąć. David, blady i roztrzęsiony, szukający schronienia w kościele.

Chłopiec bez wątpienia widział ojca i nawet teraz krył się w świątyni niczym królik w jamie. Na myśl o Davidzie przestałam nagle obawiać się Richarda Byrona. Znowu wyciągnęłam bilet do dozorca, który wziął go, obrzucił ponurym spojrzeniem i skasował. Potem wyszłam na słońce i mijając kawiarniane stoliki, dotarłam do kanału. Rozpaczliwie starałam się obmyślić jakiś sposób, by niezauważona przez Byrona powrócić do Davida i samochodu. Ale przede mną, jak otwarta szachownica, rozciągały się przepiękne ogrody i długie, proste ulice... Przyspieszyłam kroku. Gdyby tylko dozorca zdołał zatrzymać Byrona... ale on najwyraźniej jakoś załatwił sprawę ze starszkiem, gdyż ledwo przeszłam pięćdziesiąt jardów w kierunku kanału, usłyszałam za sobą jego kroki.

— Jedną chwileczkę — powiedział.

Odwróciłam się ku niemu.

— Miło mi było pana poznać i dzięki za papierosa, ale teraz muszę pędzić. Do widzenia.

Odwróciłam się, ale znowu był przy mnie.

— Chciałem tylko zapytać...

Usiłowałam go zmrozić — jakbym myślała, że to tylko zwykły podryw — i czmychnąć, nim zdoła zadać mi więcej pytań.

— Proszę pozwolić mi odejść — rzekłam lodowatym tonem. — Jak już panu powiedziałam, wolę iść sama.

— Chciałbym z panią porozmawiać.

— Obawiam się, że...

— Powiedziała pani, że zna chłopca nazwiskiem David Shelley.

Przyglądał mi się groźnie, a w jego głosie czułam zjadliwość, która wzbudziła mój natychmiastowy opór. Czułam się bezradna wobec tego bezpośredniego ataku i mimo całej wewnętrznej mobilizacji zaczęła mnie ogarniać panika. Potrzebowałam czasu do

namysłu — nad tym, co zrobić i co powiedzieć.

— Gdzie go pani widziała?

— A dlaczego to pana interesuje? — Mój głos zabrzmiał słabo, lecz w tej chwili mogłam stosować jedynie mizerne uniki.

— Znam go — odparł krótko. — Jeśli jest gdzieś w pobliżu, chciałbym zamienić z nim parę słów. To... to syn starego przyjaciela. Na pewno chętnie się ze mną zobaczy.

Akurat — pomyślałam — biedny dzieciak chowa się przed tobą w kościele jak przerażony królik.

— Niestety, właściwie prawie go nie znam.

Ujrzałam turystów, wchodzących po wysokich schodach z położonych niżej ogrodów, i poczułam się lepiej. Nie może mnie przytrzymać ani zrobić sceny, skoro wokół są ludzie. Gdy do nas podejda, spróbuję mu się wymknąć, pójdę wraz z nimi, zgubię się w tłumie...

Zatopiłam szczere spojrzenie w szarych, gniewnych oczach Richarda Byrona.

— Spotkałam go przelotnie podczas zwiedzania, tak jak pana. Nie wiem, gdzie się zatrzymał.

— Kiedy to było?

— Przed dwoma dniami.

— Gdzie? — zapytał cicho, lecz w jego głosie wyczułam nieznośne napięcie. Znowu niepokojąco przypominał Davida.

— W Tarascon — powiedziałam na chybił trafił, niewątpliwie sięgając pamięcią do jakiejś autobusowej trasy. Zwiedzający prawie już do nas podeszli, po czym zatrzymali się na podeście, jeszcze raz podziwiając widok.

— Gdzie w Tarascon? Czy powiedział, że tam się zatrzymał?

— Nie. Mówiłam już, że nie wiem. Rozmawiałam z nim bardzo krótko, gdy zwiedzaliśmy... — Na chwilę ogarnęła mnie panika. Co to jest Tarascon? Co się tam ogląda? Poszłam na pewniaka — ...katedrę.

Usłyszałam, jak ze świstem wciągnął powietrze, po czym spojrzał

na mnie zwięzonymi oczyma. Nie mogłam się mylić co do wymowy tego spojrzenia. Gdy odczytywałam w nim gwałtowne zamiary, nie ponosiła mnie wyobraźnia. Jeśli o kimkolwiek można było powiedzieć, że ma mord w oczach, na pewno dotyczyło to Richarda Byrona w to promienne popołudnie, między kwitnącymi rabatami w ogrodach Nîmes. Potem otoczyła nas grupka turystów, a ja podążyłam wraz z nimi. Dokądkolwiek, bo wśród ludzi, wmieszana w tłum, jestem bezpieczna, nie grozi mi niebezpieczeństwo zdradzenia Davida przed owym człowiekiem o nieubłaganym spojrzeniu, który stał przede mną w słonecznym blasku z morderczym błyskiem w oku.

— O, to pani — odezwał się miękki głos z amerykańskim akcentem. — Czy nie spotkałyśmy się już dzisiaj w Arenie? Niesamowite miejsce, prawda? A gdzie jest pani chłopiec?

Była to kobieta, która podniosła mi torebkę. Uśmiechnęła się wdzięcznie, lecz ja zeszywniałam. Wpatrywałam się w nią tępo.

— Mamo! — odezwał się żalony głosik. — Możesz mi wkręcić ten film?

Znowu się do mnie uśmiechnęła i pospieszyła do Juniora, który przy kawiarnianym stoliku zmagił się z kodakiem. Podążyłam za nią, lecz poczułam rękę, mocno zaciskającą się wokół mego nadgarstka.

— Chwileczkę — powiedział znowu Richard Byron.

Okręcił mnie tak, że stanęłam z nim twarzą w twarz. Odwróciłam się jak woskowa lalka — byłam zupełnie bezwolna. Przyciągnął mnie bardzo blisko siebie, a od siły jego uchwytu poczułam ból w przegubie. Grupa turystów — rozgadana i zajęta tylko sobą — przesunęła się, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Pociągnął mnie za rząd ustawionych tam posągów.

— Niech mnie pan puści!

— A więc była dziś pani w Arenie z chłopcem?

— Niech pan puści moją rękę, bo zawołam policję!

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Może sobie pani wołać.

Przygryzłam wargę i stałam bez słowa. Policja — pytania, dokumenty, samochód — a przecież muszę po cichu wydostać się z Nîmes wraz z Davidem. Richard Byron spojrział na mnie i ponownie się zaśmiał.

— O tak, na pewno zawoła pani policję, co? — Przytrzymał mnie jeszcze mocniej, ale chyba musiałam jęknąć, bo nim rozluźnił uścisk, na jego twarzy pojawił się grymas zadowolenia. — No więc gdzie jest ten chłopiec, z którym pani była?

Nic mi nie przychodziło do głowy.

— Ta kobieta się pomyliła — zaczęłam bezsensownie. — On nie był ze mną. Po prostu zamieniłam z nim parę słów. bTo nie był David.

Roześmiał się szyderczo.

— Znowu pani kłamie? Zamieniła z nim pani tylko parę słów? Tak samo jak rozmawiała pani z Davidem Shelleyem w katedrze w Tarascon?

Skinęłam głową.

— Pewnie się pani zdziwi — powiedział ojciec Davida — ale Tarascon to mała, brudna wioska, której jedynym tytułem do sławy jest zamek nad Rodanem. Pewnie jest tam jakiś kościółek, choć ja osobiście na nic podobnego nie natrafiłem.

Nie odpowiedziałam. Mogłam się tego spodziewać. Johnny zawsze mówił, że kompletnie nie umiem kłamać.

— A teraz, do cholery — oświadczył Richard Byron — idziemy do Davida.

Wziął mnie pod ramię i poprowadził ku schodom.

Nie odzywał się, gdy po długiej kondygnacji niewysokich kamiennych schodków schodziliśmy do ogrodów położonych poniżej. Odpowiadało mi to, gdyż miałam okazję chwilę się zastanowić. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego Richard Byron tak się zachowuje, ale nie chciałam tracić czasu na rozwiązywanie tej zagadki. Teraz muszę przede wszystkim obmyślić sposób, by się

go pozbyć, uciec z Nîmes i dotrzeć do Awinionu tak, by nie natrafił na mój ślad i nie zobaczył Davida.

Jednego byłam pewna: pamiętałam, w jak panicznym strachu chłopiec uciekał z Areny, usłyszawszy głos ojca, musiał się więc śmiertelnie bać spotkania z nim. W tej chwili liczy się zatem tylko to, by mały zdołał uciec. Gdyby wówczas mi o tym powiedział, natychmiast wyjechałibyśmy z Nîmes. A po spotkaniu z Richardem Byronem wiedziałam, że prędzej go zamorduję, niż pozwolę zbliżyć się do chłopca.

Rzuciłam ukradkowe spojrzenie na jego ponuro zamyśloną twarz o nieprzyjemnym grymasie ust. Potem, czując zimny ucisk w żołądku, przypomniałam sobie słowa pani Palmer:

„To szalenieć, powinni go zamknąć... na pewno oszalał!”

Ponownie ogarnęła mnie panika, a jednocześnie osobliwe poczucie nierzeczywistości, które przypuszczalnie ogarnia ludzi w położeniu dziwnym lub przerażającym. To nie mogło przydarzyć się mnie, Charity Selborne, nie szłam brzegiem kanału w Nîmes w Prowansji, przytrzymywana za ramię przez człowieka, który najprawdopodobniej jest mordercą. Człowieka, który przypisał mi ból, skłął i patrzył tak, jakby chciał mnie zabić. Takie rzeczy się nie zdarzają... Myśli wirowały mi w głowie, nie mogłam wykombinować niczego sensownego, ciekawe, czy Johnny też myślał, że to nie może przydarzyć się jemu, gdy jego samolot spadał nad Francją z płonącymi skrzydłami...?

— No i cóż? — zagadnął Richard Byron.

Przystanął na rogu ulicy, prowadzącej do Areny, i spojrzał na mnie.

Nie odezwałam się, a on nagle groźnie zmarszczył brwi.

— No — powtórzył szyderczo. — Co powiesz, ty piękna mała dziwko?

I nagle, w cudowny sposób, ogarnęła mnie wściekłość. Ktoś to kiedyś opisał jako „reakcję chemicznie użyteczną”, co okazało się szczerą prawdą. W każdym razie w głowie mi się rozjaśniło i zapomniałam, że się go boję, niezależnie od tego, czy rzeczywiście jest szaleńcem, czy też nie. Wiedziałam już, co zrobię.

Na samiuśkim końcu ulicy, wiodącej do Areny, ujrzałam zaparkowany duży, szary samochód. Przypomniałam sobie przerażony szept Loraine: „Duży szary samochód z tabliczką GB...” Gdy zerknęłam w przeciwnym kierunku, w stronę rynku, zobaczyłam stojący autobus. Udało mi się nawet dostrzec, dokąd jedzie: MONTPELLIER.

Potem przesłoniłam oczy ręką i warga mi zadrżała.

— No dobrze — powiedziałam — rzeczywiście kłamałam, ale przestraszył mnie pan i chciałam jak najprędzej się panu wyrwać. Istotnie byłam z Davidem Shelleyem w Arenie.

Gwałtownie szarpnęła mnie za ramię.

— Trzeba było od razu tak mówić. Gdzie on teraz jest?

— Nie mam pojęcia.

— Co, znowu zaczynasz?

Niecierpliwie potrząsnęłam głową.

— Nie widzi pan, że teraz mówię prawdę? Nie chciał pojechać ze mną do Tour Magne. Poszedł zwiedzać na własną rękę.

— I gdzie się umówiliście?

Zawahałam się i poczułam, że znowu jest spięty.

— Na rynku — odparłam niechętnie.

Och, Davidzie, wybacz mi, jeśli to nie wyjdzie!

— O której?

— Tak, żeby zdążyć na autobus. Spóźnię się przez pana.

Błyskawicznie odwrócił się na pięcie i skierował wzrok na rynek. Nie było ani śladu Davida.

— Autobus do Montpellier — dorzuciłam ponuro.

W jego oczach pojawiła się satysfakcja.

— Autobus do Montpellier stoi tam — powiedział. — O której odjeżdża?

Spojrzałam w tamtym kierunku, mrużąc oczy.

— Naprawdę? A tak, rzeczywiście. — Ujrzałam kierowców, wygrzewających się w słońcu, jakby mieli nie wiem ile czasu, i postanowiłam ponownie zaryzykować. — Odjeżdża mniej więcej za dziesięć minut. — Potem spojrzałam na Byrona i oczy wypełniły mi się łzami. — Czy teraz mogę już iść? Przepraszam, że pana

zdenerwowałam, ale naprawdę mnie pan przestraszył.

Zawahał się, a ja usiłowałam nie wstrzymywać tchu. Potem gwałtownie puścił moje ramię.

— No dobrze — mruknął. — Przepraszam, że panią przestraszyłem, ale myślałem... w każdym razie nie powinna pani była opowiadać mi tych kłamstw. Trochę się niepokoję o Davida i miałem wrażenie, że chce mnie pani wystrychnąć na dudka. Spotkam się z nim w autobusie.

Ruszył pospiesznie do zaparkowanego samochodu. Ja podszłam do rogu krokiem możliwie niedbałym, a gdy znalazłam się poza zasięgiem wzroku Byrona, popędziłam do kościoła, jak zajęć ścigany przez charty.

Na szczęście kruchta była opustoszała, toteż nikt nie widział, że wdzieram się do budynku, jakbym chciała popełnić świętokradztwo. Jeśli Davida tu nie ma... nie mogłam myśleć o niczym innym. Ale był, skulony w wielkiej ławce w bocznej nawie, z Rommlem śpiącym u jego stóp. Gdy mnie ujrzał, wyprostował się gwałtownie.

— Davidzie — powiedziałam bez tchu — o nic nie pytaj. Szuka cię. Biegnij do samochodu... prędko!

Rzucił mi przerażone i pełne zdumienia spojrzenie, po czym wstał. Gdy doszliśmy do kruchty, zawahałam się przez chwilę i omiotłam wzrokiem rynek, lecz nie dojrzałam szarego samochodu. Skręciliśmy w prawo i popędziliśmy przez otwartą przestrzeń, a biegnąc, kątem oka zobaczyłam, że autobus do Montpellier opuszcza swoje stanowisko i wyrusza w drogę.

Potem odnaleźliśmy nasz samochód i klucząc w labiryncie wąskich uliczek, oddaliliśmy się od rynku.

— Mieliśmy szczęście — wysapałam — z tym autobusem do Montpellier... odjechał wcześniej... ojciec będzie jechał za nim, póki się nie zorientuje, a przez ten czas...

Dwie minuty później riley opuścił Nîmes i wjechał na drogę do Awinionu.

ROZDZIAŁ VII

Nigdy...

(Browning)

Ujechaliśmy już spory kawałek od Nîmes i dopiero wtedy mogliśmy zacząć rozmawiać.

— Zobaczyłeś ojca w Arenie, prawda, Davidzie? — zapytałam ostrożnie.

— Tak. — Głos miał cichy i pozbawiony wyrazu, a ja prawie nie odrywałam oczu od lusterka, patrząc, czy nie pojawi się w nim duży, szary samochód z tabliczką GB. — Najpierw usłyszałem, jak coś powiedział, a potem spojrzałem i zobaczyłem go. Chyba mnie nie widział.

— Nie. Wypaplałam o tobie przez pomyłkę. Spotkałam go w świątyni Diany. W ogrodach.

— I co się stało?

— Usiłował mnie zmusić, bym mu powiedziała, gdzie jesteś. Wymyśliłam parę kłamstewek, na których mnie przyłapał... nigdy nie miałam do tego drygu. Potem wmówiłam mu, że pojedziemy autobusem do Montpellier.

— Przypuszczam, że pojechał za nim?

— Na to właśnie liczę — odparłam pogodnie. — Montpellier leży dokładnie po przeciwnej stronie niż Awinion.

— Tak, wiem.

Coś w jego głosie sprawiło, że rzuciłam mu szybkie spojrzenie. Ścisnął Rommla między kolanami i patrzył przed siebie z miną, której nie mogłam rozszyfrować. Nadal był bardzo blady, a skórę nad kośćmi policzkowymi miał tak napiętą, jakby złapał go skurcz

mięśni całej twarzy. Oczy wydawały się olbrzymie, a gdy się odwrócił, odwzajemniając moje spojrzenie, przez łzy, które bezgłośnie spływały mu po policzkach, dojrzałam w jego wzroku rozpacz i jakieś dziwne uniesienie. Serce zatłukło mi boleśnie i przestałam udawać, że nic takiego się nie dzieje. Wyciągnęłam lewą rękę i dotknęłam jego kolana.

— Nie przejmuj się tak strasznie, Davidzie. Bardzo to przeżywasz?

Przez chwilę nie odpowiadał, aż wreszcie udało mu się opanować głos:

— Skąd dowiedziała się pani o moim ojcu?

— Plotkowano o tym w hotelu. Ktoś, kto interesował się... tą sprawą, rozpoznał twoją macochę. Wiedziałeś, że ojciec może być w Nîmes?

— Nie. Spodziewałem się, że może tu za nami przyjechać... ale myślałem, że nic złego się nie stanie, jeśli wyjedziemy na jeden dzień. Nie powiedziała mu pani, że jesteśmy w Awinionie? — Zwrócił ku mnie twarz, a w jego głosie znowu słychać było strach.

— Oczywiście, że nie. Za żadne skarby nie powinien cię odnaleźć, prawda?

Stanowczo skinął głową, pochylając się nad łbem Rommla.

— Absolutnie. Nie ma pani pojęcia, jakie to ważne. To... to sprawa życia i śmierci.

Jakimś cudem ten banalny, oklepany zwrot, wypowiedziany drżącym, dziecięcym głosem, zupełnie nie wydał się śmieszny, lecz nadzwyczaj przekonujący.

— Davidzie.

— Słucham?

— Chciałbyś o tym porozmawiać?

— Nie wiem. Co naopowiadali pani w hotelu?

— Niewiele. Tylko to, co było wówczas w gazetach. Widzisz, gdybyś od razu w Nîmes powiedział mi, że widziałeś ojca, nie doszłoby do tego wszystkiego. Sądząc z tego, co usłyszałam w hotelu, nie byłoby... pożądane, żeby ojciec cię odnalazł, a gdy

spotkałam go w Nîmes i uświadomiłam sobie, że to jego głos przeraził cię w Arenie, zorientowałam się, że bez względu na to, co się stało, nie chcesz, by cię dopadł. To tyle.

W lusterku nadal widać było tylko wąską, białą drogę, wijącą się pod kołami.

— Tak, to by było wszystko — odezwał się wreszcie David. — Z wyjątkiem jednej rzeczy. Pani Selborne, jest jeszcze jedna, strasznie ważna sprawa.

— O co chodzi, Davidzie?

— Niech pani nie mówi nikomu, ale to nikomu, o tym, co się dzisiaj stało! — rzucił gwałtownie.

— Ależ Davidzie... jak to możliwe? Bezwzględnie twoja macocha powinna...

Zauważyłam, że jego ręce poruszyły się konwulsyjnie w sierści psa, a Rommel zaskomlał protestująco.

— Och, pani Selborne, bardzo proszę, niech pani zrobi tak, jak mówię. Tylko się strasznie zmartwi i nic dobrego z tego nie wyjdzie. To się już nie powtórzy, bo nie będę wychodził, a i tak za parę dni wyjeżdżamy na wybrzeże. Niech pani o tym nie wspomina. Nie prosiłbym, gdyby to nie miało takiego znaczenia.

Milczałam przez chwilę, a Riley ochoczo zaświstał, podjeżdżając pod strone wzniesienie. Przed sobą widziałam głęboką zielenią drzew i złote łuki Pont du Gard.

— W porządku — zgodziłam się. — Nie wiem dlaczego, ale zrobię, jak prosisz. Nadal jednak uważam, że powinnam powiedzieć twojej macosze. Ale nie powiem.

— Słowo honoru?

Chyba nigdy tak żarliwie nie domagano się złożenia dziecinnej przysięgi. Uśmiechnęłam się do Davida.

— Słowo honoru.

Usłyszałam ciche westchnienie.

— Pani jest strasznie miła — skonstatował David naiwnie.

— Dziękuję.

— Jak... jak wyglądał?

Zwolniłam i zatrzymałam się za dużą furgonetką opatrzoną

tablicą rejestracyjną z Vaucluse. W lusterku nadal nic nie było widać. Lecz oczyma duszy ujrzałam mroczną, gniewną twarz Richarda Byrona o groźnie zmarszczonych brwiach i mocno zacisniętych ustach i czułam siniaki na przegubie, który ścisnął zbyt mocno.

— Wyglądał dość dobrze — odparłam ostrożnie — ale, naturalnie, był bardzo zły, więc nie zachowywał się zbyt sympatycznie. Nie dziwię się, że jesteś przerażony, ja się śmiertelnie przestraszyłam. Zastanawiałam się... — urwałam raptownie.

— Czy jest przy zdrowych zmysłach? — spytał cichy głosik obok mnie. — Myślę, że nie. Na pewno oszalał. Zupełnie zwariował.

Dojechaliśmy do Pont du Gard i zatrzymaliśmy się przed hotelem.

Pospieszny rzut oka na stojące na tarasie stoliki pozwolił się nam zorientować, że Louise musiała już wyjechać, toteż znowu znaleźliśmy się na szosie do Awinionu. Teraz po drodze prawie nie rozmawialiśmy, wpatrywałam się w lusterko i jechałam tak szybko, jak tylko starczyło mi odwagi, a David siedział skulony obok mnie, tuląc do siebie psa. Tuż przed szóstą przemknęliśmy przez Villeneuve-lès-Avignon i praktycznie przeczołgaliśmy się przez zwodzony most. Aż dziw, jak silnie czuliśmy, że wjeżdżając do Awinionu, wracamy do domu — chyba dlatego, że po wszystkich wydarzeniach tego dnia hotel wydał nam się bezpiecznym schronieniem, kryjówką, w której można się zaszyć i zaryglować drzwi.

Tym razem przejechałam prosto przez Porte del'Oulle, czując, że kolejne dziesięć minut prowadzenia na otwartej ze wszystkich stron obwodnicy przekracza moje siły. Przemykaliśmy się przez wąskie uliczki niczym powracający do domu kot; Riley wjechał do garażu i przystanął z cichym westchnieniem akurat, gdy zegar na Place de l'Horloge wybił godzinę.

L'heure de l'apéritif. Louise na pewno już siedzi na cichym podwórku i sączy wermut, tak jak wczoraj i przedwczoraj.

Uśmiechnęłam się do Davida, po czym wysiadłam z samochodu.

— Chyba przydałaby się kąpiel przed kolacją, nie uważasz? Spędziliśmy w Nîmes bardzo miły, zwyczajny dzień. O ile pamiętam, Arena zrobiła na tobie wielkie wrażenie.

Zdobył się na nikły uśmiech.

— Dziękuję, że mnie pani zabrała.

Patrzyłam, jak przez podwórze wchodzi do hotelu, po czym odwróciłam się raptownie i wyszłam z powrotem na ulicę. Biegiem niemal dotarłam do bramy, górującej nad podnoszonym mostem, i tam, w głębi zatłoczonej kafejki, oparta o ścianę, wypiliśmy drinka — tym razem był to koniak. Siedziałam tam z pół godziny, obserwując wąski most, łączący miasto z Villeneuve-lès-Avignon.

Ale przez most nie przejechał żaden duży, szary samochód z tabliczką GB. Po jakimś czasie podniosłam się i wróciłam do hotelu.

Louise znalazłam nie na dziedzińcu, lecz w jej pokoju. Przeglądała szkicownik, a nieodłączny wermut stał na toaletce.

— Przyszłam tylko się upewnić, że wróciłaś. Tak się zresztą spodziewałam, gdy nie zastałam cię przy Pont du Gard.

— Wróciłam, kiedy zaczęło się zmieniać światło — odparła. — Miło było, ale czy czujesz się ugotowana żywcem?

Odrzuciłam włosy z czoła i usiadłam na skraju łóżka.

— Było potwornie gorąco — przyznałam. — Niestety, nie dałam rady oblecieć wszystkiego. Po prostu nie miałam siły wspiąć się tę ostatnią milę do rzymskiej wieży. Ale warto było obejrzeć inne rzeczy. Jak ci się szkicowało?

Louise zmarszczyła brew, pochylając się nad szkicownikiem.

— Tak sobie. Kształty są cudowne, ale, o Boże, to światło. Nie mogę go wydobyć. Jeśli pomijam refleksy, łuki wyglądają jak amerykański ser, a jeśli je wydobywam, przypominają tłuste nogi w siatkowych nylonach. Po prostu tych kolorów nie ma w palecie.

Sączyła drinka i przyglądała mi się uważnie.

— Na pewno nie przesadziłaś trochę, Charity? Wyglądasz na wykończoną. Pamiętaj, że nie jesteś taka silna, jak ci się wydaje.

— Nic mi nie jest.

— Ale mimo wszystko uważaj. To nie jest klimat, w którym można ryzykować...

— Nic mi nie jest — powtórzyłam. — A będzie jeszcze lepiej, jak zjem kolację, o której wprost marzę.

Poszłam do pokoju, żeby się przebrać. Nie było już czasu na kąpiel, toteż przetarłam się szybko gąbką nasączoną zimną wodą i włożyłam jasnozieloną suknię. Szczotkując włosy, przejrzałam się w lustrze i z lekkim zdziwieniem zobaczyłam, że pod słabą opalenizną policzki mam zupełnie blade. Coś w oczach i kącikach ust przypomnielo mi Davida, były w nich ślady napięcia... i strachu. Niezadowolona z mego wyglądu, otworzyłam szufladę w poszukiwaniu pudełka z różem. Zaniepokoiłam się, że spotkanie z ojcem Davida, o którym chciałam zapomnieć do czasu, gdy będę w stanie spokojnie je przemyśleć, wywarło na mnie tak głębokie wrażenie. W końcu, co się takiego stało? Posiniaczył mi przegub i szorstko się do mnie odniósł. Czy to naturalny strach psychicznie zdrowej osoby w obliczu kogoś nieobliczalnego? Bez wątpienia bowiem żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach — nawet pomijając straszliwe wyznanie Davida w drodze powrotnej — nie odniósłby się w ten sposób do nieznanym kobiety, nawet gdyby najwyraźniej utrudniała mu upragnione spotkanie z synem.

Roztarłam nieco różu od kości policzkowych do linii włosów, a potem lekko przypudrowałam. Wyglądałam trochę lepiej. A gdy jeszcze umalowałam usta koralową szminką, twarz, która spoglądała na mnie z lustra, wyrażała znacznie więcej odwagi. Dzięki

Bogu za kosmetyki — pomyślałam, wkładając je z powrotem do torby. — Człowiek nie tylko lepiej wygląda, ale i lepiej się czuje z flagą znowu powiewającą na maszcie. Dziś wieczorem nie będę już myśleć o Richardzie Byronie. W Awinionie się nie pojawił, tego byłam pewna. David po prostu musi się przyczaić na parę dni, potem ma jechać na wybrzeże, a Francja jest na tyle duża, że mały chłopiec może się w niej zgubić. Nic więcej nie mogę zrobić, a na razie, choć te wszystkie okropności mogą przyprawić o nocne koszmary, całkiem nieźle sobie radzę.

Schwyciłam torebkę i przy okazji zauważyłam niebieskie ślady na przegubie. Odwróciłam ramię i przyjrzałam się ciemnym sińcom, które palce Richarda Byrona odcisnęły na moim ciele. Potem przypomniałam sobie o szerokiej, srebrnej bransolecie i pośpiesznie ją odnalazłszy, zatrzasnęłam wokół nadgarstka, przykrywając owe wymowne znaki. Ku swej wściekłości stwierdziłam, że znowu drzę.

— A niech to wszystko diabli wezmą! — powiedziałam głośno ze złością i poszłam po Louise.

Kolacja, o której marzyłam, okazała się równie wspaniała, jak samo marzenie. Rozpoczęliśmy od schłodzonego melona, po którym podano słynne *brandade truffée*, specjał, sporządzony z ryby, gotowanej z truflami. Można by było na tym zakończyć i też bylibyśmy w pełni zadowoleni, lecz następne danie — ptaszek, przypominający przepiórkę, duszony w winie i ułożony na zielonych winogronach — skusiłby do przerwania pokuty nawet pustelnika. Potem przyszła kolej na *crêpes Suzette*, a na koniec kawa i *armagnac*.

Spędziłyśmy nad tym posiłkiem dłuższy czas, po czym poszłyśmy na Place de l'Horloge, gdzie znowu zasiadłyśmy nad filiżanką kawy. Louise mówiła o świetle, refleksach, obrazie Brangwyna, przedstawiającym Pont du Gard, jaki widziała na wystawie na

Bond Street, lecz nie przysłuchiwałam się jej zbyt uważnie. Nawet nie rozmyślałam, w każdym razie o niczym sensownym. Po prostu siedziałam, piłam czarną kawę i czułam się bardzo, bardzo zmęczona.

Gdy wróciłyśmy do hotelu koło pół do jedenastej, na dziedzińcu nie było nikogo z wyjątkiem chudego kota, zwiniętego u stóp drzewa Yggdrasil. Życzyłam Louise dobrej nocy i poszłam do swego pokoju. Nadal czułam zmęczenie, toteż powolnymi, mechanicznymi ruchami zdjęłam zieloną sukienkę, posmarowałam twarz kremem, wyszczotkowałam włosy i wykonałam wszelkie inne czynności wymagane przed położeniem się do łóżka. Byłam nawet zbyt zmęczona, by myśleć, i jakąś częścią swego umysłu odczuwałam z tego powodu zadowolenie.

W końcu owinęłam się szlafrokiem, po czym korytarzem poszłam do łazienki, która znajdowała się na jego przeciwległym końcu.

Weszłam już do środka i właśnie cicho zamykałam za sobą drzwi, gdy w korytarzu usłyszałam szybkie, bez wątpienia męskie kroki. Drzwi otworzyły się, po czym dobiegł mnie natarczywy szep:

— Loraine!

Zamarłam. To głos człowieka, którego podsłuchiwałam w towarzystwie Loraine Bristol w Rocher des Doms.

— Loraine!

— To ty? Stało się coś? Co się dzieje?

— Loraine, on tu jest. Widziałem go dzisiaj w Nîmes.

Usłyszałam głęboki, tchnący przerażeniem wdech. Potem rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Zamknęłam drzwi łazienki i stałam przez moment, oparta o nie, a w głowie kotłowało mi się jak w wyeksploatowanym silniku.

Marsden. W autobusie do Nîmes. Na śmierć zapomniałam o Marsdenie.

Muszę zapytać Davida, w którym momencie Marsden wkroczył do akcji. Bezszelestnie wyśliznęłam się z łazienki i przeszłam koło drzwi Loraine Bristol. Z pokoju dobiegał cichuteńki szmer głosów. Na palcach poszłam dalej, skręciłam za róg korytarza, do pokoju Davida, i uniosłam rękę, by poskrobać w drzwi, zastanawiając się jednocześnie, czy Rommel śpi wraz z nim i czy będzie czekał.

Potem znieruchomiałam, z ręką w pół drogi do drzwi i znowu zastygłam.

Z pokoju dobiegało rozpaczliwe dziecięce łkanie.

Stałam tak dłuższy czas, po czym opuściłam rękę i powróciłam do swego pokoju.

ROZDZIAŁ VIII

— *Gdym ja mną, a sobą ty*
I na tym świecie my oboje,
Gdy jedno umyka, ścigać musi drugie.
(Browning)

Mimo wszystko spałam całkiem nieźle. Następnego ranka koło dziewiątej obudziła mnie Louise, która schodząc na śniadanie zastukała do moich drzwi.

Powoli wstałam i ubrałam się. Nadal miałam cienie pod oczami, a na przegubie odznaczały się ciemne ślady, lecz włożywszy sukienkę koloru kawy z mlekiem i srebrną bransoletę, wiedziałam, że zdołam stawić czoło wszystkiemu, cokolwiek się zdarzy. Zeszłam na dziedziniec na śniadanie.

David już tam był, wyglądał, jakby nie spał zbyt dobrze, lecz uśmiechnął się do mnie pogodnie na powitanie, a Rommel pod stołem pomachał mi swym śmiesznym ogonem. Loraine Bristol, która zapalała papierosa od na pół wypalonego poprzedniego, uniosła ku mnie wzrok. Wyglądała tak, jakby nie zmrużyła oka, a zmarszczki od nozdrzy do ust wyraźnie pogłębiły się na ślicznej twarzy, nadając jej wyraz zaciętości. Postarzała się przez tę noc. Zrobiło mi się jej żal.

— Dzień dobry, pani Selborne — powiedziała. — Bardzo miło z pani strony, że wzięła pani wczoraj Davida. Opowiadał mi, jak przyjemnie spędził czas.

— Świetnie się bawiliśmy — odparłam. — Nîmes to urocze miasteczko, choć nie wszędzie ładnie tam pachnie. Mam nadzieję, że któregoś dnia David będzie mógł jeszcze raz ze mną pozwieźać.

Zauważyłam, że David szybko uniósł wzrok, po czym pani Bristol odparowała:

— To bardzo miło z pani strony. Może kiedyś. Ale niebawem wyjeżdżamy z Awinionu, a potem jedziemy do Nicei.

— Mam nadzieję, że będzie to udany pobyt — powiedziałam, po czym uśmiechnęłyśmy się do siebie jak dwie mechaniczne lalki i wróciłam do swojego stolika.

Pijąc kawę i pogryzając rogaliki, rozglądałam się po dziedzińcu. Mamuśka i Papa z Newcastle też już zeszli, a Mamuśka, napotkawszy mój wzrok, pomachała do mnie przyjaźnie. Carole najwyraźniej jeszcze nie wstała, a może zrobienie toalety równie przeraźliwej jak ta, której efekty zaprezentowała wczoraj, pochłaniało jej mnóstwo czasu. Para rozamorowanych młodych Amerykanów siedziała w rogu z głowami nachylonymi ku sobie. Nigdzie nie było śladu Francuza, Paula Véry'ego. Lecz Marsden siedział przy swoim stoliku, tuż obok obrośniętej winoroślą kratownicy. Zagłębiony w lekturze *Little Gidding*, z niezmaconym spokojem jadł *croissants*.

— Przy śniadaniu! — rzekła Louise ze zgrozą. — Człowiek, który czyta poezje przy śniadaniu, zdolny jest do wszystkiego.

Prawdopodobnie masz rację — pomyślałam, przypominając sobie stanowczy głos, który słyszałam w mroku... „już raz wyciągnąłem cię z tarapatów, zgadza się?... Mam oko na wszystko, a ty mi ufasz, prawda?”

— Dziś też idziesz zwiedzać? — usłyszałam głos Louise.

Uwolniłam się od swych myśli i nalałam sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

— Będę robić to, co ty — powiedziałam.

— Usiądziesz w cieniu i będziesz piła sok grejfrutowy z lodem?

— O właśnie.

— Zmęczona?

— Trochę. Miałaś rację. Ten wczorajszy upał mnie wykończył. Dziś zostanę w domu i wymyślę coś fantastycznego na jutro.

Niebawem goście zaczęli się podnosić, a turyści omawiali swe dzisiejsze plany. Wyszli Niemcy, dyskutując na temat przewodnika, a wkrótce po nich para Amerykanów wolnym krokiem, trzymając się za ręce, ruszyła w stronę Rue de la République. Potem podniósł się David i wszedł do hotelu z Rommlem, a za parę chwil w jego ślady poszedł Marsden. Lo raine Bristol, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, zapaliła kolejnego papierosa. Wybąkałam jakąś wymówkę i wstałam z krzesła. Może teraz zdołam wślizgnąć się do pokoju Davida i zapytać go o Marsdena — dlaczego Loraine Bristol, skoro rzeczywiście znała Marsdena i skoro pomógł już raz jej i Davidowi, nie powiedziała chłopcu o tej znajomości. Może David poczułby się pewniej, gdyby wiedział, że jest taki mężczyzna, który ustrzeże go przed Richardem Byronem.

Możliwe oczywiście — rozmyślałam wchodząc po schodach — że David wiedział o tym, lecz nie dał tego po sobie poznać; gdy ujrzał Marsdena w autobusie, powitali się bardzo zdawkowo, jak witają się goście z tego samego hotelu.

Marsden mieszkał na wyższym piętrze, a zatem, nie zbliżając się do pokoju Davida, weszłam do siebie i zebrałam rzeczy, które będą mi potrzebne przed południem: okulary przeciwsłoneczne, książkę, przewodnik Michelina. Po paru minutach ponownie wyszłam na korytarz, gdzie przekonałam się, że w tej chwili nie będę mogła zamienić z Davidem słówka na osobności, albowiem chłopiec, Rommel i Marsden kierowali się w stronę schodów.

— ...więc pomyślałem, że dziś rano tam pójde... — usłyszałam głos Davida — ...zamiast iść nad rzekę.

— Ja też chcę się przespacerować w tamtą stronę — zwierzył się Marsden. — Może pójdziemy razem?

— Bardzo chętnie...

Głosy ucichły. Wróciłam do pokoju, myśląc, że nic nie wskazuje na to, by David orientował się w głębokich powiązaniach Marsdena z jego własnymi sprawami. Potem usłyszałam, że wychodzą na dziedziniec, pod balkon i przesunęłam się w kierunku okna.

— Wieża jest w północnym rogu — powiedział Marsden —

choć nie mam pojęcia, jak zdołał doprowadzić do niej muła. Byłeś tam kiedyś?

— Nie — odparł David. Widziałam, jak podchodzi do stolika macochy. — Idę na Rocher des Doms — zakomunikował. — Razem z panem Marsdenem. Stamtąd jest wspaniały widok na prom, który trzeba przywiązywać liną, żeby go nie zniosło.

Tak — myślałam patrząc jak idą razem Rue de la République — świetnie widać też stamtąd zwodzony most na szosie z Nîmes i Montpellier. Zastanawiałam się, ile też czasu zmitręży David na obwałowaniach, wypatrując dużego, szarego samochodu z tabliczką GB.

Dzień dłużył się niemilosiernie. Ranek spędziłyśmy wraz z Louise w ogrodach, zgodnie z planem pijąc sok grejpfrutowy z lodu i leniwie przyglądając się półkolom wodnego pyłu, zraszającego soczyście zielony trawnik. Potem Louise wyjęła szkicownik i zaczęła kreślić pomysłowe rysunekzki dzieci, chudych i opalonych na brąz, mocno wpartych w wąskie krzesła starych kobiet, które robiąc na drutach pilnowały malców, półnagich mężczyzn w obszarpanych spodniach, grabiących żużel, księży w sutannach, kręcących się koło położonego naprzeciwko kościoła. Wyjęłam książkę i próbowałam czytać, lecz przed sobą ciągle widziałam parę gniewnych, szarych oczu, czarnych brwi i usta, wykrzywione nagłym paroksyzmem morderczej furii. Zamrugalam, starając się odpędzić ten obraz i zaczęłam czytać z uwagą, lecz po paru minutach stwierdziłam, że wciąż wpatruję się w tę samą stronę, nie rozumiejąc z niej ani słowa i że mój mózg, niczym uszkodzona płyta, ciągle powtarza: „Ty mała dziwko, ty mała dziwko, ty mała dziwko”. Odrzuciłam włosy do tyłu, jakbym tym gestem mogła odrzucić wspomnienia, lecz po chwili poniechałam daremnych prób czytania i siedziałam tylko, bawiąc się okularami przeciwsłonecznymi. Żalowałam, że nie umiem rysować — czy robić

czegokolwiek innego, co oderwałoby moją uwagę od sprawy, którą ciągle na nowo przeżywam.

— Louise.

— Mm?

— Chodźmy coś przekąsić.

— Tak wcześnie?

— Już byłaby pora. Nie uważasz, że mogłybyśmy wrócić do hotelu?

Lecz choć długi czas przesiedziałyśmy na dziedzińcu, jedząc lunch i paląc papierosy, nie pojawił się ani David, ani Marsden. Paul Véry, który jak zwykle siedział przy swym narożnym stoliku, przesłał mi uśmiech znad aperitif, lecz prócz niego i nas obu reszta gości, w tym również Loraine Bristol, najwyraźniej jadła lunch gdzie indziej. Nareszcie wstałam.

— Muszę trochę odpocząć — powiedziałam i poszłam do swego pokoju.

Ku swemu zdziwieniu parę godzin przespałam głęboko i bez snów, a gdy się obudziłam, czułam się odświeżona i na nowo odzyskałam spokój ducha. Umyłam się, włożyłam jasnozieloną sukienkę i zrobiło mi się dziwnie lekko na sercu, jakby jakaś ciemna chmura odpłynęła znad horyzontu, a na mokrą, wiosenną trawę padły promienie słońca. Przeżyłam bardzo niemiłą przygodę, która wytrąciła mnie z równowagi, ale cóż, to już minęło, a wspomnienie szalonego, pełnego wściekłości zachowania Richarda Byrona można odłożyć do lamusa wraz z innymi nieprzyjemnymi rzeczami. Podśpiewywałam, zatrząskując srebrną bransoletę wokół ścińców i szczotkując włosy, uśmiechałam się do swego odbicia.

A co do Davida — uchodząca chmura rzucała tu przelotny cień, lecz świeży wiatr zdrowego rozsądku rozwiął go na strzępy. Problem Davida bez wątpienia był tragiczny, lecz w sumie, stosunkowo nieskomplikowany. O chłopca troszczyło się dwoje dorosłych, a jeśli rozmowa w Rocher des Doms cokolwiek znaczyła,

Lorraine Bristol w końcu poślubi człowieka, który przyszedł jej z pomocą. Jedyny kłopot polegał na tym, by utrzymać Davida z dala od ojca, a to nie powinno nastęrczać większych trudności. I, cokolwiek bym o tym sądziła, nic nie mogę zrobić dla dzieciaka. To zmartwienie pani Bristol, ja jestem obcą osobą. A za parę dni i tak stąd odjadą. Najrozsądniej nie zawracać sobie tym głowy.

W beztroskim nastroju weszłam do pokoju Louise, która układała sobie włosy.

— Louise, mam pomysł. Nie mogę usiedzieć w miejscu, zbrzydło mi słodkie nieróbstwo. Chcę wziąć samochód, pojechać do Les Baux i spędzić tam jedną, a może dwie noce. Wybierzesz się ze mną?

— Do Les Baux? Co to jest i gdzie?

— To opuszczona wioska na południe od Awinionu. Musi tam być dziko i niesamowicie: tylko ruiny, opustoszałe domostwa, gospoda i wspaniały, nieprawdopodobny widok. Na to właśnie mam ochotę, uciec jak najdalej od ludzi.

Louise odłożyła szczotkę i zaczęła robić makijaż.

— Chcesz, żebym z tobą pojechała? Chodzi mi o to, czy nie chcesz jechać sama?

— Wszystko mi jedno. Nie dlatego pytałam. Jeśli chcesz się przejechać, będzie mi bardzo miło, a jeżeli wolisz zostać, z przyjemnością pojedę sama.

Spojrzała na mnie w lustrze.

— Na pewno?

— Absolutnie. Rozumiem, że nie chcesz jechać?

— Nieszczególnie. Raczej posnuję się tutaj i porysuję. Ale gdybyś...

— Więc nie ma sprawy. To mi nagle przyszło do głowy, bo coś mnie napadło, ale ty przecież możesz czuć się zupełnie inaczej. Zadzwonię i zapytam, czy mają wolny pokój w gospodzie, a jeśli tak, pojedę tam na kolację.

Louise przysiadła, by włożyć sandały.

— Wiesz — powiedziała, unosząc ku mnie wzrok. — Tak się zastanawiałam wczoraj wieczorem... Czy coś się stało?

— Absolutnie nic — skłamałam pogodnie. — Byłam zmęczona, ale przespałam całe popołudnie i świetnie mi to zrobiło. Tyle że w Awinionie czuję się jakaś przygaszona i dlatego chcę pojechać na noc do Les Baux. Na pewno nie chcesz się ze mną zabrać?

Louise potrząsnęła głową.

— Na pewno. Jedź i obcuń z naturą, duchami i zrujnowanymi domami. Brzmi to koszmarnie. Najprawdopodobniej zobaczymy się, kiedy się zobaczymy.

Zesłam zatem na dół i zatelefonowałam do gospody w Les Baux, gdzie na szczęście udało mi się zarezerwować pokój na jedną noc, z możliwością przedłużenia, gdybym wyraziła na to chęć. Czując się nieco jak świeżo zwolniony więzień, pospieszyłam do swego pokoju, wrzuciłam szlafrok i parę przyborów toaletowych do podręcznej torby, znowu zesłam, by poinformować o moim wyjeździe *madame*, po czym pożegnałam się z Louise i udałam się po samochód.

Wszystko to poszło tak szybko, że opuściłam Awinion i wjechałam na drogę do Orgon, zanim tak naprawdę zdążyłam pomyśleć, co właściwie robię. Ale kiedy już się nad tym zastanowiłam, prowadząc samochód niezbyt szybko w wieczornym świetle, nadal wydawało mi się, że postępuję słusznie. Nade wszystko pragnęłam choć na krótko wyrwać się z Awinionu, z *galère*. I chciałam być sama. Byłam zadowolona, że Louise nie zdecydowała się mi towarzyszyć, choć, znając ją, ani na moment nie podejrzewałam, że mogłaby mieć na to ochotę. Wyobrażenie, jakie powzięłam o Les Baux, opustoszałej górskiej wiosce, gdzie noc jest tak cicha, a świt tak piękny, symbolizowało akurat to, czego tak bardzo mi było potrzeba.

Stanowczo postanowiłam nie myśleć o Davidzie Byronie, o Richardzie zaś, jego ojcu, nie myślałam w ogóle, chyba że w przypływie perwersyjnego rozbawienia, gdy spojrzawszy na mapę, uświadomiłam sobie, że niebawem będę skręcać na drogę do Tarascon.

Robiło się późno i wieczorne światło zaczynało mrocznieć. Po raz ostatni rzuciłam okiem za siebie, na wieżę Awinionu,

wznoszące się nad drzewami niczym latarnie. Krajobraz wokół mnie stawał się coraz dzikszy i piękniejszy, przechodząc od białego, zakurzonego blasku dnia do różowości i szkarłatu wieczoru. Słońce zachodziło, nie jak stężona gwiazda ognia, lecz głęboko rozpraszając bursztynowe światło, aż zdało się, że spiczaste, czarne kolumny cyprysów drżą w tym blasku i śmigają wzwyż, niczym uformowane z cieni płomienie.

Niebawem riley wspiał się na ostatnie wzgórze. Nie było jeszcze siódmej, gdy zaparkowałam go przed gospodą.

ROZDZIAŁ IX

Oi deus, oi deus, de l'albal tan tost ve.

(O Boże, o Boże, ranek przychodzi tak szybko.)

(średniowieczna piosenka francuska)

Opustoszałe miasteczko Les Baux, w średniowieczu potężna, straszliwa forteca, góruje nad południowymi równinami. Pozbawione oczu domy bardziej przypominają rozbite skorupy, kruszejące zarysy masywnych niegdyś bastionów; od czasu do czasu trafia się cacko w postaci rzeźbionego renesansowego okna zdobionego paprociami. Ulice, przy których stoją owe starodawne ruiny, odznaczają się swoistym, niesamowitym pięknem, a jakaś cząstka okrutnej i straszliwej historii „wilków z Les Baux”, panów orańskich i władców Arles, nadal tkwi w tych rozsypujących się fortyfikacjach. Widok ma w sobie dość dzikości i jest wystarczająco osobliwy, by zadowolić każdego, kto, jak ja tego wieczoru, czuł tak silną potrzebę ciszy i wyłącznie własnego towarzystwa. Z niejakim rozbawieniem obserwowałam, jak opada mnie nastrój melancholii, w którym nie tacy znowu romantycznie nastawieni ludzie osiemnastego wieku w Anglii znajdowali tak szczególne upodobanie.

Siedziałam przy oknie jadalni w małej gospodzie, przyglądając się wieczornemu światłu na odległych zboczach i rozkoszowałam się spożywaną w samotności kolacją. Jadłam powoli, a światło dnia stopniowo zniknęło. Po pewnym czasie wyniosłam kawę i *chartreuse* na niewielki taras, wprawiając się zarazem w odpowiedni nastrój, by ulec potędze przeszłości.

Wyjęłam książkę i ponownie przeczytałam *chansons de toile*,

pieśni uroczej Isabel, pięknej Yolande, nadobnej Aiglentine, które śpiewały nad robótką, tak dawno temu, w tej samej krainie. Po-tem zamknęłam książkę i siedziałam rozmarzona, mając wzrok utkwiony w poszarpanych konturach i wypełnionych duchami tarasach miasteczka. Usiłowałam w myślach wybrukować ulice, wyciąć roślinność i wypełnić puste alejki końmi, ludźmi, błyskiem zbroi i szkarłatem chorągwi.

Siedziałam tam tak długo, aż nad miasteczkiem zapadła ciemność, po czym zesłam do samochodu i przestawiłam go spod drzwi gospody. Zawróciwszy po szerokim łuku, umieściłam rileyę zgodnie z kierunkiem jazdy i zaparkowałam dwoma kołami na skraju szosy.

Gdzie to czytałam, że brzask nad ruinami miasta należy do najpiękniejszych widoków na świecie? Wyglądając przez okno w mrok, wypatrując ciemniejących niepostrzeżenie zarysów skały i wzgórza, pomyślałam, że książka ta najprawdopodobniej mówiła prawdę. Wyjdę wcześniej, poczekam na wschód słońca i zobaczę, czy duchy królów Arles naprawdę o świecie wyruszają na przejażdżkę. A więc nie rozebrałam się, lecz zdjęłam tylko sukienkę i buty, po czym położyłam się na jednym z łóżek. Usnęłam niemal natychmiast.

Musiałam spać ze trzy, cztery godziny, bo gdy się obudziłam i odwróciłam głowę, by spojrzeć w okno, ujrzałam, że jeszcze co prawda nie świta, lecz mrok z lekka się rozjaśnia. Zapaliłam światło i spojrzałam na zegarek, ale okazało się, że zapomniałam go nakręcić poprzedniego wieczoru. Ponownie zgasiałam światło, wstałam, po czym podeszłam do okna. Okna mojego pokoju wychodziły na południowy wschód, a po lewej zaczynałam dostrzegać początki rozszczepiania się nocy, łagodny zarys światła u sponu chmury. Powietrze było chłodne, czyste i nieruchome.

Zasunęłam żaluzje, ponownie zapaliłam światło, a potem włożyłam sukienkę i buty. Opłukałam twarz i ręce zimną wodą, by się do reszty obudzić, włożyłam płaszcz, cicho wysunęłam się z pokoju i zesłam po schodach.

Musiałam narobić trochę hałasu, lecz chyba nikt go nie usłyszał,

a w każdym razie nie zwrócił na niego uwagi. Przypuszczam, że ludzie w Les Baux przyzwyczaili się do turystów, podziwiających wschód słońca. Drzwi gospody nie były zamknięte na klucz, a zatem najwyraźniej duchy książąt orańskich nie wyrządzały nikomu żadnych konkretnych krzywd. Żałując, że nie mam latarki, wyszłam ostrożnie i uważnie patrząc pod nogi, zmierzałam w kierunku opuszczonych budynków. Po trawie posuwałam się bez najmniejszego szelestu.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo siedziałam tam w rogu, między rzeźbionym kamieniem a surową skałą. Chyba jednak dość długo, bo moje czuwanie sprowadziło w końcu świt. Ujrzałam pierwszy brzask, poprzedzający zagłębione w kielichu chmurki ze wschodu słońce, które stopniowo powiększało się i rozrastało, aż sięgnęło brzegów i wreszcie rozlało się jak mleko na złotych ustach i ubrudziło ciemną twarz niebios od krańca do krańca. Od wschodu na północ i z powrotem na południe, chmury rzedyły, a gwiazdy — na granicy zagłady — zatapiały się w porannym wietrze i wrota dnia gotowe były otworzyć się na sygnał trąby.

oi deus, oi deus, de l'albaltan tost ve...

Nagle zrobiło mi się zimno. Przyjemna melancholia opuszczała mnie, a w jej miejsce zaczęło narastać nieproszone ziarenko samotności, które, jak dobrze wiedziałam, w tej mrocznej i dzikiej okolicy może aż nazbyt szybko rozwinąć się w kwiat rozpacz. Gwałtownie zapragnęłam papierosa.

Podniosłam się, rozprostowałam i przez chwilę patrzyłam na coraz szerzej rozlewające się smugi światła. Być może nieświadomie czekałam, aż wśród gwiazd rozlegną się ostre tony trąby, grającej pieśń na powitanie poranka.

Z tyłu coś się poruszyło.

Poruszyło się i przemówiło.

Gdy się odwróciłam, serce biło mi jak młotem, a ręce przycisnęłam do gardła...

— A więc znowu panią odnalazłem — powiedział Richard Byron.

Stał zaledwie trzy jardy ode mnie. W ciemności widziałam tylko cień, majaczący na wzgórzu powyżej, lecz wszędzie poznałabym ten głos, twardy, zjadliwy, ostry, z niemłą nutą szyderstwa. Nadal tkwił w bezruchu, zatopiony w mroku, a ja wiedziałam, że jestem uwięziona w skalnym narożniku równie skutecznie, jakbym znajdowała się w zamkniętym na klucz pokoju. Z lewej strony i z tyłu miałam skalną ścianę i resztki górującej nad nią skarpy, z prawej uskok na południową równinę, a przed sobą Richarda Byrona.

Stałam nieruchomo i czekałam.

Zapalił papierosa i w syczącym ogniku zapalki ponownie zobaczyłam twarz z mego koszmaru — ciemne włosy, opadające na zmarszczone brwi, srogie oczy, zwężone w bliskości płomienia.

Zapalka zatoczyła krótki łuk nad skałą. Papieros żarzył się czerwonym blaskiem, gdy Byron go pociągał.

— Jak się pan tu dostał? — spytałam i poczułam niepokój, bo mój głos zabrzmiał nieswojo.

— Zatrzymała się pani w St-Rémy, żeby zatankować benzynę. Gdy obsługa nalewała paliwo i czyściła samochód, pani przeszła na drugą stronę i w kawiarni na bulwarze wypila drinka.

— Zgadza się. Był... był pan w St-Rémy?

— Owszem. Podobnie jak pani zamówiłem drinka, kiedy na stacji chodzili koło mojego samochodu. Podszedłem do pani warsztatu i czekałem, ale usłyszałem, że pyta pani o drogę do St-Rémy. Pomyślałem wtedy, że mam panią w garści, więc postanowiłem zaczekać. Tu jest trochę bardziej odludnie niż w St-Rémy, a przecież mamy ze sobą do pogadania, prawda?

— Doprawdy?

— Ty mała dziwko, wiesz dobrze, o co chodzi. — Jego głos nie zdradzał żadnych emocji. — Gdzie jest David?

A więc znowu do tego wróciliśmy, lecz tym razem sprawa przedstawiała się dla mnie nieco klarowniej. Wiedziałam, że nie zdradzę mu miejsca pobytu Davida, ale upewniłam się też co do czegoś, co przedtem tylko podejrzewałam, a mianowicie, że to szaleniec, który nie zawaha się przed użyciem żadnych środków, by zdobyć wszystko, na czym mu zależy.

— Gdzie jest David?

— Mam nadzieję, że śpi spokojnie w swoim łóżku.

Zrobił niecierpliwy gest, a mnie ścisnęło w gardle.

— Wiesz, o co mi chodzi. Gdzie on jest?

— Tego panu nie powiem — stwierdziłam spokojnie.

Jeśli wpadnie w furję, to trudno, ale doszłam do wniosku, że lepiej postawić sprawę jasno, niż kluczyć.

Milczał przez chwilę; widziałam, że papieros rozjarzył się dwukrotnie, raz za razem.

Następne pytanie zupełnie zbiło mnie z tropu.

— Chcesz pieniędzy? A jeśli tak, to ile?

— Mam dość, jak na swoje potrzeby — odparłam, gdy byłam już w stanie wydobyć głos. — A ile chce mi pan zaoferować... trzydzieści srebrników?

Czułam jego wzrok, utkwiony we mnie mimo ciemności. Znowu się zaciągnął.

— Ale nie odmówiłabym papierosa — powiedziałam.

Słyszałam, jak przetrząsa kieszenie, po czym zapalka znowu trzasnęła i zapaliła się. Tym razem czujnie się we mnie wpatrywał w blasku płomienia. Zapalił papierosa i, podchodząc krok bliżej, wręczył mi go.

— O co chodzi? — rzuciłam z pogardą. — Boi się pan, że pana strącę na dół, gdy się pan zbliży?

— Słuchaj, skarbie — wycedził Richard Byron zrównoważonym głosem — to nas do niczego nie doprowadzi. Chcę wiedzieć, gdzie jest David. Ty wiesz, ale nie chcesz mi powiedzieć. W takim razie trzeba będzie cię do tego zmusić.

Papieros niewiele mi pomógł, cisnęłam go za skalę. Minął krótki moment, w którym inicjatywa należała do mnie. Richard Byron zaatakował znowu.

— A jak zamierza pan tego dokonać? Torturami? Niechże pan

będzie dorosły. — Wygłosiłam tę tyradę z brawurą, której nie czułam.

— O Boże, chętnie bym tego spróbował. Jeśli znowu cię dotknę, nie ręczę za siebie. Z rozkoszą skreśliłbym twój śliczny karzek — powiedział dziko.

Rozumiem. Dobra gestapowska szkoła. — Ale głos mi drżał.

— Czemu nie? Widziałem, jak to robili, kobietom też. Bardzo często skutkuje.

— Niech pan się nie wygłupia — rzuciłam ostro.

Znowu przenikał mnie strach z nocnego koszmaru, lodowate zimno. Teraz widziałam Byrona trochę lepiej. Górował nade mną, jego sylwetka rysowała się na tle słabego blasku wschodzącego słońca niczym cień upiora.

— Jeśli zrobi pan choć krok w moją stronę, zacznę krzyczeć.

— Nie bój się. Nic ci nie zrobię. Jeszcze nie teraz. Ale musimy sobie wyjaśnić pewne rzeczy.

Odrzucił papierosa, a gdy uczynił ten gwałtowny ruch, żołądek podskoczył mi ze strachu i zrobiło mi się niedobrze. Zimno i niedobrze. Oparłam drżącą rękę o spoczywający za mną głaz, lecz dłoń zsunęła się nieco. Kamień był oślizgły.

Richard Byron nie starał się mówić szczególnie dobitnie, lecz jego głos rozbrzmiewał w moich uszach z mocą młota walącego w stal.

— Zakładam, że wiesz, kim jestem. Powiedziałem, że jestem przyjacielem Davida. To nieprawda, o czym przypuszczalnie wiesz. Jestem jego ojcem i wydaje mi się, że w związku z tym mam prawo wiedzieć, gdzie on się w tej chwili znajduje.

Nie odezwałam się. Oparta o skałę, walczyłam z tym samym poczuciem nierzeczywistości i koszmaru, którego doznawałam na ulicach Nîmes. Zwalczałam też fale mdlącej ciemności, które napływały z zimnej nocy, oblewając mnie od stóp do głów.

— Już raz zamordowałem — dodał Richard Byron miłym głosem — i wykreśliłem się z tego. Podobno za drugim razem łatwiej idzie. I zapewniam cię, ty mała idiotko, że aby tylko odzyskać

syna, dziś zrobię to znowu, równie łatwo, jak się gasi papierosa.

Z tyłu za nim, od wschodu, rozwierały się wrota niebios, pieśń poranna na pewno się rozległa, lecz ja jej nie słyszałam... W niebo uderzały pierwsze strzały świtu, czyste i ostre. Wymazała je ponownie kolejna fala ciemności, podnosząca się z wilgotnej ziemi u moich stóp. Upadałam... kurczowo chwytałam się głazów... wyslizgiwały mi się z rąk... cały świat wymykał się gdzieś, z dala od słońca.

Z wielkiej dali w mroku odezwał się głos.

— Nie ma nic prostszego niż morderstwo...

Wyciągnęłam ręce w jałowym geście, a cień Byrona piętrzył się nade mną, po czym spadł na mnie jak jastrząb...

Zemdlałam.

Pogrzebali mnie i przykryli ciężkim głazem. Ale nie umarłam i za wszelką cenę starałam się go podnieść, lecz związali mi też ręce i nie byłam w stanie się ruszyć... Nie zdołałam nawet otworzyć oczu. Potem głaz uniósł się sam z siebie, toteż w milczeniu i ciszy mogłam z lekka poruszać głową i rękami. Musiałam płakać albo się utopiłam... Twarz miałam zimną i mokrą.

Z trudem dotarłam na skraj świadomości, a otworzywszy oczy, stwierdziłam, że przynajmniej ciemność była prawdziwa, tak jak łyzy na mojej twarzy. Łzy? Z wolna podniosłam rękę i przekonałam się, że wilgotne mam nie tylko policzki, lecz również czoło i włosy. Ktoś oblał mnie zimną wodą. O to chodziło. Z jakiegoś powodu zemdlałam i ktoś zmoczył mi twarz zimną wodą, by mnie ocucić.

Półprzytomnie odwróciłam głowę. Leżałam na łóżku przy oknie, lecz zasunięte żaluzje broniły wstępu słabemu, szaremu światłu poranka. Rozejrzałam się po pokoju. W ciemności rozróżniłam zarys komody... jeszcze jednego łóżka... Na tym drugim łóżku leżał ktoś, paląc papierosa. Widziałam, jak płomień rozżarza się i przygasa, rozżarza i przygasa.

— Johnny? — wyszeptalam.

Głos, który mi odpowiedział, rozwił sen i gwałtownie przywrócił mnie do rzeczywistości.

— A więc doszłaś do siebie — skonstatował. — Kim jest Johnny? Też jest w to wmieszany?

Przez chwilę nie odpowiadałam.

— Nie wywiniesz się z tego tak gładko — odezwałam się wreszcie.

— Z czego?

— Co tu robisz? Dlaczego nie dajesz mi spokoju?

— To niezły sposób, żeby mieć na ciebie oko — powiedział leniwie. — Już ci mówiłem, dlaczego nie zostawię cię w spokoju. Przez ciebie znajdę dostęp do Davida i będę cię mocno trzymał w garści, póki nie dostanę tego, czego chcę.

— Ale to mój pokój — zaoponowałam. — Wyobrażasz sobie, że w gospodzie nie będą ciekawi, kim jesteś? Nie ujdzie ci to na sucho, nawet we Francji. A jeśli zacznę krzyczeć?

Papieros żarzył się spokojnie.

— A krzycz sobie. — W jego głosie usłyszałam śmiech.

Przygryzłam wargę. Jasne, że nie mogę krzyczeć, oczyma duszy widziałam już rezultaty podobnych poczynań: zamieszanie, wyjaśnienia, wzajemne obwinianie się, być może wezwą policję, a wtedy zażądają nazwisk... i adresów. Nie, nie mogłam krzyczeć.

Roześmiał się w ciemności.

— Tak czy tak, jestem twoim mężem. Przybyłem tu wczoraj późno w nocy i nie chciałem im przeszkadzać. W końcu byłem pewien, że nie zamówiłaś specjalnie pojedynczego pokoju. Tak się szczęśliwie złożyło, że tutaj wszystkie pokoje są dwuosobowe.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytałam ponownie.

— Przyssać się do ciebie jak pijawka, jak kochanek.

Ułożył się wygodnie na łóżku. Ja wpatrywałam się w ciemność, zbyt wyczerpana, by znaleźć miejsce na strach; czułam się pusta i zmęczona. Z satysfakcją przypominałam sobie, że nie powiedziałam *madame* ani skąd przybywam, ani dokąd się udaję, a w książce gości podałam tylko *en passant*.

Nie dowie się niczego ani w gospodzie, ani z książki meldunkowej.

— Czy nie wyda im się dziwne, że przyjechaliśmy dwoma samochodami?

— Nie przyprowadziłem swojego — powiedział. — Zostawiłem go paręset jardów bliżej, za zakrętem jest zupełnie niewidoczny. Nie chciałem, żebyś go widziała, gdybyś przypadkiem kręciła się po okolicy. Tym się nie przejmuj.

Nie chciało mi się wyjaśniać, jak mało się przejmuję. Odwróciłam się do okna i położyłam poduszkę na drugą stronę, by przytulić policzek do suchej poszewki. Trzeba będzie poczekać do rana. Nie mogłam nic zrobić, a zdrowy rozsądek mówił, że skoro Richard Byron chce wyciągnąć informacje, nie zamorduje mnie, gdy będę spała. Nie sądziłam też, by posunął się do jakichś gwałtownych czynów, skoro w pobliżu są ludzie, a gdy będę dostatecznie przerażona, zaryzykuję dochodzenie policyjne. Nadal, oczywiście, byłam w płaszczu i butach, a więc zsunęłam buty i owinęłam się mocno płaszczem, po czym skuliłam się, plecami do drugiego łóżka.

— Kim jest Johnny? — zapytał Richard Byron.

— Nie chcę z tobą rozmawiać. Idę spać.

Usłyszałam cichy chrzęst, gdy gasił papierosa w popielniczce między łózkami. Nie odezwał się. Sprężyny drugiego łóżka zakrzypiały donośnie, a ja podświadomie się spięłam. Ale on tylko mościł się i odprężał.

Po chwili, ku mojemu niejakiemu zdumieniu, zapadłam w sen.

ROZDZIAŁ X

I od tej pory słodkie dziewczę ściga złowieszczą ręką.

(Szekspir)

Gdy się obudziłam, pokój był pusty, opróżzony jedynie drobkami światła, które przedostało się przez zasunięte żaluzje, a z tarasu pod oknami dochodziły miłe odgłosy właściwe dla pory śniadania. Przez długą, senną chwilę zastanawiałam się, dlaczego leżę tak niewygodnie skulona na kołdrze i owinięta płaszczem. Potem sobie przypomniałam i sen natychmiast uleciał. Przekreśliłam się, żeby spojrzeć na drugie łóżko. To nie był senny koszmar, owa dziwaczna rozmowa wśród pogrążonych w mroku ruin, moje omdlenie, nieugiętość człowieka, który zamierzał nie odstępować mnie na krok niczym kochanek — widziałam wgniecenia pościeli, które jego ciało pozostawiło na sąsiednim łóżku, odcisk głowy na poduszce oraz stosik niedopałków między łózkami.

Usiadłam i spuściłam nogi na podłogę. Ponieważ leżałam zwinęta w kłębek, kości mi nieco zesztyniały i miałam wrażenie, że jestem trochę niedospiana, ale poza tym nocne przygody nie wywarły zbyt wielkiego wpływu na moją kondycję fizyczną. Ale psychicznie czułam się zupełnie wytrącona z równowagi. Gdzie jest teraz Richard Byron? Co ma zamiar dzisiaj robić? I jak, jak, na miłość boską, zdołam się od niego uwolnić?

Podeszłam do drzwi, zamknęłam je na klucz, po czym zdjęłam płaszcz, sukienkę i umyłam się, a następnie wklepywałam zimną wodę w policzki, aż skóra zaczęła mnie piec. Poczułam się

odświeżona i pełna życia. Porządnie wyszczotkowałam włosy, potem strzepnęłam zieloną sukienkę, dziękując niebiosom oraz chemikom za wynalezienie niegniotałych się materiałów i ponownie się ubrałam. Rutynowe zabiegi toaletowe w znacznym stopniu przywróciły mi wiarę w siebie. Jakoś uda mi się zwiać, wrócić do Awinionu, podać Louise jakąś wymówkę, a potem wyjechać dokądkolwiek na resztę wakacji, a przynajmniej do czasu, kiedy Loraine z chłopcem wyjadą na wybrzeże. Albo, w najgorszym razie, jeśli nie uda mi się uwolnić od mego prześladowcy, sprowadzę go na manowce, z dala od Awinionu... chociaż poczułam znajomy dreszcz strachu na myśl, do czego mógłby się posunąć, gdybym ponownie pokrzyżowała jego plany.

W każdym razie muszę być gotowa do wykorzystania każdej nadarzającej się okazji. Do przepastnej torby włożyłam książkę, ciemne okulary, szczoteczkę do zębów, wszelkie drobiazgi, które ze sobą przywiozłam, rozejrzałam się po pokoju, by się przekonać, czy niczego nie zapomniałam, po czym narzuciłam płaszcz na ramiona, otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz.

Richard Byron czekał na mnie u podnóża jedynych schodów w gospodzie, oparty o słupek balustrady, z nieodłącznym papierosem w ustach, a gdy z wahaniem schodziłam po stopniach, podniósł wzrok i sardonycznym tonem powiedział: „Dzień dobry!”

— Mam nadzieję, że dobrze spałeś? — dodał, prostując się.

— Skoro jesteśmy małżeństwem, sam powinieneś wiedzieć — odparłam. — I poproszę o papierosa.

Dał mi go i razem wyszliśmy na taras. Kilka osób jadło jeszcze śniadanie, ale ponieważ spałam do późna, większość gości poszła już zwiedzać ruiny miasta lub odjechała samochodami.

Poszedł za mną do stolika na końcu tarasu i wysunął mi krzesło.

Usiadłam w cieniu, nie patrząc na Richarda ani się do niego

nie odzywając. Śledziłam wzrokiem dym z mojego papierosa, który, skręcając się w delikatne, błękitne liście, uchodził ku opadającej winorośli, okrywającej ścianę tarasu. Przez parę chwil siedzieliśmy w milczeniu, lecz nie było to milczenie ludzi, którzy rozumieją się bez słów; czułam jego wzrok na swojej twarzy i jego obecność naprzeciwko mnie przy stoliku, a powietrze wprost iskrzyło się od niezadanych pytań i nieudzielonych odpowiedzi.

A więc wpatrywałam się w koniuszek papierosa, gdy przyszedł kelner z kawą i *croissants*.

Parująca kawa roztaczała wspaniały aromat w spokojnym, przesyconym słońcem powietrzu. Włożyłam płaską, prostokątną kostkę cukru do filiżanki i z wolna zamieszałam, rozkoszując się cudowną wonią i zawirowaniem kremowo-brązowego napoju w pękatej filiżance.

— Może rogalik? — zaproponował Richard Byron, wręczając mi płaski koszyk, w którym świeże, gorące *croissants* spoczywały na śnieżnobiałej papierowej serwetce.

Coś w tym zwyczajnym geście, tak często wykonywanym przy śniadaniu nagle jeszcze ostrzej uświadomiło mi, w jak dziwnej i niepokojącej sytuacji się znalazłam i jak trudno mi będzie się z niej wywikłać. Wzięłam rogalik, nadal nie patrząc na Byrona, a w pamięci obudziło mi się dziwne wspomnienie... Johnny'ego, który podaje mi stojak z przegródkami na grzanki, marmoladę... Przygryzłam wargę. Johnny nigdy nie wydał mi się tak odległy, tak nieodwołalnie stracony. Umyślnie powiedziałam to sobie — tak martwy.

Byłam sama. Mogłam liczyć tylko na siebie, a dobrze wiedziałam, że nie mam w sobie materiału na bohaterkę. Czułam się przerażona i oszołomiona, a także wściekła, że wpadłam jak śliwka w kompot.

Dlatego właśnie jadłam rogaliki, nie czując właściwie ich smaku i wpatrywałam się w odległe, oblane złotym blaskiem południowe równiny za skałami, nie snując właściwie żadnych planów. Z każdym łykiem gorącej, aromatycznej kawy poprawiało mi się samopoczucie, lecz umysł miałam odrętwiały i nie śmiałam

spojrzeć na Richarda Byrona, by się nie zorientował, jak bardzo się go boję. Ale — powiedziałam sobie — jeśli nie wyczuł, że wpadasz w panikę za każdym razem, gdy się do ciebie zbliży, złotko, musi być kompletnie rąbnięty.

Rąbnięty. Kawa nagle zrobiła się wstrętna, toteż drżącą ręką odstawiłam filiżankę na spodeczek. Tu, oczywiście leży sedno sprawy — nawet bohaterka ma pełne prawo obawiać się szaleńca i to szaleńca, który niedawno z całą beztroską przyznał się do morderstwa. Muszę wiać. Nie wiem jak, ale muszę się zmywać.

Potem mój wzrok padł na samochód, stojący tam, gdzie go zostawiłam, naprzeciw wzgórza, mniej więcej pięćdziesiąt jardów od stopni tarasu. I przypomniałam sobie coś, co Richard Byron powiedział zeszłej nocy... coś takiego, że zostawił swój wóz zaparkowany na poboczu niedaleko stąd. Gdybym tylko zdołała bez zwrócenia jego uwagi dostać się do riley'a i ruszyć, może udałoby mi się stąd uciec. Riley jest szybki i można na nim polegać, podczas pobytu w Nîmes nie zauważyłam, jaki samochód ma Byron, ale wiedziałam, że mój bez trudu przegoni przeciętne auto. A zeszłego wieczoru nalałam do pełna benzyny i uzupełniłam olej. Cały swój bagaż miałam w torebce... Wystarczy tylko wybrać właściwy moment.

A skoro Richard Byron wszedł w rolę mego męża, to Richard Byron może wszystko wyjaśnić w gospodzie, a także zapłacić rachunek.

Serce znowu zaczęło mi walić i nie odważyłam się spojrzeć na swego prześladowcę. Grzebałam w torebce, rzekomo szukając chusteczki, lecz w istocie by się upewnić, czy na pewno mam przy sobie kluczyki. Wyjęłam zbiór poezji prowansalskiej i położyłam go na stole, cały czas szperając w torebce pod nocną koszulą. Palce zacisnęły mi się wokół kluczyków. Wsunęłam je do górnej przegródki, skąd łatwo będzie je wyjąć. Następnie wydobyłam chusteczkę i papierosy, z powrotem włożyłam książkę i zamknęłam torebkę.

Richard Byron zapalił zapalną i podał mi ogień przez stół.

Staralam się na niego nie patrzeć, lecz, gdy pod wpływem niezrozumiałego impulsu uniosłam wzrok, ujrzałam, że przypatruje mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

— A właściwie po co tu przyjechałaś? — zapytał.

— A po co tu się przyjeżdża? Żeby zobaczyć leże wilków orąskich.

Staralam się, by moja odpowiedź brzmiała możliwie beztrosko.

— Ciągłe się zastanawiam — powiedział z wolna — na czym właściwie polega twoja rola. I kim jest Johnny?

Palce zacisnęły mi się na torebce.

— Nie gniewaj się — odparłam — ale nie mam szczególnej ochoty z tobą rozmawiać. A do tego nie czuję się dziś zbyt dobrze.

Zrobił niecierpliwy ruch ręką i zamierzał coś powiedzieć, lecz ugryzł się w język. Byliśmy teraz sami na tarasie, nawet kelner gdzieś zniknął. Para turystów wyszła z gospody, przystanęła w cieniu, jaki rzucał dach tarasu, po czym wyszła na oślepiające poranne słońce. Dziewczyna była ubrana na biało, a w ręce trzymała czerwoną torebkę. Mężczyzna, w szortach khaki i luźnej lnianej marynarce, niósł olbrzymią kamerę. Śmiali się. Przeszli koło nas, pod tarasem i dalej ku ruinom, aż zniknęli za skalnym załomem, a wraz z nimi oddalił się normalny, bezpieczny i zrównoważony świat — nagle znowu zostałam sama z Richardem Byronem, uwikłana w mroczny krąg jego prywatnego piekła.

Przez chwilę siedzieliśmy tak w upalnej ciszy, podczas gdy słońce przesunęło się o ułamek i posłało ukośny promień na mój palec u nogi. Gdzieś, sucho i rytmicznie, zaczęła rzępolić cykada.

Rzuciłam na pół wypalonego papierosa i delikatnie zgasiłam go na podłodze. Oparłam czoło na dłoni.

— Czy została jeszcze kawa? — wydusiłam z trudem.

Poczułam, że posłał mi ostre spojrzenie.

— Nie. Skończyła się. Co ci jest?

Lekko potrząsnęłam głową.

— Nic takiego. To tylko... — Głos uwiązł mi w gardle.

Wpatrywał się we mnie w milczeniu. Wyczuwałam w jego wzroku zakłopotanie i podejrzliwość, lecz tym razem miałam atut, którym nie dysponowałam w Nîmes — moje omdlenie zeszłej nocy nie było komedią, a więc bez wątpienia muszę wyglądać dziś dość kiepsko. Podniosłam głowę i spojrzałam na niego, wiedząc, że oczy mam zmęczone i podsiniałe, a wargi pod śmiałą, koralową szminką spierzchnięte.

— Nic takiego, dziękuję... ale czy mógłbyś poprosić kelnera, żeby przyniósł trochę wody... albo koniaku, tak, koniaku?

Nie do końca wiedziałam, co zamierzam zrobić. Postanowiłam wyrzucić wrażenie, że zbyt marnie się czuję, by podjąć nagłą próbę uwolnienia się, a przypomniawszy sobie przeczytane książki sensacyjne, luźno rozważałam możliwość chluśnięcia mu koniakiem w oczy i rzucenia się do ucieczki, nim zdąży dojść do siebie.

Lecz nagle pojawiła się sposobność i przynajmniej raz, jak każda inna heroina, skorzystałam z niej, i to niezwłocznie.

Richard Byron zawołał kelnera, raz i drugi. Bezwładnie opałam na krzesło. Ale kelner, czy to nie słyszał, czy był zajęty, a my przyszedliśmy późno — przypuszczam, że w tej małej gospodzie miał też inne obowiązki prócz obsługi gości — w każdym razie się nie pojawiał. Richard Byron zawołał go, podszedł do drzwi gospody i zajrzał do pustego holu, a w końcu, rzuciwszy mi długie spojrzenie, wszedł do środka.

Tylko tego było mi potrzeba.

Przebiegając pięćdziesiąt jardów, dzielących taras od samochodu, wyciągnęłam kluczyki. Trzy sekundy zajęło mi otwarcie drzwi i wślizgnięcie się na fotel kierowcy. Drzwi zostawiłam na razie otwarte. Błogosławiony silnik zapalił od pierwszego kopnięcia, a gdy zwolniłam hamulce, riley ruszył ku zbroczu.

Kiedy odjeżdżałam, kątem oka zauważyłam, jak Richard Byron wraz z *patronne* wyłania się z drzwi gospody. Gdy ruszył naprzód, zatrzasnęłam drzwi i nacisnęłam sprzęgło. Wzięłam pierwszy zakręt, nabierając prędkości, i ujrzałam, jak *patronne* chwyta

Byrona za rękaw, gestykulując jak oszalała, tak że musiał się odwrócić i z nią porozmawiać.

A niech się tłumaczy — myślałam ponuro, a potem zaczęłam się śmiać. — Niech wyjaśni, dlaczego żona bez słowa daje dyla... niech sam się wypłacze z galimatiasu, którego narobił... a do tego niech zapłaci rachunek.

Riley z westchnieniem zjechał krętą drogą ze wzgórza i wziął kolejny szeroki zakręt, zza którego wyłonił się duży, szary samochód, zaparkowany w zatoczce na skraju szosy. Bentley.

Bentley — myślałam z wściekłością, z całej siły naciskając hamulce. — Gdy ruszy za mną w pościg, będę miała niezłą zabawę, chyba że zdołam jakoś go załatwić. Wsiadłam z samochodu, snując brutalne plany pocięcia opon, wyjęcia świec i innych aktów bandytyzmu. Ale w pobliżu hotelu jest warsztat, a kto wie, jakie części zamienne mogą tam mieć na składzie? Idąc do szarego samochodu co krok potykałam się o kamienie, niemniej wysilałam koncept jak tylko mogłam. Nie łopatki wentylatora — z tych samych powodów — a nie miałam czym pociąć opon... Maskę nie była zamknięta na kluczyk, toteż podniosłam ją, zerkając jednocześnie na drogę za sobą.

W końcu jednak mnie oświeciło — Johnny pokazał mi ten sposób unieruchamiania pojazdu w czasie wojny, gdy parkowaliśmy go na całe godziny przed salą tańca RAF-u. Koło pierwszej w nocy młodzi oficerowie bez namysłu „zdobywali” cudzy samochód, by przejechać się z dziewczyną podczas zaciemnienia. Nie była to zwyczajna metoda, lecz niezwykle trudna do wykrycia, mogąca przysporzyć mnóstwa kłopotów... A do tego taka prosta. Zdjęłam pokrywę rozdzielacza, końcem pilnika do paznokci odkręciłam trochę jedną ze śrub, by odciąć dopływ prądu, z powrotem nałożyłam pokrywę, zamknęłam maskę i pobiegłam do riley, a wszystko razem zajęło mi mniej czasu niż opowiadanie o tym.

Ręce trzęsły mi się i ześlizgiwały z kierownicy, lecz gdy samochód znowu śmignął ze wzgórza, poczułam się spokojniejsza.

Wzdłuż brzegu rzeki, sunąc gwałtownie niczym winda przez pofalowaną równinę, minęłam kolejny zakręt wokół wysokiego załomu... i już zniknęliśmy z oczu i odjechaliśmy w dal... Może chwilę mu zejdzie, nim się połapie, dlaczego bentley krztusi się i nie chce ruszyć, choć wszystko jest pozornie w najlepszym porządku.

Niebawem łagodnym łukiem zjechaliśmy z ostatniego zakrętu i wydostaliśmy się na dobrą drogę do Tarascon. W St-Rémy skręciłam w prawo, pojeździłam trochę po bocznych uliczkach, by w miarę możliwości zmylić pogonie, po czym kierując się na wschód, z radością w sercu pomknęłam wąskimi wiejskimi drogami.

ROZDZIAŁ XI

Wychodzi, ścigany przez niedźwiedzia.

(Szekspir)

Wszędzie, byle nie do Awinionu. Może udało mi się całkiem wymknąć memu prześladowcy, a w każdym razie miałam nadzieję, że znacznie opóźniłam pościg, lecz nie mogę ryzykować powrotu wprost do Awinionu, co naprowadziłoby Byrona na ślad Davida. Albo też na mój własny ślad, który z Awinionu zawiódłby Byrona do mnie jak po sznurku, dokądkolwiek bym się udała. Mknęłam po wyboistych wąskich drogach tak szybko, jak starczyło mi odwagi. Sunąc między zasłaniającymi widoczność wysokimi żywopłotami z ciernistych krzewów i cyprysów, cały czas zastanawiałam się, dokąd jechać oraz jaki powinien być mój następny ruch.

Jeśli uda mi się zwiać, zadzwonię do Louise, powiem tyle, ile sama wiem, a potem poproszę ją, by spakowała rzeczy i wyruszyła mi na spotkanie. Może wynająć samochód na mój koszt, co oszczędzi jej borykania się z bagażem dwóch osób w zatłoczonych pociągach. Ale gdzie możemy się spotkać? Zastanawiałam się nad tym, podczas gdy Riley ostrożnie przemierzał wąski i ewidentnie nieodpowiadający żadnym normom bezpieczeństwa most. Potem powzięłam decyzję, uznając, że najprostsze rozwiązanie jest również najlepsze. Marsylia. Zawsze słyszałam, że najlepiej się ukryć w dużym mieście, co wydawało mi się bardzo rozsądne, a teraz jestem właśnie w pobliżu jednego z największych francuskich miast.

A ponadto początkowo planowałyśmy z Louise wypad do Marsylii na dzień lub dwa, a więc najprościej będzie poprosić ją, by opuściła Awinion i spotkała się tam ze mną.

Akurat gdy podejmowałam tę decyzję, Riley wjechał do małego miasteczka — wedle angielskich norm była to właściwie duża wieś — a rzut oka na tablicę przy szosie powiedział mi, że to Cavaillon. Zjechałam z szosy w wąską dróżkę i zatrzymałam samochód. Potem, gdy opuściłam i umocowałam dach, z powrotem usiadłam na fotelu i wyciągnęłam mapę.

Przekonałam się, że aby wjechać na główną drogę do Marsylii, nie powinnam była przejeżdżać przez rzekę, lecz skrócić ostro w Orgon. A więc o tyle będę musiała się cofnąć. Przygryzając wargę, patrzyłam na wąską drogę, która na końcu przechodziła w główną ulicę miasteczka, i zastanawiałam się, co robić dalej. Jeśli wrócę tak, jak tu przyjechałam, bocznymi drózkami, a Richard Byron natrafi na mój ślad, wpadnę prosto w jego łapy. Jeśli zaś nie jechał za mną, będzie na głównej drodze, a skoro ja również ją obiorę, oddam mu się elegancko prosto w ręce. Wiedziałam, że miał do wyboru tylko te dwie możliwości, a teraz i ja przed nimi stanęłam.

Siedziałam, kurczowo ściskając kierownicę, w męce niezdecydowania... Dwa wyjścia... a ja tracę czas. Ponownie spojrzałam na mapę, rozpaczliwie wytyczając palcem wszystkie trasy do Marsylii. Widziałam przed sobą trzy ewentualności. Mogłam zaryzykować i wrócić jedną z trzech dróg przez rzekę Durance i stamtąd na główną drogę do Marsylii albo pojechać okrężną i pogmatwaną szosą numer sto przez Apt, bądź też wrócić do Awinionu.

Ten ostatni wariant w ogóle nie wchodził w rachubę, toteż od razu go odrzuciłam. Nie chciałam też podejmować ryzyka i nie wierzyłam już w swoją szczęśliwą gwiazdę. Nie miałam zamiaru z powrotem przekraczać Durance, aby napatoczyć się na Richarda Byrona. Pojadę na wschód, okrężną drogą na wybrzeże. Z ciężkim sercem zwinęłam mapę i uruchomiłam Riley'a. Wlekiśmy się drogą

tak wąską, że samochód ledwo się nią przeciskał. Wybrukowana była kocimi łbami i lśniła śmierzdzącymi kałużami, w których grasowały buszujące w ściekach koty. Z domostw odpadał tynk, a okiennice dyndały na zardzewiałych zawiasach. Sunęliśmy z wolna ku głównej drodze.

Nagle zahamowałam, naciskając wszystkie hamulce i siedziałam, cała drżąca.

W promiennym blasku słońca, rozbłyskującym na końcu alei mignął mi duży szary samochód, zdążający na południe, na trasę numer sto.

Był to bentley.

Moim pierwszym odczuciem, dość groteskowym, był podziw dla tempa, które rozwinął, mimo mej sztuczki z rozdzielaczem. Ogarnęła mnie też ekstatyczna radość. Droga do Orgon była w każdym razie bezpieczna i będę mogła wracać po swoich śladach. Doprowadziłam rileyę do skraju szosy, po czym znowu zwolniłam i wysiadłszy z samochodu, pobiegłam naprzód, by zerknąć na główną ulicę Cavaillon.

Słońce świeciło oślepiająco. Ulica była wąska i zatłoczona tłumem typowych francuskich wieśniaków, udających się na targ. Kobiety z koszami i siatkami gromadziły się wokół straganów, na których piętrzyły się stosy melonów, fasoli, pomarańcz i połyskujących fioletowo bakłażanów. Pełno było wozów, zaprzężonych w muły, a także ciężarówek i wielkich, błyszczących samochodów. Wokół kręciło się mnóstwo psów, dzieci oraz półnagich, opalonych na brąz mężczyzn w beretach i spłowiałych niebieskich spodniach.

Ale bentley zniknął. Wydawało mi się, że w upalnym, drżącym powietrzu na wschodnim krańcu ulicy unosi się jeszcze kurz, który wzbily jego koła.

Pobiegłam do rileyę; błyskawicznie wyjechaliśmy z tej alei, po czym pomknęliśmy na zachód, na most i do Orgon, gdzie skręca się na południowy wschód, na drogę do Marsylii.

Teraz, gdy opuściłam dach riley, rozkoszowałam się wiatrem, który chłodził mi policzki i burzył włosy. Z wyjątkiem podmuchu, wzniesanego pędem naszego samochodu, powietrze było absolutnie nieruchome, a liście platanów, porastających skraj szosy, pod bezlitosnym słońcem wczesnego przedpołudnia zwisały ciężko grubymi, martwymi kępami. Długie, lśniące szeregi przesłicznych pni o łuszczącej się, srebrno-rdzawej korze przywodziły na myśl misternie rzeźbione kolumny. Ich cienie układały się w kraciasty wzór na oblanej oślepiającym słońcem szosie.

Regularnie niczym tykanie galopującego metronomu na maszce i z tyłu, za moimi plecami migały cieniste pręty. Wylecieliśmy z Cavaillon na granicy dopuszczalnej szybkości, w kłębach kurzu przedarliśmy się przez tereny budowy, po czym kręta droga nagle wyłoniła się spod platanów i w pełnym blasku słońca moim oczom ukazało się Durance oraz długi most.

A także kolejka samochodów, czekająca, by je przepuszczono.

Z zamierającym sercem zajęłam w niej miejsce. Most chyba był prowizoryczny – trzysta jardów drewnianych desek, wąskich i niestabilnych, umieszczonych między nowo wzniesionymi żelaznymi przesłami. Na obu jego końcach znajdowały się budki strażnicze, z których umundurowani mężczyźni kierowali ruchem. W tej chwili przepuszczano sznur pojazdów z przeciwnej strony; samochody, ciężarówki i wozy przesuwaly się powoli i ostrożnie po wąskich deskach, podczas gdy przed nami nieubłaganie widniała biała pałeczka *agent de police*.

Z nieba lał się żar. Czułam, jak falami podnosi się z obić foteli i delikatnie szczypie kropelkami ociekającego ze mnie potu. Nie mogłam się rozluźnić, siedziałam sztywno, a oczy, jak u śpiącej lalki, raz podnosiły mi się ku groźnej pałce, to znowu opadały z powrotem na lusterko.

Pałka dalej nas zatrzymywała, strumień samochodów z przeciwległej strony pełzną naprzód, a wokół mnie, z przodu, z tyłu, z boku niecierpliwi francuscy kierowcy trąbili, przyduszali gaz do

dechy, aż silniki były ogłuszająco, z całej siły naciskali na klaksony i przygotowywali się do szalonego wyścigu o zdobycie pierwszego miejsca na wąskim moście...

Tuż za mną — co widziałam we wstecznym lusterku — olbrzymia ciężarówka dygotała od ryku silnika, siedząc mi prawie na tylnym zderzaku, a jeszcze dalej dostrzegłam zaprzężony w muły wóz o półokrągłej, płóciennej budzie. Z lewej najeżdżał żółty cadillac, gotów wcisnąć się z przodu, między riley'a i stojącą przede mną furgonetkę.

Zaczęły mi wysiadać nerwy. Spaliny z ryczących silników, upał, klaksony, bezładny ruch na francuskich szosach... Czy ta pałka nigdy nie opadnie? Otaczające mnie samochody nagle znów zaczęły gorączkowo przeć do przodu — przesuwwały się prawie niedostrzegalnie, zauważyłam, że teraz zagrodzono przeciwny kraniec mostu, przez który miały jeszcze przejechać dwa czy trzy pojazdy. Przypuszczalnie gdy tylko droga będzie pusta, pozwolą nam jechać.

Mocniej zacisnęłam ręce na kierownicy, jednym okiem wpatrując się w białą pałkę, a drugim w żółtego cadillaca.

Z turkotem, który odbił się echem od podskakujących desek, przejechała ostatnia ciężarówka. Biała pałka opadła, a ręka machnęła do nas, nakazując jazdę. Furgonetka skoczyła w wolną przestrzeń, a żółty cadillac z triumfalnym rykiem silnika wdarł się przed riley'a i zatrałił. Byłam trzecia w kolejce na most, gdy znowu spojrzałam w lusterko.

Ujrzałam w nim szarego bentley'a, który właśnie wyłaniał się zza przykrytego budą wozu.

Na przeciwnym krańcu mostu ustawiła się teraz druga kolejka, szyby błyskały w słońcu niczym sygnalizatory Morse'a. Z wolna ku niej sunęliśmy. Tuż za mną zielona ciężarówka wjechała przednimi kołami na deski, trzęsąc całą konstrukcją tak, że włosy stawały dęba. Bentley zaś...

Richard Byron nie wziął pod uwagę całkowitego braku u Francuzów czegoś, co można by nazwać sumieniem czy też uprzejmością na drodze. Gdy bowiem bentley ruszył, by wyminąć zaprzężony

w muła wóz, woźnica rozejrzał się i ujrawszy samochód, natychmiast, najwyraźniej klnąc siarczyście, zaciął muła i szarpnął go za łeb, tak że wóz skręcił nieprzytomnie tuż przed maską bentleya. Bentley zahamował gwałtownie, woźnica zaś, ponownie okładając muła batem, wepchnął się na wolne miejsce za ciężarówką.

Obliczyłam później, że dało mi to jak nie pięćmiłową przewagę. Gdy zjechałam z mostu na zachodni brzeg, wóz zaprzężony w muła nadal ciężko się toczył, przemierzywszy zaledwie trzecią część drogi, a szary samochód, kopiąc spalinami, posuwał się za nim w tempie marszowym.

Położyłam nogę na pedale gazu i już jej stamtąd nie zdejmowałam. Riley szedł po dobrej prostej drodze jak burza. Wyprzedziłyśmy furgonetkę, jakby stała w miejscu, po czym mocno pociśnęłam kciukiem klakson, zostawiając żółtego cadillaca, jadącego na oślep z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, w kłębach wznieconego przeze mnie kurzu.

Strzałka prędkościomierza śmigała tylko... sześćdziesiąt... siedemdziesiąt... siedemdziesiąt trzy... a przed sobą, w oślepiającym blasku słońca widziałam drzewa... ostry skręt w prawo. Podniosłam nogę z pedału gazu...

Szczęściem z drugiej strony nic nie nadjeżdżało. Wzięliśmy zakręt ze złej strony i tył samochodu wszedł w poślizg w tumanach kurzu. Opony zapiszczały z oburzenia, po czym samochód wyszedł na prostą i z rykiem silnika pognał wzdłuż korony drogi. Nie czułam już strachu, wiedziałam, że mogę myśleć tylko o jeździe... świat zwęził się do oślepiającej, prostej wstęgi *route nationale* oraz plamek cienia, które, jak na starym filmie, zwały się teraz w jedno migoczące, cieniste pasmo.

Zupełnie nie pamiętam Orgon. Przypuszczalnie musiałam tu zwolnić i przejechać z pewną ostrożnością, lecz przemknęliśmy przez miasteczko i zanim zdążyłam się zorientować, znowu wypadliśmy na szosę, a mój ukochany silnik ciągnął niczym rumaki boga słońca.

Śmignęliśmy koło małego gospodarstwa, wynurzającego się

spomiędzy pól zbrązowiałego żyta, przelecieliśmy przed rozpedzonym samochodem i minęliśmy wóz konny, jakby w ogóle nie istniał. Przed nami, spośród zboczy porośniętych wyschniętymi krzakami, wyłoniło się podługowate, białe wzgórze, a potem, gładko i posuwicie, jakbyśmy jechali windą, znowu wspięliśmy się na wyniosłość i opuściliśmy się po jej drugiej stronie, jakby wyniosłego pagórka w ogóle nie było.

Mała wioska, migająca różowymi tynkami między ciemnymi filarami cyprysów, pędziła wprost na nas, okrążyła samochód, zniknęła. Dwa nadjeżdżające z przeciwna pojazdy przemknęły z trzaskiem, przypominającym walenie perkusji.

A długa droga wiła się i skręcała, podnosiła i opadała między ryczącymi oponami. Obserwowałam w lusterku, jak czmycha w tył i precz dalej niczym latający wąż. W całym świecie nie istniało nic prócz rwącego naprzód silnika, pędu powietrza i drogi, ciągnącej się ku nam bez końca.

ROZDZIAŁ XII

I na południe pomknęliśmy
(Coleridge)

A potem, nagle, nie byliśmy już sami. Kątem oka zobaczyłam po prawej smugę białego dymu, co oznaczało lokomotywę. Tory biegly równolegle do szosy, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu kroków, a z porośniętego drzewami wąwozu wyjechał ekspres, miarowo zmierzając na południe, niczym okazały, służbisty krasnolud.

Myślami wybiegłam naprzód, na próżno usiłowałam wyobrazić sobie mapę. Czy przejedziemy przez wiadukt nad torami, czy też będzie tam przejazd kolejowy, tak często spotykany w południowej Francji? Tak często spotykany i tak opóźniający drogę. O Boże — pomyślałam — jak strasznie mi to nie na rękę. Już raz czekałam dwadzieścia minut przed szlabanem przy ewidentnie pustych torach. Może i udało mi się dobrze wystartować, ale miałam już przedsmak szybkości, jaką potrafi rozwinąć Richard Byron. Na tej drodze go nie zgubię. Cała nadzieja w tym, że uda mi się dotrzeć do Marsylii wystarczająco wcześnie, by tam zniknąć mu z oczu. Na tych zatłoczonych ulicach wystarczy pięć minut — myślałam ponuro i rzuciwszy na pociąg spojrzenie ściganej zwierzy, znowu nacisnęłam gaz.

Do dziś nie wiem, czy maszynista tego pociągu rzeczywiście chciał się ze mną ścigać. Wydaje się to niemożliwe, jednak, pędząc przy akompaniamencie stukotu kół ekspresu, naprawdę miałam wrażenie, że pociąg zachybotał się, ostro zagwizdał, a

potem wstąpił w niego duch współzawodnictwa. Przez mniej więcej sto jardów lokomotywa szła z nami łeb w łeb; maszynista i jego kompan wychylali się z okna i machali, ja natomiast kurczowo trzymałam kierownicę, nie rozglądając się w prawo ani w lewo. Potem zaczęliśmy zyskiwać przewagę. Lokomotywa, sapiąc, zostawała w tyle, a ścigający nas stukot rozbrzmiewał coraz ciszej, aż w końcu zaniknął za porośniętym drzewami urwiskiem. Przez parę minut, które wydawały się godzinami, wrywałam jak mogłam najszybciej, po czym nagle śmignęliśmy na wzgórze, wznoszące się między dwoma pasmami oliwek, a przed sobą, w odległości dwóch mil po prostej drodze, ujrzałam, niczym jaskrawo pomalowaną zabawkę, budkę dróżnika oraz biało-czerwone pasy przejazdu.

Szlaban był jeszcze otwarty.

Lecz ktoś, maleńka niewyraźna figurka drgającej od żaru dali, zdążyła, by szlaban opuścić.

Jęknęłam, po czym riley poszybował drogą jak rakietą.

Budka dróżnika zbliżała się do nas z mdlącą szybkością hangaru, do którego spieszy powracający do bazy samolot. Mężczyzna podniósł rękę do korby, opuszczającej szlaban. Z całej siły przycisnęłam ręką klakson i gnałam jak szalona.

Zobaczyłam, że głowa dróżnika drgnęła ze strachu, a biała plama twarzy obróciła się ku nam, gdy instynktownie odskakiwał z drogi.

Potem, z rykiem, pędem, mdlącym podskokiem i chybotem resorów, przeskoczyliśmy na drugą stronę.

Usłyszałam, jak za nami szlaban z trzaskiem opada w tuleję.

Ten dwumilowy odcinek przebyliśmy równo w półtorej minuty.

Wjechaliśmy do Salon z przyzwoitą szybkością i krętą główną ulicę przebyliśmy z godną pochwały uwagą. Oczywiście duszy widziałam bentleya, który puszczając kłęby spalin tkwił za tym doprowadzającym do furii biało-czerwonym szlabanem jeszcze długo po przejeździe pociągu.

Chociaż myślałam o tym z ulgą, ostrzegałam się w duchu, by na nic nie liczyć. Richard Byron z pewnością gotów był przekupić dróżnika, żeby ten podniósł szlaban, gdy tylko ekspres przeleci przez przejazd, a dróżnik bez wątpienia gotów był wyświadczyć mu tę uprzejmość.

A zatem nie zatrzymałam się w Salon, lecz gnałam prosto przed siebie.

Ale zaczynałam już odczuwać zmęczenie.

Na razie — myślałam, sunąc między migoczącymi alejami platanów bez pośpiechu, mniej więcej pięćdziesiąt mil na godzinę — na razie uzyskaliśmy remis. A w ostatniej rundzie ja zdobyłam przewagę. Po raz pierwszy zaczęłam poważnie wierzyć w to, że uda mi się wymknąć, zgubić się tam, gdzie Richard Byron nie zdoła mnie dogonić, wyjechać natychmiast z Louise, póki oko cyklonu się nie przesunie i dokończyć przerwane wakacje gdzie indziej.

Być może później, gdy będę miała czas się nad tym zastanowić, zirytuje mnie owa manipulacja moim czasem, wolnością — tak, jak najbardziej — oraz moją osobą. Manipulacja — uśmiechnęłam się kwaśno na myśl o tym wyświechtanym słowie. Zostałam wplątana w tę aferę nie z własnej winy, lecz w wyniku impulsu, który nadal nie do końca rozumiałam, impulsu, który, po pierwsze, kazał mi szukać towarzystwa Davida, a po drugie, czynić próby ochronienia go. Lecz z pewnością nie zasłużyłam na to, co mnie spotyka. Powinnam być wściekła, lecz na razie zbyt absorbowwała mnie konieczność ucieczki, bym mogła dać upust słusznemu oburzeniu. Fakt, że Richard Byron jest mordercą i to zapewne niezrównoważonym umysłowo, przekreślał wszelką możliwość rozsądnej z nim rozmowy. Muszę uciec, a potem, być może, będę mogła się zastanowić.

Droga pięła się miarowo ku pasmu wzgórz, leżącemu między Etang de Berre i Marsylią. Upał zrobił się nie do wytrzymania i czułam głód, lecz odpędziłam myśl o jedzeniu i parlałam przed siebie przez wyludnioną krainę, powoli, jednostajnym rytmem

wspinałam się na grań skalistych wzniesień.

Wyżej powietrze stawało się świeższe, a tu i ówdzie, na poboczu rosły kępy pinii, chłodne i piękne, przywodzące na myśl północne krainy. W oddali ujrzałam przed sobą małe bistro, zwykły, otynkowany na żółto domeczek, z tyłu okolony trzema sosnami. Znajdowała się tam czerwona pompa benzynowa, a pod markizą w paski stało kilka stolików. Nagle poczułam nieznośne pragnienie. Usiłowałam wmówić sobie, że wyprzedziłam Richarda Byrona na tyle, iż mogę spokojnie posiedzieć dziesięć minut — no nie, pięć — sącząc zimnego drinka pod tą wesołą markizą, a już na pewno nic się nie stanie, jeśli kupię parę bułek i butelkę czerwonego wina. Ale nic z tego — nie wolno mi podejmować najmniejszego ryzyka, pierwszy przystanek wypada w Marsylii. A więc nieugięcie ciągnęłam ostatnich sto jardów na szczyt wzniesienia, nie oglądając się już na bistro.

Lecz możliwość podejmowania decyzji została mi brutalnie odebrana, gdy zaledwie dwadzieścia jardów przed szczytem rileyem gwałtownie zarzuciło. Powiedziałam sobie, że widocznie muszę być bardziej zmęczona, niż mi się wydaje, wyprowadziłam samochód na prostą i zaczęłam wspinaczkę po długim wzniesieniu. Niebawem poczułam, że wóz szarpnął i znowu skręcił, lecz ponownie udało mi się go wyprostować. Dopiero gdy wjechałam na szczyt, ponura prawda zaświtała w mojej skłopotanej i zmęczonej głowie.

Znowu osiągnęliśmy remis, lecz tę rundę przegrywałam. Złapałam gumę.

W sumie nie była to taka straszna tragedia. Riley, na którym jak zawsze można było polegać, zdecydował się na awarię w miejscu oddalonym zaledwie o sto jardów od najbliższego przyczółka cywilizacji, toteż, wdzięczna za ów nieoczekiwany fuks, wjechałam wolno na mały skrawek żużlu przed bistro.

W cienistym wnętrzu potężny, krępy mężczyzna w samej koszuli, przepasany białym fartuchem, wycierał szklanki za barem. Wychyliłam się z samochodu.

— *Monsieur*...

Odstawił szklankę, którą właśnie polerował, i z uśmiechem wyszedł na słońce.

— *Monsieur*, jak pan widzi, mam przebitą oponę. Czy jest gdzieś tu warsztat? Widzę, że sprzedaje pan benzynę. Czy ktoś mógłby mi zmienić koło, a ja w tym czasie bym coś przekąsiła?

Sprawa miała wrażenie niezdecydowanego.

Ale był Francuzem i na to stawiałam. Położyłam mu rękę na ramieniu, spojrzałam z rozpaczą i powiedziałam z drżeniem, które tylko po części było udawane:

— *Monsieur*, to bardzo pilne. Uciekam... uciekam przed kimś, kto już mnie prawie dogania. Nie może mnie zobaczyć, a jeśli tu utknę z dziurą w oponie...

Na jego twarzy pojawił się błysk całkowitego zrozumienia.

— Pani mąż?

— Tak, mój mąż. Jedzie za mną, a jeżeli... och, *monsieur*, proszę mi pomóc!

Był cudowny. W ciągu dwu minut zaparkowaliśmy riley'a za domem, a w czasie następnych dwu wyciągnął chudego i sprawnego młodzieńca z popołudniowej sjeisty i skłonił go do wymiany koła. Najdalej po siedmiu minutach byłam już w środku, w chłodnym pokoiku na zapleczu, on zaś wypytywał mnie, na co miałabym apetyt.

— *Madame* nie musi się obawiać — powiedział z pobłażaniem — dziś wieczorem będzie pani bezpiecznie spała ze swoim kochankiem.

Nie chciałam dyskutować, poprosiłam jedynie o ogromną szklanicę mrożonego napoju miętowego i jakąkolwiek potrawę, którą zdążyłby przygotować w czasie potrzebnym na zmianę opony.

— Może omlet? Omlet z ziołami? Będzie za pięć minut. Coś pani przygotujemy. *Madame* jest zmęczona? Powinna wziąć coś orzeźwiającego do omletu, tak?

Mniej więcej po pięciu minutach na stole wylądował puszysty,

aromatyczny omlet w otoczeniu świeżych bułeczek, masła, miodu i kawy. Wypiłam zimny napój i zabrałam się do jedzenia. W życiu chyba nie jadłam czegoś tak smacznego jak ten wspaniały posiłek, który nerwowo konsumowałam w salce na zapleczu bistra, podczas gdy za oknem Jean-Jacques zmieniał koło.

Miałam już wstać, pospiesznie połykając ostatni łyk kawy, gdy usłyszałam zawroźnienie innego samochodu, podjeżdżającego pod górę. Zahamował na chwilę, po czym zamruczał niżej przy zmianie biegów. Potem dobiegł mnie zgrzyt żuźla pod oponami, kiedy wóz skręcił w szosy i zatrzymał się przed bistro.

Zastygłam, z filiżanką w pół drogi do ust.

Przez przymknięte drzwi całkiem wyraźnie słyszałam jego głos. Po zwykłym powitaniu...

— Nie, dziękuję, nie będę nic pił — powiedział, ale usłyszałam szelest banknotów. — Nie mam czasu. Chciałem tylko zapytać, czy w ciągu ostatniej pół godziny nie przejeżdżał tędy angielski samochód, ciemnozielony z opuszczonym dachem. Nie zauważył go pan przypadkiem?

Znowu dobiegł mnie szelest.

— Ciemnozielony samochód... — powtórzył z namysłem *patron*.

Usłyszałam brzęk kieliszka i wyobraziłam sobie, jak umyślnie go podnosi, by przecierać szkło, co da mu czas do namysłu.

— Ciemnozielony samochód, angielski...

Urwał i nie wiem, które z nas, po obu stronach drzwi, czekało w większym napięciu — ja czy Richard Byron.

— Za kółkiem siedziała młoda *demoiselle!* — zapytał *patron*.

— Zgadza się.

Niemalże widziałam błysk w oku Richarda Byrona, gdy pochylił się ku oberżyście.

— Młoda kobieta prowadząca ciemnozielony kabriolet przejechała tędy jakiś czas temu — odparł obojętnie *patron*. — Szybko jechała. Czy o nią chodzi, *monsieur* ?

— Właśnie o nią. Jak dawno temu przejeżdżała?

— Mniej więcej dwadzieścia minut, dwadzieścia pięć, pół godziny... Kto wie, *monsieur!* — Jego głos wskazywał, że wzruszył ramionami. — Nie zwracałem uwagi, ale przypomniał mi się ten samochód, bo jechał bardzo szybko... no i dziewczyna była ładna.

Coś przesunęło się z szelestem, usłyszałam wymamrotane podziękowania *patrona*, a potem, niemal natychmiast, ryk silnika bentleya i zgrzyt gwałtownie wrzucanych biegów. Wspinając się na szczyt wzgórza, silnik świszczął, lecz świst stawał się coraz cichszy, aż wreszcie zamilkł, tak że niebawem dobiegał mnie tylko szum pinii, poruszanych lekkim wietrzykiem, wiejącym na szczycie wzgórza, oraz brzęk szkła w barze.

Patron wrócił, szczerząc do mnie zęby.

— Jechał całkiem niedaleko za panią — powiedział. — Ale jeśli da mu pani wyprzedzić się kawałek, zupełnie panią zgubi. *Madame* nie może teraz wrócić, skąd przyjechała?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym potrząsnęłam głową. Niech się dzieje co chce, nie zawrócę teraz pościgu z powrotem do Awinionu.

Odczekam tu chwilę, wypalę parę papierosów, po czym pojedę do Marsylii boczną drogą, zamelinuję się gdzieś i zadzwonię do Louise. A gdy się zobaczymy, wszystko jej opowiem, bo rozgrywanie tego samodzielnie już mnie zmęczyło. Po tym, co zaszło, David nie spodziewa się chyba, że będę trzymała całą sprawę w ścisłej tajemnicy.

— Czy do Marsylii prowadzi jeszcze jakaś inna droga prócz głównej szosy? — zapytałam.

— O, niejedna. Jak się minie Zabójców...

— Zabójców? — powtórzyłam, przerażona.

— To miejsce na szczycie tych wzgórz, skąd zaczyna się zjeżdżać do Marsylii. Droga biegnie między skalnymi zboczami, jak mały wąwóz.

— Ale skąd nazwa „Zabójcy”?

— Bo spada tu mnóstwo kamieni, a stara droga wiła się między

skalami i glazami, za którymi zaczajali się bandyci, czyhający na powozy i wozy kupieckie.

— A dalej?

— Dalej jedzie się spory kawał w kierunku Marsylii, a nim dotrze się do przedmieść, drogi się rozgałęziają, tak że, jeśli ma się mapę, można się zorientować, jak wskoczyć na inną trasę do miasta. Nie trzeba wjeżdżać główną drogą. — Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech. — On ma się tam z panią spotkać, *hein*?

— Kto? A tak, oczywiście. — Na moment wyszło mi z głowy, że dziś wieczorem mam w Marsylii randkę z kochankiem. — Był pan więcej niż uprzejmy — dodałam, lecz *patron* ostentacyjnie wzruszył ramionami.

— Ależ to drobiazg, zupełny drobiazg. Któż nie pomógłby uciśnionej *belle demoiselle*! Chyba tylko zupełny nieboszczyk.

Wyszedł, promieniejąc dobrą wolą, ja zaś usiadłam na chwilę, bez najmniejszego zdenerwowania paląc papierosa, a minuty upływały sennie. Czułam, jak spływa na mnie spokój, wiedziałam, że żal mi będzie opuścić tę bezpieczną przystań. Siedziałam, odpoczywałam jeszcze ponad godzinę i wydaje mi się, że nawet na chwilkę się zdrzemnęłam. A gdy zobaczyłam na zegarku, że jest już prawie trzecia, podniosłam się niechętnie i przygotowałam do odjazdu.

Odnalazłam *patrona*, zapłaciłam za wszystko, jeszcze raz mu podziękowałam, dołączywszy banknot tysiącfrankowy prócz tego, co byłam mu winna; zostawiłam też okazały napiwek dla Jean-Jacquesa.

Przekonałam się, że ten ostatni nie tylko zmienił koło, lecz gdy się dowiedział, że nie ma pośpiechu, znalazł i załatał dziurę. Naprawione i zdatne do użytku koło przymocowane było teraz w przeznaczonym do tego miejscu. Podziękowałam mu serdecznie i, żegnana życzeniami wszystkiego najlepszego oraz wizjami przyszłych rozkoszy, których nie szczędził mi *patron*, objechałam dom i wydostałam się na szosę.

Wkrótce małe bistro zniknęło mi z oczu za zakrętem i znowu

byliśmy w drodze, mając do towarzystwa słońce i pinie, szepczące wysoko nad mrużącym silnikiem. Nie spieszyło mi się. Po pierwsze, nie było takiej potrzeby ani powodu, by niszczyć auto na dość wyboistej drodze — i ryzykować złapanie następnej gumy — z którą już sama musiałabym sobie radzić. Po wtóre, zdecydowanie zaczęły się na mnie odbijać skutki napięcia, jakie przeżyłam poprzedniej nocy, a także gorączkowej, nerwowej atmosfery dzisiejszego ranka. Pobolewała mnie głowa, czułam znużenie, a także płynącą ze zmęczenia i braku snu obojętność na wszystko. Wiedziałam, że teraz nie sprostałabym wyzwaniom, którym udało mi się stawić czoło dzisiejszego ranka. Gdybym nagle musiała ruszyć z maksymalną szybkością, najprawdopodobniej wyrzuciłoby mnie z szosy przy prędkości większej niż pięćdziesiąt mil na godzinę.

A więc wsłuchując się w szum silnika, przejechałam po potężnych zboczach, ostrożnie prowadząc samochód po wyboistej nawierzchni. Uwagę skupiłam na prowadzeniu, lecz starałam się jednocześnie przypomnieć sobie plan ulic Marsylii oraz wybrać trasę wjazdową.

Białe skały pojawiały się coraz rzadziej, a w miarę naszej wspinaczki ustępowały miejsca czerwonym. Okolica, już niżej odludna, tu sprawiała wrażenie zupełnie opustoszałej, pozbawionej nawet drzewek oliwnych i winnic. Czerwone skały, poprzecznane głębokimi kobaltowymi cieniami, wyrastały wprost z pobożczy, a jedyne zielone akcenty stanowiły ciemne korony pinii, kołyszące się zamasyżycie na tle oślepiającego błękitu nieba. Wjeżdżając na szczyt pagórka, widziałam, że skały rozpadają się i kruszą, tak że po obu stronach drogi widniały jedynie gołe głązy i kamienne słupy. Z lewej, między czerwonymi skalnymi odłamkami spostrzegłam stary szlak, wijący się szczytem wzgórze za piniami i skalnymi ziolkami. Lecz nową drogę wycięto wprost w gołej czerwonej skale.

Zabójcy.

A w oddali błękit Morza Śródziemnego.

Gdy Riley osiągnął szczyt, zmieniłam biegi i wóz z westchnieniem sunął długim zjazdem. Droga przede mną znikła wśród niekończącego się, lecz łagodnego wzniesienia, wiodąc ku niechlujnie rozpełzłej na wszystkie strony Marsylii, obejmującej olbrzymie przestrzenie najpiękniejszego wybrzeża świata.

Z wolna przebyliśmy ostatni odcinek. Z lewej, parę jardów przed sobą, ujrzałam stary szlak, znowu wyłaniający się na drodze zza kępy pinii. Prześlizgnęliśmy się koło niego i pomknęliśmy w dół.

Przypuszczalnie powinnam była się tego spodziewać, lecz przyznaję, że coś podobnego nawet mi przez myśl nie przeszło. Nie widziałam najmniejszego powodu, dla którego Richard Byron miałby nie uwierzyć *patronowi* bistro i pospieszyć do Marsylii w nadziei, że mnie tam złapie. Ale, rzecz jasna, mu nie uwierzył.

Szary Bentley wysunął się zza kępy pinii i bezgłośnie siadł mi na ogonie.

ROZDZIAŁ XIII

Ponownie pojawia się morderca
(Didaskalia)

Naturalnie, nie miałam już wyjścia.

Nawet gdybym nie była tak wykończona, nie mając najmniejszej przewagi czasu ani szybkości, nie dałabym rady mu się wymknąć. Wiedziałam, że zostałam pobita. A więc pojedę grzecznie.

Nie myśląc o niczym, prócz tego, że boli mnie głowa i marzę tylko o tym, by wysiąść z samochodu i schronić się przed słońcem, pokonywałam ostatni odcinek drogi, dzielący mnie od Marsylii, jakby nie jechał za mną żaden szary bentley, w którym siedział wściekły kierowca, mający do wyrównania ze mną dość potężne rachunki.

Niebawem znaleźliśmy się na przedmieściach Marsylii. Przez mniej więcej dwie mile szosa biegnie wśród ulic zabudowanych obdrapanymi domami i małymi, brudnymi sklepikami, z których oblażący tynk i farba zwisają niczym girlandy, a prześliczne dzieci w łachmanach oraz ohydne kundle bawią się razem w smrodzie rynsztoku. Wkrótce pojawiły się tory tramwajowe i zaczął nas wsysać miejski ruch. Ciężarówki, muły, wozy wszelkich kształtów i rozmiarów, samochody najprzeróżniejszych roczników i marek — cały świat na kółkach przejeżdżał przez wąskie ulice Marsylii, trąbiąc, krzycząc, wpychając się na upatrzone miejsce, powodując dziwny i nieprawdopodobny chaos.

Jechałam pośród tego zamętu jak automat, zmieniałam biegi,

zatrzymałam się, skręcałam i wykonywałam pospiesznie wszystkie czynności, niezbędne, by przez to niewiarygodne *tohu-bohu* przeprowadzić samochód w stanie mniej więcej nienaruszonym. Za mną, jak cień, duży szary bentley skręcał, zatrzymywał się i sunął naprzód, nigdy nie oddalając się więcej niż na dziesięć jardów ani nie podjeżdżając bliżej niż cztery.

Nie przyglądałam mu się nawet z jakąś szczególną uwagą, a tylko tak, jak obserwowałabym pojazd, jadący na tyle blisko mnie, by dawać mu odpowiednie sygnały.

Byłam skończona. Już nie ma co się szarpać. W skroniach mi pulsowało i czułam, że ramiona przytłacza mi ogromny ciężar. Nawet gdybym zapragnęła podjąć jakąś decyzję, mój umysł nie chciał rozważać, co się stanie w najbliższej przyszłości.

I dlatego właśnie, gdy zdarzył się cud, nawet go nie zauważyłam.

Zaczęłam sobie powoli zdawać z niego sprawę dopiero wówczas, gdy do moich osłupiałych zmysłów dotarło, że w lusterku nie ma szarego samochodu. Widziałam w nim tylko wóz zaprzężony w muła, za którym, na ile się mogłam zorientować, nic nie jechało.

Przez trzy minuty jak idiotka wpatrywałam się w lusterko, po czym rzuciłam spojrzenie za siebie. Zdążyłam przejechać około stu jardów od miejsca, gdzie się to zdarzyło. Wyjeżdżająca ze ślepej bocznej uliczki ciężarówka śmignęła tuż przed maską bentleya i zderzyła się z przejeżdżającym tramwajem. Bentley, uwięziony między tymi dwoma pojazdami, musiał się zatrzymać, choć, naturalnie, nie mogłam wiedzieć, czy on również oberwał. Ale nie ulegało wątpliwości, że utknął tam na dobre. Wokół miejsca wypadku już zaczynał gromadzić się podniecony tłumek... i, oczywiście, przyjechała policja...

Upłynie ładnych parę minut, a może i godzin, nim się stamtąd wydostanie.

Jak człowiek, który czując, że za chwilę zemdleje, nim całkiem utraci świadomość, czyni jeszcze ostatni wysiłek, wprowadziłam rileyę w boczną uliczkę i nacisnęłam gaz... w lewo, w prawo,

w prawo, znowu w lewo — nie, to ślepa uliczka — w prawo, tu i tam, niczym czmychający zając... Wtem przede mną wyłonił się warsztat samochodowy, gdzie za szeregiem pomp zionęła mroczna jama olbrzymiej szopy, do połowy wypełnionej ciężarówkami, samochodami osobowymi, autobusami w różnych fazach naprawy. Skręciłam tu, wjeżdżając tak daleko do środka, jak się tylko dało i zatrzymałam się w końcu za solidnym murem pojazdów.

Nadal działając jak automat, wyłączyłam silnik, wzięłam torebkę, mapy, okulary, płaszcz i wysiadłam z samochodu.

Nie przypominam sobie, jakie polecenia dałam właścicielowi, który natychmiast się zjawił, lecz pamiętam, że zapłaciłam mu coś z góry, a zachowałam jeszcze tyle przytomności umysłu, że poprosiłam o wizytówkę z adresem warsztatu. Wsunęłam ją do torebki i z wolna wyszłam na zalaną słońcem boczną ulicę.

Skręciłam w prawo, by oddalić się od centrum, i udałam się w kierunku, w którym, jak mi się zdawało, powinno być morze. Przeszłam kawałek przez ulice dość obskurne, ale sprawiające jednak w miarę przyzwoite wrażenie. Niebawem zauważyłam hotelik o nazwie, którą zapamiętałam z przewodnika Michelin. A więc z nadzieją, że będzie tam czysto i wygodnie, weszłam do chłodnego, wyłożonego płytkami holu, wpisałam się do książki gości i po stromych, kręconych schodach z marmuru weszłam na kamienny podest trzeciego piętra, gdzie *madame* pokazała mi mały, nieskazitelnie czysty pokój.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Usiadłam z wolna na łóżku i przez dobre pięć minut nie ruszyłam nawet rzęsą. Żaluzje były spuszczone dla ochrony przed słońcem, a okna zamknięte, toteż szum i zgiełk ruchu ulicznego najbardziej hałaśliwego miasta w Europie napływał falami do małego pokoiku, stłumiony i senny. Rozejrzałam się. Była tu umywalka, brodzik, wąskie, wygodne łóżko ze śnieżnobiałą pościelą, a na stoliku przy łóżku stała karafka z wodą.

Napiłam się do syta. Wstałam, zamknęłam drzwi na klucz, po czym powoli się rozebrałam, zrzucając ubranie po jednej sztuce

i układając je starannie na łóżku. Myłam się leniwie w chłodnej wodzie, opłukałam i osuszyłam całe ciało, a potem stanęłam na cieplej podłodze. Słońce rzucało na mnie ukośne cienie, tak że wyglądałam, jakbym była okratowana od stóp do głów. Następnie włożyłam świeżą nylonową koszulę i dokładnie wyszczotkowałam włosy.

Przełożyłam ubrania na oparcie krzesła, napiłam się jeszcze i położyłam na łóżku.

Dzień zaczął uchodzić, stawał się coraz bardziej pogmatwany, niewyraźny, niczym pochodzące z oddali odgłosy ruchu ulicznego... Richard Byron może być o całe mile stąd, mogli go wsadzić, a możliwe, że stoi za drzwiami... Czy to ważne?

Zasnęłam.

Obudziłam się tuż przed szóstą i z początku, wypływając z ciepłych głębin snu, nie mogłam się zorientować, gdzie jestem — leżałam na cudzym łóżku, pośród promieni słońca, wciskającego się coraz głębiej przez zasunięte żaluzje. Światło, z początku złociste, zyskało teraz cieplejszy odcień bursztynu; również gwar uliczny nabrał łagodniejszych tonów — dobiegający mnie sztumiony szum przypominał szum podziemnego morza.

Przez chwilę leżałam bez ruchu, rozkoszując się myślą, że moje ciało jest ciepłe i wypoczęte, a łóżko miękkie. Potem wstałam i powoli włożyłam swoją zieloną kreację. Zapinając wokół talii szeroki pasek i wkładając buty, pomyślałam, że sukienka i tak wygląda dość świeżo, jeśli wziąć pod uwagę, przez co przeszła zeszłej nocy i dzisiejszego dnia.

Poczułam głód, toteż pierwszym problemem, któremu zamierzałam stawić czoło, było skombinowanie jakiegoś posiłku. Luźno rozważałam pomysł, by kupić jedzenie i wino, po czym zjeść wszystko zamknięta bezpiecznie w pokoju, lecz skoro i tak mam wyjść po zakupy, to równie dobrze mogę coś zamówić w kawiarni. A Marsylia jest dużym i ludnym miastem, nie takim jak Nîmes czy Awinion. Wyjdę zatem, unikając głównych ulic i przegryzę coś w jakiejś małej restauracyjce, gdzie nikt mnie nie wyśledzi. Potem wrócę do hotelu i zadzwonię do Louise.

Przypomniałam sobie, co czytałam o Marsylii — że miasto przecięte jest na pół prostą linią Canebière, najruchliwszej ulicy w Europie, po której, prędzej czy później, przejdzie cały świat. Fama głosi, że jeśli posiedzi się na niej dostatecznie długo, ujrzy się wszystkich znajomych. Gdybym była Richardem Byronem — pomyślałam — tam właśnie bym się udała. Wybrałabym sobie stolik w kafejce na bulwarze, usiadła i czekała na dziewczynę w jasnozielonej sukience.

A zatem dziewczyna w jasnozielonej sukience pójdzie gdzie indziej.

Zniosłam klucz na dół, uprzejmie porozmawiałam z *madame* oraz rudym kotem w holu, a następnie po trzech kamiennych stopniach zeszałam na ulicę. Nadal było ciepło, lecz słońce przybrało już barwę miedzianozłotą, a na chodnikach kładły się długie cienie.

Uczucie zmęczenia minęło, pozostawiając jedynie jako rezultat głębokiego snu dojmujące poczucie nierzeczywistości, jakbym bez wysiłku i bezcieleśnie poruszała się w marzeniu sennym. Mijali mnie przechodnie, dudnił ruch uliczny, lecz te przejawy żywotności nie miały związku z otaczającym mnie światem, ludzie zdawali mi się „niczym chodzące drzewa”, pozbawione osobowości i rysów, nieme, nic nieznaczące stwory, zaludniające mój koszmar. Jediną żyjącą osobą byłam ja, Charity Selborne, której żadna z tych rzeczy absolutnie nie mogła się przytrafić...

Dość szybkim krokiem podeszłam do końca ulicy, po czym rozejrzałam się w prawo i w lewo. Z prawej moim oczom ukazała się plątanina jeszcze nędzniejszych uliczek i magazynów, wobec tego skręciłam w lewo i wąską dróżką poszłam ku morzu. Po chwili zdałam sobie sprawę, że idę w kierunku wybrzeża — po drugiej stronie ujrzałam maszty, błysk skrzydła mewy oraz migotanie pierwszych zapalanych neonów.

Zawahałam się. O Marsylii, nikczemnym mieście, opowiadają takie rzeczy... a czyż wszelka nikczemność nie skupia się w porcie? Z lewej odchodziła uliczka w bok, toteż przystanąłam przy niej i spojrzałam w głąb.

Po czym, nie wahając się już ani sekundy, ruszyłam w stronę wybrzeża. Bo on tam był, mój wróg, niepewny tak jak ja, na przeciwległym rogu ulicy, która, jak się później zorientowałam, wychodziła wprost na Canebière — a więc w tej kwestii miałam rację. Chyba mnie nie widział, lecz polowanie zostało wznowione, toteż ruszyłam w stronę starego portu marsylskiego, nie zastanawiając się, że oto wstępuję do królestwa nikczemności. Przypuszczam, że w tym momencie dość chętnie przyjąłabym propozycję bezpłatnej podróży do Buenos Aires.

Gdy doszłam do portu, znowu się zawahałam. Widać mnie tam będzie jak na widelcu. Stary Port stanowił ogromną pustą przestrzeń, poprzecinaną torami tramwajowymi i kolejowymi, z trzech stron ograniczoną domami i restauracjami, na których zapalały się już barwne neony, rywalizujące swym blaskiem ze światłością zachodzącego słońca. Czwarta strona portu otwierała się ku morzu. Na przybrzeżnych wodach tłoczno było od łódek wszelkich barw i kształtów, a w bursztynowym świetle omotany śniąca pajęczyną lin kołysał się i podrygiwał las masztów.

Wahałam się tylko przez chwilę, po czym przez otwarty plac przeszłam do najbliższej grupy osób, w nadziei, że zgubię się wśród nich i zdołam się przedostać na drugą stronę. Między torami kolejowymi a skrajem przystani stało około dwudziestu, trzydziestu osób, śmiejąc się i rozmawiając. Doszłam tam i dołączyłam do nich, nie zwracając uwagi na natrętne zaproszenia do wspólnego spędzenia wieczoru, jakie otrzymałam od dwóch marynarzy, którzy najwyraźniej wyszli na przepustkę, i schroniłam się za rodziną złożoną z papy, mamuśki i dwóch chłopaczków w marynarskich ubrankach z czerwonymi pomponami na czapkach. Rzuciłam ostrożne spojrzenie na wlot ulicy. Byrona tam nie było.

Potem odkryłam, dlaczego właśnie w tym miejscu na przystani zbierał się tłum.

Stary żeglarz o czerwonych policzkach, bujnych białych bokobrodach i zwilgotniałych oczach o lubieżnym wejrzeniu pojawił się niespodziewanie na pomoście, prowadzącym z pobliskiego

nabrzeża do rufy przycumowanej poniżej nas motorówki.

— Tędy! — ryknął. — Tędy do Chateau d'If!

Jednocześnie inny starzec, o bokobrodach nieco mniej białych i odpowiednio bardziej pożądlivym spojrzeniu, zaczął robić mu konkurencję.

— Tędy! — wrzasnął. — Tędy do Château d'If!

Tłum, nie obdarzając żadnego z rywali szczególniejszymi względami, podzieliwszy się na dwie równe grupy zaczął zstępować po bliźniaczych pomostach. Zapowiadało się, że moja osłona zniknie i zostanę samiotka na brzegu Starego Portu.

Rzuciłam okiem na róg ulicy, akurat kiedy pojawił się tam Richard Byron, zerknął za siebie, obrzucił spojrzeniem plac, lecz nie popatrzył na wybrzeże, spoglądał w drugą stronę, ku zgiełkliwej Canebière.

Zbiegłam w popłochu po najbliższym pomoście, usiadłam i schowałam się pod markizą, najgłębiej jak tylko można. Łódź zacumowana była znacznie poniżej poziomu przystani, tak że Byron nie mógł mnie dojrzeć z miejsca, w którym się znajdował. Lecz wyglądało na to, że darowawszy sobie Buenos Aires, pojedą jednak na wycieczkę do Château d'If.

Przewoźnik, czyniąc wiele niepotrzebnego hałasu, odbił od brzegu i niebawem po mętnych wodach zatoki wychodziliśmy z portu.

Nie będę udawać, że wycieczka do Château d'If sprawiła mi choćby odrobinę przyjemności. Znowu tkwiłam w pętli dawnego lęku, która teraz jeszcze mocniej się zacisnęła, bo wplotły się w nią ponure pasma beznadziei. Wyglądało na to, że nie zdołam się od niego odczepić, jakby tego ponurego i niebezpiecznego mężczyznę coś ze mną wiązało; był wszędzie, dokądkolwiek bym się udała. Choć Marsylia nie jest małą miasteczką, natknęłam się na niego, gdy tylko odważyłam się wychylić nos z hotelu, w Prowansji akurat na niego musiałam natrafić w ruinach Les Baux. Jakichkolwiek środków bym się jęła, zawsze mnie dopadał, żebym

nie wiem jak sprytną sztuczkę wymyśliła, zawsze dojdzie prawdy... tak, w każdym razie, mi się wydawało, a nie byłam w stanie ocenić, czy moja desperacja wywołana była głodem, czy też poczuciem nieuchronności losu...

Siedziałam na niskim parapecie wieży Chateau d'If, patrząc, jak biel kamienia stopniowo przechodzi w delikatny róż. Morze pluskające łagodnie, gdyż nie nadeszła jeszcze pora przyływu, omywało białe, szemrzące kamyki, na wodzie barwy akwamaryny falki przybierały odcień płynnego złota.

Widziałam to wszystko jak we śnie, a szept morza zdawał się echem sennego marzenia.

Łódź odplynęła, a ja siedziałam ciągle na tym samym miejscu. Przyplynęła następna motorówka i wyładowała kolejny ładunek rozgadanych turystów, którzy nieprzerwanym strumieniem płynęli do zamku, tłoczyli się w więziennych celach i na szerokim, płaskim dachu, na którym siedziałam. Podniosłam się nagle i zeszłam do czekającej już na pasażerów łodzi. Spojrzawszy na zegarek stwierdziłam, że spędziłam na wyspie ponad godzinę. Na pewno już poszedł – powiedziałam sobie bez przekonania. Z nieco większym przekonaniem i znacznie większą dozą zdrowego rozsądku tłumaczyłam sobie, że ten stan odrętwiałego fatalizmu bierze się z głodu i zmęczenia, a im prędzej wrócę i coś zjem, tym lepiej się pocuję.

Droga powrotna wydała mi się krótsza niż podróż w tamtą stronę. Zapadał już zmierzch, a światła wzdłuż brzegu jarzyły się niczym naszyjnik. Nie było fal, lecz ławice ciemności lekko sunęły ku lądowi, by plusnąć o majaczącą w mroku skałę.

Zgasiliśmy silnik i podryfowaliśmy ku nabrzeżu, ciągnąc za sobą ślad w kształcie strzały. Port usiany był neonowymi światłami, białymi, szkarłatnymi, zielonymi i ametystowymi, a pod bardziej stłumionym blaskiem ulicznych latarni zbierały się wieczorne tłumy. Budziło się nocne miasto. Siedziałam w niemo kołyszącej się łodzi, odprężona, ciągle w przypominającym trans

stanie bezwładu, będącym ostrą reakcją na poprzednie przeżycia. Nie chciało mi się przyglądać pogrążonej w mroku przystani, by się przekonać, czy ta ostatnia próba ucieczki uwieńczona została powodzeniem. Wiedziałam, że nie. Wiedziałam, że jakaś siła, potężniejsza niż wszystko, z czymkolwiek dotychczas się zetknęłam, zaprowadzi Richarda Byrona wprost na pomost, gdzie będzie na mnie czekał.

Cumowaliśmy przy nabrzeżu. Przewoźnik krzyknął do chłopaka na brzegu i wspólnie zamocowali trap. Pasażerowie wstali, nawołując się i śmiejąc, po czym niezgrabnie przeszli po kładce. Poszłam za nimi.

Nie spojrzałam nawet na Richarda Byrona, gdy wziął mnie pod ramię i pomógł wyjść na ląd.

ROZDZIAŁ XIV

*Losie, takam smutkiem omroczone,
Jak złośliwość twoja pragnie,
Tyleż żywię w sobie ognia
Ile ma Miłości płomień.*
(Marvell)

Przeszedł wraz ze mną przez nabrzeże, trzymając mnie za łokieć. Ludzie mijali nas, popychali, a nawet poszturchiwali, lecz miałam wrażenie, że jesteśmy zupełnie sami. Widziałam tłum niewyraźnie, jakbym patrzyła przez ciemne szkło, a dźwięki dochodziły do mnie z oddali, jak gdybym pogrążona była w narkotycznym odrętwieniu. Słyszałam tylko stukot naszych stóp na kocich łbach oraz oddech kroczącego obok mnie Richarda Byrona.

— Mamy jeszcze ze sobą do pogadania — powiedział tonem nawet dość uprzejmym.

Coś we mnie pękło. Wściekłość, stłumiona dotąd strachem i zmęczeniem, nagle wybuchła. Przystanąłam i odwróciłam się twarzą do Byrona. Mijał nas tłum ludzi, lecz nie zwracałam na nich uwagi, byłam tylko ja i mój wróg, odizolowani od reszty małym kręgiem gniewu.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

— Możemy sobie gadać bez przerwy, skoro z pana jest taki upierdliwy facet — warknęłam ze złością. — Ale muszę powiedzieć panu jedną, najważniejszą rzecz. Niczego się pan ode mnie nie dowie o Davidzie. Wiem doskonale, gdzie jest, ale może mnie pan straszyc i grozić mi, ile pan chce, niczego pan ze mnie nie wydobędzie. Absolutnie niczego.

— Ależ ja...

Perorowałam dalej, jakby się w ogóle nie odezwał:

— Powiedział mi pan z mety, że jest pan mordercą. Czy myśli pan, że pomogę odnaleźć dziecko, które, z tego co wiem, rzeczywiście rąbnął pan w głowę tej nocy, gdy zabił pan swojego przyjaciela? Niechże się pan chwilę zastanowi, panie Byron. David to słodki dzieciak, mimo że jest pańskim synem i... sama pana zamorduję, jeśli tknie go pan choćby palcem!

Gorące łzy wezbrały mi w oczach, łzy gniewu, niepokoju i zmęczenia. Poczułam, że zasłaniają mi oczy i zaczynają spływać po policzkach. Zakryły mi twarz Byrona, a on przez długą chwilę milczał.

— Mój Boże — powiedział wreszcie dziwnym głosem.

Ale ledwo go słyszałam.

— A oprócz tego — dokończyłam — zepsuł mi pan wakacje, na które całe lata czekałam.

Wygłosiwszy tę wyjątkowo głupią tyradę, nagle się załamalam, zaczęłam bezradnie szlochać z rękoma przy twarzy, a łzy przepływały mi przez palce. Odwróciłam się od Richarda Byrona, potknęłam o szyny kolejowe i byłabym upadła, gdyby znowu nie chwycił mnie pod łokieć i nie pomógł odzyskać równowagi.

Potem odezwał się tym samym, dziwnym głosem.

— Lepiej się pani poczuje, gdy coś pani zje. Chodźmy.

Rozjaśnione neonami kafejki widziałam jak przez mgłę. Czulałam, że Byron prowadzi mnie po chodnikach i rozpaczliwie usiłowałam odzyskać panowanie nad sobą, jednocześnie szukając po omacku w torebce chusteczki. Potem, nagle, znaleźliśmy się w małej, przesłiznie urządzonej restauracyjce, gdzie stoliki stały we wnękach oświetlonych łagodnym blaskiem kinkietów. W pomieszczeniu spoglądałam na serwetki, szkło i srebra oraz olbrzymie gałęzie żółtego kwiecica, po czym zostałam wygodnie usadowiona w przepastnym, przytwierdzonym do ściany fotelu, obitym aksamitem koloru wina, a Richard Byron wkładał mi do ręki kieliszek. Lecz dłoń drżała mi tak mocno, że przykrył ją swoją i trzymał,

póki nie odzyskałam panowania nad sobą na tyle, by podnieść naczynie do ust.

Słyszając głos Byrona, dochodzący do mnie jakby z wielkiego oddalenia, uświadomiłam sobie, że brzmi on bardzo łagodnie.

— Niech pani wypije do dna. Zaraz się pani zrobi lepiej.

Przełknęłam parę łyków. Była to jakaś wódka, która wybuchnęła, a potem wyparowała mi w ustach i gardle uczuciem natychmiastowego, aromatycznego ciepła, aż zaparło mi dech i trochę się zakrztusiłam, lecz potem oddychałam już równiej i zdołałam stłumić spazmatyczne łkania, które mną wstrząsały.

— Do dna — nalegał Richard Byron.

Usłuchałam, po czym, zamknąwszy oczy, oparłam się wygodnie o miękkie poduszki, by moje ciało odprężyło się dzięki rozchodzącym się po nim ciepłe drinka oraz aromatów potraw, wina i kwiatów. Miałam uczucie, że kości mi się rozpływają i byłam absolutnie ukontentowana, gdy tak spoczywałam na miękkim aksamicie, czując przyćmione światło na powiekach. Rozkoszowałam się tą chwilą całkowitej beczynności, nie myśląc w ogóle o niczym. Byłam uspokojona i zupełnie bezwolna, opanowałam też przerażające początki hysterii.

Nadal z tej samej, bezwymiarowej odległości usłyszałam, jak mówi po francusku. Najprawdopodobniej zamawiał jedzenie. I niebawem koło mnie rozległ się brzęk srebra, a otworzywszy oczy, ujrzałam wielki, błyszczący wózek *hors d'oeuvre*, nad którymi pochylał się kelner.

Richard Byron powiedział mu coś, a kelner nie czekając, aż się odezwę, zaczął mnie obsługiwać. Przypominam sobie eleganckie, srebrne nakrycia o wytwornych wzorach, a każde wykwintnie, wielokolorowo zdobione... podano koreczki i maleńką, połyskującą srebrno rybkę w czerwonym sosie, pachnące masło na zwiniętych listkach świeżej sałaty, kawior, pomidory, oliwki zielone i czarne, małe, złoto-różowe grzybki, rzeżuchę i fasolę. Kelner nałożył mi kopiałą porcję i ponownie nappełnił kieliszek białym winem.

Wypiłam połowę bez słowa i zaczęłam jeść. Czułam na sobie wzrok milczącego teraz Richarda Byrona.

Kelnerzy krążyli wokół nas, donoszono kolejne dania, wyborne i apetyczne, a puste talerze znikwały jakby za dotknięciem różdżki. Przypominam sobie czerwoną rybę, podaną z cytryną oraz soczystego, upieczonego na złocisty brąz ptaka, który aż pękał od trufli, a całość otaczał wianuszek drobnego groszku. Potem pojawiła się także lodowa pianka z bitą śmietaną, przybrana wiśnią. Przez cały posiłek moje podniebienie pieściło wyśmienite wino. Na zakończenie podano brzoskwinie, wielkie, czarne winogrona i kawę. Kelner usunął małe srebrne filtry i zniknął, zostawiając nas samych we wnęce.

Brandy pławiła się w swym własnym bukiecie w olbrzymich, fosforyzujących kielichach i przez chwilę przyglądałam się jej leniwie, rozkoszując się bursztynowym, gładkim połyskiem, po czym oparłam się na poduszkach i rozejrzałam oczyma pacjenta, który po narkozie zbudził się z pierwszego, naturalnego snu. Tam gdzie przedtem kolory były zamazane i nazbyt intensywne, kontury nieokreślone, proporcje niestałe, a dźwięki puste i drżące, powróciła ostrość widzenia, a mała, jasna restauracyjka zyskała w moich oczach wyraźny, dramatyczny zarys.

Spojrzałam na Richarda Byrona.

Siedział z pochyloną głową, patrząc, jak brandy obraca się na dnie kieliszka; przytłumione światło kinkietu padało z tyłu i z lewej. Stwierdziłam, że po raz pierwszy spoglądałam na niego bez otoczki strachu czy przerażenia, które tak silnie wpływały na mój obraz tego człowieka. Światło ostro obrysowywało kształt jego kości policzkowych i szczęki oraz zgrabną linię skroni, rzucając dramatyczny, ukośny cień od spuszczonej rzęsy — rzęsy Davida — na ostry kontur policzka. Przede wszystkim uderzył mnie głęboki smutek bijący z tej twarzy, on to raczej, nie zaś srogi charakter, wyłobił te zmarszczki na policzkach i położył wokół oczu ów ponury cień. Gdy tak siedział z pochyloną głową, bezwiednie

obracaając w palcach kieliszek, gniewne linie wokół brwi i ust wygładziły się, twarz przybrała wyraz skrytości i zamyślenia, co sprawiałoby wrażenie groźne i odpychające, gdyby nie łagodziło ich pełne smutku wygięcie ust.

Nagle uniósł rzęsy i spojrzał na mnie. Serce zabiło mi gwałtownie, a potem spojrzałam mu prosto w oczy.

— Jak się pani teraz czuje?

— Dużo lepiej, dziękuję — odparłam. — Dzięki za ocalenie wraka... muszę wyglądać jak...

Roześmiał się, a ja nagle poczułam, jakby na miejscu człowieka, którego, jak mi się wydawało, znałam, znalazł się ktoś zupełnie nieznajomy.

— Widzę, że poczuła się pani lepiej, skoro martwi się pani o swój wygląd — powiedział. — Ale proszę nie zaprzętać sobie tym głowy. Ujdzie pani, bez najmniejszych problemów.

Zapalił mi papierosa, a w płomieniu zapalki ujrzałam, że w jego oczach pojawiła się nagle powaga i wielkie napięcie.

— Teraz chciałbym panią zapytać o dwie rzeczy... — powiedział cicho.

Musiałam chyba zmienić się na twarzy, bo dodał ostro:

— Niech pani tak nie patrzy. Proszę. Zachowywałem się jak idiota i bardzo za to przepraszam, ale na miłość boską, niech pani tak na mnie nie patrzy. To zupełnie nieszkodliwe pytania, a jeśli mi pani na nie odpowie, przestanę zawracać pani głowę do czasu, kiedy będzie pani miała ochotę opowiedzieć mi resztę.

Urwał, a w sali nagle wszystko zastygło.

Znowu to samo — pomyślałam. Patrzył na dno swego kieliszka, tak że nie widziałam jego oczu, lecz w pełnym rezerwy głosie czułam napięcie, które poprzednio tak mnie przeraziło.

— Jak się ma David? — zapytał. — Dobrze się czuje? Jest szczęśliwy?

Spojrzałam nań ze zdziwieniem, oczekiwałam zupełnie innego pytania.

— Na ile się orientuję, miewa się dobrze. Ale niech się panu

nie wydaje, że jest szczęśliwy. Po pierwsze, za bardzo doskwiera mu samotność, a po drugie, zbyt się boi.

— Boi się?

Tym razem on na mnie spojrział. Odstawił kieliszek tak gwałtownie, że nieco brandy pociekło na stół i pojawiły się w niej bąbelki, a potem tak mocno uchwycił się krawędzi stołu, że aż zbiełały mu kłykcie. Z popielniczki, na której żarzył się jego zapomniany papieros, unosiła się pomiędzy nami kręta, cienka smużka dymu. Richard Byron wpatrywał się we mnie poprzez błękitną mgiełkę i powtórzył, bardzo cicho:

— Boi się? Czego?

Uniosłam brwi.

— Pana, oczywiście.

Nie mogłam mieć wątpliwości co do jego pierwszej reakcji na moją bezkompromisową odpowiedź — było to osłupienie, najzwyklejsze w świecie, nieme osłupienie. Patrzył na mnie przez stół rozszerzonymi oczyma. Po czym, nagle, jakby coś zrozumiał lub sobie przypomniał, na jego twarzy pojawiła się dawna gorycz i Richard Byron raz jeszcze zamknął się w sobie. Odezwał się dziwnie apatycznie:

— Mnie? Jest pani pewna, że właśnie mnie? Tak powiedział?

Nagle zrozumiałam. Oczy mi się rozszerzyły, jak wcześniej jemu i siedziałam tak, wpatrując się w niego jak sowa.

— Nie wierzę, że zabił pan swego przyjaciela. Nie wierzę, że choćby raz w życiu zrobił pan krzywdę Davidowi. Kocha go pan, prawda? Prawda?

Richard Byron uśmiechnął się do mnie dziwnym, krzywym uśmiechem, który mnie zabolął. Znowu wziął do ręki papierosa.

— Kocham go najbardziej na świecie — powiedział lekko, jakby to był drobiazg.

Potem, nagle, przysnęło złudzenie, że jesteśmy sami. Pojawił się główny kelner o twarzy rozciągniętej uśmiechem i zaczął się

uwijać koło nas, trzepocząc rękami, przypominającymi pękate ćmy.

— Kolacja smakowała, *madame! Monsieur* jest zadowolony? *Chapon marseillais* smakuje wybornie, prawda? To *spécialité de la maison*, pani rozumie, *madame...*

Zapewniliśmy go, że wszystko było doskonałe, on zaś, promieniając uśmiechem i machając rękami w sposób przywodzący na myśl miotające się ćmy, oddalił się w ukłonach, po czym inny kelner, z lekko przeproszającym wyrazem twarzy, jaki przybiera człowiek, dopuszczający się niezbyt chwalebного uczynku, podszedł z boku z rachunkiem.

Richard Byron zerknął na niego, położył na tacy dość oszalałmiącą sumę pieniędzy i gestem nakazał odejść kłaniającemu się kelnerowi. Potem dziwnie się zawahał i spojrział na mnie.

— Wiem, że nie ma sensu przeproszać za to, co się stało — powiedział — ale jeśli ten niedoskonały zwrot może cię choć w najmniejszym stopniu satysfakcjonować, naprawdę jest mi przykro. Zachowywałem się jak skończony idiota, a do tego musiałem być chyba ślepy. Powinienem był przecież wiedzieć, że ktoś taki jak ty nie może być zamieszany w coś podobnego. Obiecuję, że nie będę cię już więcej prześladował... Ale czy moglibyśmy gdzieś pójść, może na spacer, żebym ci wszystko wytłumaczył? To dość długa historia, a zależy mi, żebyś ją poznała.

W przyćmionym świetle na jego bladej twarzy znać było napięcie. Nagle bardzo wyraźnie przypomniała mi się twarz Davida, która miała podobny wyraz, i pełen wahania dziecinny głos: „A jak wyglądał?”

— Chętnie posłucham, jeśli to dotyczy Davida. A co do przeszłości, może na razie o niej zapomnimy. Zdaje się, że nie tylko ty się pomyliłeś... Wygląda na to, że ja jeszcze bardziej.

— Miałaś istotniejsze powody.

Uśmiechnął się nagle swym ciepłym uśmiechem, który, ku swemu zdumieniu, odwzajemniłam. Podniosłam się.

— Jeśli przyrzeknę, że nie wyjdę przez okienko na zapleczu, puścisz mnie, żebym przypudrowała nos?

— Ty... — urwał nagle. — Ależ oczywiście.

Wychodząc zobaczyłam, że zapala następnego papierosa i usadawia się wygodnie w krześle, by na mnie zaczekać.

Wyszliśmy na ciemne ulice, biegnące promieniście od Starego Portu i instynktownie, jakby za obopólną zgodą, skręciliśmy ku morzu. Niebawem znaleźliśmy się na wysadzanej kocimi łbami ulicy, która biegła ukosem wzdłuż brzegu, po lewej mieliśmy wysokie domy, po prawej niski falochron. Hen przed nami, unosząc się w rozgwieżdżonym powietrzu niczym fatamorgana, lśnił złoty posąg Najświętszej Panny, górujący na szczycie Notre Dame de la Garde.

Domy były ciemne i tajemnicze, od czasu do czasu tylko pojedyncze latarnie rzucały ukradkowe światło na bruk. Na nabrzeżu łodzie podrygiwały, dygały przy samym brzegu i ocierały się o siebie, a morze lizało je, wydając krótkie cmoknięcia. Tam, gdzie blask nieśmiałej latarni odbijał się w wodzie, falująca powierzchnia rzucała świetlne wzorce ku górze, na brzuchy łódek, tak iż wydawało się, że płyną, schwyte w rozkołysaną, fosforyzującą sieć. W głębi zatoki, zielone, czerwone i złote światła kotwiczne większych statków tonęły w długich, płynnych cieniach. Liny sprawiały wrażenie wiotkich i czarodziejskich pajęczyn.

Staliśmy, wyglądając za falochron. Minęła nas grupa hałaśliwie rozmawiających i śmiejących się marynarzy, a potem pochłonięta sobą para — mężczyzna i dziewczyna. Nikt nie zwracał na nas uwagi i znowu poczułam, że ogarnia mnie to dziwne uczucie rozmarzenia, którego doznałam już wcześniej, tyle że tym razem nie było wywołane zmęczeniem, lecz czymś, co nie całkiem mogłam zrozumieć. Miałam wrażenie, że oboje z Richardem Byronem jesteśmy sami w szklanej kuli, zamknięci w jej ciszy, której

nic nie zakłóci i z której nie możemy wyjść. Ludzkie sylwetki widziałam niewyraźnie, niczym mieszkańców jakiegoś podmorskiego świata, w którym zawieszona była nasza kula — mijali nas, unosząc się bezgłośnie, zamazane postaci na zewnątrz szklanej osłony, być może zerkali do środka, lecz nie mogli zakłócić spowijającej nas ciszy. Do dziś dnia pamiętam Marsylię, najbardziej hałaśliwe miasto na świecie, jako zaciszną scenerię spotkania z Richardem Byronem, niemy film, migoczący na ekranie, przed którym my dwoje poruszamy się, stoimy i rozmawiamy jako jedyni znajdujący się tam żywi ludzie. Pochyliłam się do niego.

— Powiedziałaś, że chciałeś mi zadać dwa pytania, a zadałeś tylko jedno. Jak brzmi drugie?

Spojrzał na mnie bez słowa, a w przyćmionym świetle nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy, lecz odniosłam wrażenie, że czuje się dziwnie zagubiony.

— Wydaje mi się, że wiem, zresztą trudno, żebym się nie domyśliła. Powinieneś był najpierw o to zapytać, bo to ważniejsze.

Widziałam, że kąciki ust unoszą mu się w uśmiechu.

— Być może.

— David jest w Hôtel Tistet-Védène, w Awinionie — wyrecytowałam.

Przez chwilę stał bez ruchu, a potem zrobił gwałtowny obrót i stanął do mnie twarzą, po czym raptownie chwycił mnie za przeguby. I tak jak w Nîmes, uścisk jego ręki mnie zabolął, lecz tym razem nie próbowałam się wyrwać. Dotyk jego dłoni powiedział mi, jak wali mu serce.

— Charity — odezwał się szorstko — dlaczego mi to mówisz? Nie opowiedziałem ci jeszcze całej historii, niczego nie wyjaśniłem. Nie wiesz nawet, że okłamałem cię mówiąc, że zabiłem Tony'ego. Nie masz najmniejszego powodu, by mi wierzyć. Próbowałam cię zastraszyć, zadałem ci ból i zachowywałem się wobec ciebie jak ostatni drań. O mały włos nie doprowadziłem cię do choroby. Więc dlaczego nagle robisz mi taki prezent, zanim wygłosiłem swoją kwestię?

Miałam wrażenie, że ma serce niczym silnik, jego dudnienie pobudziło również i mnie. Spłoszyłam się.

— Nie wiem — odparłam nieporadnie i usiłowałam wyrwać ręce z jego uścisku.

Przestał ścisnąć mnie za przeguby, a jego wzrok padł na mój posiniaczony nadgarstek. Przez parę sekund stał z pochyloną głową, wpatrując się w paskudną ciemną plamę, po czym nagle wykrzywił usta, wziął mnie w ramiona i pocałował.

Puścił mnie po dłuższej chwili. Oparłam się o niski murek, on zaś odwrócił się gwałtownie i wpatrzył w morze.

— Chyba dlatego — powiedziałam, drżąc.

— Całe piekło tego wszystkiego polega na tym, że pragnęłam tego od pierwszej chwili, odkąd wszedłem do Świątyni Diany i ujrzałem cię tam, ze łzami na rzesach. I przez cały czas uważałem cię za małą, fałszywą...

— ...dziwkę.

Uśmiechnął się.

— Właśnie — powiedział. — Przez cały czas, gdy myślałem, że jesteś jedną z nich, wstrętną małą oszustką wpłataną w wyjątkowo obrzydliwe morderstwo... że uprawiasz grę, w której chodzi o życie i stan psychiczny dziecka, jakby to był plastikowy żeton, którego straty nawet nie zauważysz.

Nagle odwrócił ode mnie wzrok.

— Nie chciałaś mi powiedzieć, gdzie jest David... bo on cię o to prosił?

— Tak — przyznałam łagodnie.

— A ja myślałem, że pomagasz im trzymać go ode mnie z daleka. Byłem absolutnie pewny, że jesteś winna, a do tego sprawiałaś wrażenie tak przerażonej, no i oczywiście nie miałem pojęcia, że sam David... — urwał nagle.

— Strasznie mi przykro, ale tak to wyglądało. Starał się... ciebie unikać, więc mu pomagałam. Myślałam, że postępuję słusznie.

Uśmiechnął się.

— Tak, teraz to widzę. Ale zdajesz sobie sprawę, że wszystkie

dowody świadczyły przeciwko tobie, choć mój instynkt zerwał się i zaczął wrzeszczeć, że dowody są błędne. Po tym wszystkim, co się stało, jedna rzecz wystarczała, by wszelkie wartości roztrząskać w drobny mak, a kolejną bezpieczną drogę przemienić w lotne piaski. Jedna rzecz, nieprawdopodobna, lecz prawdziwa.

— Wiem — odparłam. — Jak to idzie...?

*A jednak w sercu mym jest jakaś ufność,
Jest jakaś silna, uparta nadzieja,
Co przeczy oczu i uszu dowodom,
Jakby te zmysły ludziły nas tylko,
Stworzone po to, by rzucać oszczerstwa.*

— Czy o to ci chodzi?

Znowu się uśmiechnął, tym razem bardziej naturalnie.

— Tak, właśnie, choć jest to niezbyt jasno wyrażone. Biedny Troilus... później mówi o tym trochę składniej:

*Jeżeli piękność ma duszę, nie była
To ona...
Jeżeli w samej jedności są prawa,
Nie, to nie ona.*

— Ale ja miałem większe szczęście niż Troilus, prawda? W moim przypadku zasady się sprawdziły. Nikt, kto wygląda, porusza się i mówi tak jak ty, nie może być tak wredną suką, jaką mi się na początku wydawałaś. Ale gdy to trwało, przeżywałem piekło, rozum walczył z instynktem, a jedno i drugie zostało pogwałcone. — Odwrócił głowę. — Rozumiesz to, prawda?

— Oczywiście. A czy i mnie to się nie przytrafiło? Myślałam, że jesteś bestią i mordercą, bałam się ciebie, a jednak... to się stało.

— To się stało — powtórzył. — W naszym przypadku rozsądek załatwił sprawę polubownie.

— Na szczęście.

Patrząc na ciemne, ukośnie falujące wody, powiedział z wolna:

— Ale źle odgadłaś pytanie, Charity. Myślałaś, że znowu będę cię tym dręczył, nim wyjaśnię dlaczego nadal mam prawo do odpowiedzi?

Żle? Nie miałaś zamiaru zapytać, gdzie jest David?

— Nie.

— Więc co chciałaś wiedzieć?

Stał, wpatrując się w wodę, oparty łokciem o niski murek. Po raz czwarty zapytał dobitnie:

— Kim jest Johnny?

ROZDZIAŁ XV

Pani, czy udasz się na przechadzkę...?
(stara piosenka)

Ciemne, oleiste wody, które unosiły się pod falochronem, upstrzone były źdźbłami słomy i kawałkami korka. W słabym blasku latarni patrzyłam, jak fale wznoszą się i opadają, kołysząc pływającymi odpadkami; było to fascynujące, a jednocześnie napawało mnie wielkim spokojem.

– Johnny był moim mężem – odparłam.

– Był?

– Tak – rzekłam.

– Ach, rozumiem. Bardzo mi przykro.

Odwróciłam się, tak jak on, twarzą ku morzu, oparłam łokcie o murek i wbiłam wzrok w rozkołysaną wodę.

– Pobraliśmy się w czasie wojny... był w RAF-ie. Przeżyliśmy ze sobą dwa lata, więc uważam, że i tak mieliśmy szczęście. Zginął nad Pas de Calais.

– Latał na bombowcach?

– Na myśliwcach.

Mleczna mgiełka nad morzem zaczęła odrywać się od księżyca. Horyzont wyłonił się z mroku na spotkanie jej słabego światła.

– Któregoś dnia opowiem ci o Johnnym. Ale nie teraz.

Rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Z powodu tego, co się stało?

– Chodzi ci o to, że mnie pocałowałeś?

– Chodzi o to, że cię kocham, Charity.

— Nie — odparłam. — Nie z tego powodu. To, co się dzieje ze mną teraz, nie zmienia tego, co działo się ze mną przedtem. Między mną i Johnnym powstało coś szalenie konkretnego, co budowaliśmy dla siebie bardzo starannie, a gdy to stworzyliśmy, było idealne i dawało nam szczęście. Ale skoro niemiecki pocisk rozniósł je na strzępy, to nie znaczy, że nie będę próbowała zbudować czegoś na ruinach. Johnny nie jest duchem, który uczepił się mnie i przypomina, że mam ciągle nosić żalobę.

— Gdy ujrzałam cię po raz pierwszy — powiedział cicho — płakałaś.

— Wiem. To prawda, że myślałam o Johnnym. Lecz pamięć o naszym wspólnym życiu nie zabroni mi żyć dalej, czy inaczej... Za drugim razem trzeba budować jeszcze lepiej, a ja ciągle mogę budować. A Johnny... — odwróciłam się do Richarda Byrona — Johnny na pewno by mnie do tego zachęcał.

Wyprostował się i objął mnie, tym razem bardzo delikatnie. Uśmiechał się, a w głębi jego szarych oczu igrał ogień. Odsunął mnie trochę od siebie i przyjrzał mi się, wyginając usta w uśmiechu.

— Kocham cię, Charity — powtórzył. — Jesteś taka słodka i masz tak dobrze poukładane w głowie. Boże kochany, dzięki tobie świat staje się prawie miły i normalny, tak jak niegdyś. Mogę przyjąć, że twoim zdaniem nie mam na co czekać i pozwalasz mi się znowu pocałować?

— Ależ nie, ja...

— Bo mam taki zamiar — powiedział Richard Byron.

I zrealizował go.

Minęły, zda się, całe godziny, a księżyc rzucił już na morze srebrną smugę, gdy znowu stanęliśmy obok siebie, oparci łokciami o murek, i zaczęliśmy rozmawiać.

— Dość tych podchodów — zdecydował Richard. — Muszę pomyśleć, a ty musisz mi w tym pomóc, więc masz prawo poznać

całą tę historię. Przykro mi, że wciągam cię w taką śmierdzącą sprawę...

— Wydaje mi się — rzekłam potulnie — że jestem w nią już dość głęboko wciągnięta i to wyłącznie dzięki własnym wysiłkom.

Zastanawiał się przez chwilę i wyraźnie widziałam, jak silnie zarysowały mu się zmarszczki wokół ust, te gorzkie, małe zmarszczki, przez które jego twarz przybiera nagle wygląd surowy i przerażający.

Zaczął mówić...

Nie była to pogodna opowieść, a słuchając jej czułam w jakiejś mierze gniew, który jeszcze teraz wrzał w głosie Richarda i zapalał się w moich żyłach.

W największym skrócie, wyglądało to tak:

Richard Byron, któremu powodziło się nie najgorzej, mieszkał w Deepings, w Surrey i jako handlarz antykami wśród wtajemniczonych cieszył się niezłą reputacją.

— Zacząłem jako zupełny amator — opowiadał. — Kupowałem to, co mi się podobało, i od czasu do czasu odsprzedawałem ludziom, którym moje nabytki przypadły do gustu. Stopniowo zaczęło mnie to wciągać i interes rozwijał się coraz lepiej. Nie musiałem w ten sposób zarabiać na życie, ale z czasem moja wiedza o antykach pogłębiała się i zacząłem jeździć w poszukiwaniu towaru. Zdążyłem się wyspecjalizować w pewnych wyrobach, zwłaszcza w starym srebrze i biżuterii. Cieszę się nawet opinią znawcy w tej dziedzinie.

Wojna oczywiście przerwała jego działalność — Richard wstąpił do lotnictwa.

— Wielkim, cholernym lancasterem latałem nad Zagłębiem Ruhry — powiedział. — Tam, oczywiście, poznałem Tony'ego.

— Tony'ego?

— Tony'ego Baxtera. Kumpla, którego rzekomo zamordowałem.

— Och.

— Był moim nawigatorem i jednym z najmilszych facetów,

jakich można sobie wyobrazić. Pomysł, że mógłby zakochać się w Loraine...

— Sam to zrobiłeś — przypomniałam mu. — Przecież się z nią ożeniłeś.

Rzucił mi spojrzenie spod nastroszonych brwi.

— Tak, ożeniłem się z nią. David miał dwanaście lat, a Mary nie żyła od siedmiu, więc pomyślałem... — urwał. — Cóż, do diabła, widziałas ją i powinnaś się chyba domyślić, dlaczego się z nią ożeniłem.

Nagle stanęła mi przed oczami śliczna twarz Loraine Byron, jej niebieskie oczy, długa, biała szyja i pełne piersi, wyraźnie rysujące się pod jedwabiem sukni.

— Chyba się domyślam — powiedziałam.

Rzucił mi następne spojrzenie.

— Poznałem ją w Paryżu — wyjaśnił. — Otworzyłem paryskie biuro wiosną zeszłego roku i jeździłem tam kilka razy. We wrześniu pojechałem na wielkie targi srebra i wziąłem ze sobą Tony'ego, by wprowadzić go w tajniki tego interesu i namówić, by u mnie pracował. Na targach była Loraine... nie wiem, z kim. Wkrótce potem spotkałem ją znowu na przyjęciu, zjawiała się na nim w towarzystwie Louisa Meyera, londyńskiego przedstawiciela dużej paryskiej firmy. Przedstawił mnie Loraine. Spotykaliśmy się potem parę razy. Czulem się wtedy straszliwie samotny i... — urwał. — W każdym razie, poślubiłem ją w miesiąc później, a pod koniec października zawiozłem do Deepings.

Usta mu się wykrzywiły, a w głosie zabrzmiała twarda, nieprzyjemna nuta, której przedtem nie słyszałam.

— Nic z tego nie wyszło — powiedział krótko. — Nie mogło być inaczej. Zaraz po ślubie wiedziałem, że się wygłupiłem. Po pierwsze, ona wcale nie chciała jechać do Anglii, nalegała, żebyśmy zamieszkali na południu Francji.

Ale było Deepings... i David... i ja się uparłem. Naturalnie doszło do nieporozumień. A do tego, jak można się było spodziewać, nie przypadli sobie do serca z Davidem, ona nie chciała zawracać sobie nim głowy, a on nie miał dla niej żadnych względów. To grzeczny smarkacz, toteż nic mi nie mówił, ale widziałem, że jest

nieszczęśliwy z powodu mojego małżeństwa... Pierwsze tygodnie minęły bardzo nieprzyjemnie, a potem na Boże Narodzenie przyjechał Tony. — Jego głos brzmiał głucho i apatycznie, jakby odczytywał raport policyjny. — Znaleziono go martwego w łóżku, dziewiętnastego stycznia o trzeciej nad ranem. Został uduszony. Miał zadzierzgnięty cienki sznurek wokół szyi. To był sznurek od rolety, a odciski moich palców znajdowały się na urządzeniu, za pomocą którego spuszcza się roletę.

— To oczywiście — wtrąciłam. — Przecież kiedyś musiałeś zaciągnąć zasłonę, prawda?

— Właśnie. Ostatecznie dzięki temu uratowałem głowę. Mogli myśleć, co im się podoba, ale każdy dowód przeciwko mnie miał również całkiem niewinne wytłumaczenie. W dziesięć minut po tym, jak Loraine znalazła ciało...

— To Loraine go znalazła! — wykrzyknęłam.

— Tak — odparł z tą samą twardą nutą w głosie. — Poszła do jego pokoju... o trzeciej nad ranem. Wcale tego nie ukrywała, a wszystko w imię sprawiedliwości. Na policji zrobiło to wrażenie. Przyznała, że często tam bywała. Wspaniała powód, żebym go zabił, podany policji jak na talerzu. Co o tym myślisz?

— Myślę, że to niesamowity pomysł... budzić kochanka w styczniu o trzeciej nad ranem.

Zaśmiał się gorzko.

— Masz rację, moja miła Charity. To zupełnie niesamowity pomysł. Ale zrobiła to, a gdy zemdląca z powodu szoku, ktoś, kto poszedł po wodę do łazienki, znalazł tam Davida, mojego małego Davida, nieprzytomnego i zimnego jak lód. Gdy tam wszedłem, myślałem przez chwilę, że on też nie żyje.

Twardy głos umilkł, a Richard wpatrzył się w morze. Ale wiedziałam, że nie widzi białej ścieżki, którą księżyc wytyczył na wodzie, lecz małe ciało, skulone na zimnej, kamiennej posadzce.

— Niewiele z tego pamiętał — odezwał się wreszcie. — Kiedy doszedł do siebie na tyle, że już mógł mówić, powiedział im, że

obudził go ból zęba, więc poszedł do łazienki, by napełnić butelkę gorącą wodą. Nie wiedział, która to była godzina. Ale gdy zapalił światło w łazience, ktoś uderzył go z tyłu.

— Nie miał pojęcia, kto to mógł być? Niczego nie słyszał... szelestu spódnicy, stukotu obcasów? Nie zorientował się, czy to mężczyzna, czy kobieta?

Uśmiechnął się krzywo.

— Uwierz mi, że gdybym miał najmniejszy dowód, którym mógłbym przywoździć Loraine, zrobiłbym to bez wahania — powiedział zjadliwie. — Bo z pewnością była w to zamieszana. Jeśli żyje się z kobietą przez pół roku, nawet tak, jak my żyliśmy, to wiesz, kiedy kłamie. Doskonale o wszystkim wiedziała. Ale nie ona uderzyła Davida. To był mężczyzna. David stał twarzą do lustra, które wisi naprzeciwko drzwi, i nim to się stało, przez ułamek sekundy widział wzniesioną nad sobą rękę. To była ręka mężczyzny, w granatowym ubraniu.

— Nie w szlafroku?

— Nie, nie w szlafroku. — Uśmiechnął się lekko i przesunął dłoń, aż nakrył nią swoją rękę. — Szybko znajdujesz dowody w mojej obronie. Tak, to był jeden drobiazg: tego dnia nosiłem szary garnitur. I w ogóle nie mam granatowego.

— Dlaczego więc...

— Nie przywiązywali większej wagi do zeznań Davida. To tylko dziecko, przeżył straszny wstrząs, widział rękę zbyt krótko i niewykluczone, że to wszystko sobie wyobraził, a poza tym, nie był świadkiem bezstronnym. Od początku upierał się, że to nie mogłem być ja... Bez żadnego uzasadnienia, po prostu: nie.

— I aresztowali cię?

— Po pewnym czasie tak. Policja przeprowadziła niezwykle skrupulatne śledztwo, funkcjonariusze zachowywali się bardzo przyzwoicie. Byli naprawdę życzliwi. Ale gromadzili jeden dowód za drugim, a wszystkie wskazywały na to samo, więc mnie aresztowali.

Ponuro wpatrzył się w wodę.

— Oszczędzę ci następnej części. Rozprawa o morderstwo, nawet jeśli człowieka potem zwolnią, to nie jest wspomnienie, do którego się wraca, nawet na moment. To jak wstrętna, plugawa choroba... poniżająca i wykańczająca, ślady po niej zawsze pozostaną gdzieś w głębi. I znowu, wszyscy zachowywali się zaskakująco przyzwoicie. A choć prokuratora znienawidziłem nade wszystko na świecie, była to uczciwa rozprawa. Skoro tu jestem, to znaczy, że... och, nie mam nic przeciwko policji, nawet jeśli Loraine wyprowadziła ich w pole. Przed nimi znaleźli się tam inni frajerzy.

— Ale, Richardzie, czy ona to zrobiła? Ona zamordowała? I czy był tam mężczyzna w granatowym garniturze? Kim on jest?

— Żebym to ja wiedział — westchnął ciężko. — Żebym to ja wiedział. Nigdy go nie wytropili. Ale przypuszczam, że miała współnika, którego wpuściła do domu, by wykonał całą robotę. Mógł wejść przez okno w łazience... nawiasem mówiąc, było otwarte... i ukryć się za drzwiami, gdy usłyszał kroki Davida. To on ogłuszył chłopca, żeby mały go nie zobaczył. Potem on albo Loraine zabili Tony'ego. Wydaje mi się, że to on go zabił, nie ona... bo inaczej po co by go tam wpuszczala?

— To jej kochanek?

— Być może. Lecz nawet gdyby spędzał z nią noc... domyśliłaś się już pewnie, że mieliśmy oddzielne sypialnie... i nawet gdyby Tony się dowiedział, to jeszcze nie powód do morderstwa. Nie, wpuściła go, by to zrobił.

— Może chodzi o włamanie? A Tony...

— Nic nie było ruszone. A Tony w ogóle nie wstał z łóżka. Powiedzieli, że został uduszony we śnie.

— Ale dlaczego...

— I o to chodzi, Charity, w tym cały problem. Dlaczego? — wybuchnął nagle. — Mój Boże, dlaczego? Co noc zastanawiam się, dlaczego? Gdybym przynajmniej to wiedział... był najprzyzwoitszym człowiekiem na świecie, Charity. Normalny, przyzwoity chłopak, głowę bym dał, że nikt nie mógłby chcieć go zabić. Musieli mieć taki zamiar, zaplanowali to na zimno, ale pojęcia nie

mam, co ich do tego skłoniło. To, że nikt nie miał absolutnie żadnego motywu, to był najmocniejszy dowód przeciwko mnie. A gdy Loraine wyznała, że była kochanką Tony'ego, stworzyła mi najbardziej przekonujący motyw na świecie.

Zmarszczył czoło i milczał przez chwilę. Potem lekko potrząsnął głową, jakby chciał odrzucić tłoczące mu się w głowie myśli.

— Żeby nie wiem jak kombinował — odezwał się w końcu — nie mogę pojąć, po co Loraine miałyby to robić albo współdziałać w takim draństwie.

— A jeśli ją odtrącił? — zasugerowałam. — Wtedy kobiety robią się zdolne do takich rzeczy.

— „Piekiło nie zna furii większej...”? Może masz rację... Ale w takim razie skąd ten drugi facet? Dlaczego miałby jej pomagać w takiej sytuacji?

— Jesteś stuprocentowo pewny, że tam był mężczyzna?

— Tak — odparł. — David to tylko dzieciak, ale inteligentny i nie wpada w panikę z byle powodu. Skoro powiada, że widział męską rękę, z pewnością była tam męska ręka.

— A może próbował odwrócić podejrzenia od ciebie?

— Opowiedział im o tym, gdy tylko doszedł do siebie na tyle, że mógł mówić. Nie miał pojęcia, co się stało, ani że jestem o cokolwiek podejrzany. Nie, powiedział prawdę. Myślał, że zaskoczył włamywacza.

Zapadło milczenie.

— Diabelna sprawa, co? — mruknął po chwili Richard.

— Potwornie zagmatwana.

— A to dopiero połowa. Nie wiemy jeszcze, dlaczego zamordowano Tony'ego ani dlaczego Loraine tak zależy, żebym opuścił ten padół.

— Ale skąd możesz mieć pewność... — zamilkłam, gdy, jak szepczące echo, zadźwięczał mi w uszach jej głos, powtarzający w przerażającym mroku: „Trzeba z nim skończyć, skończyć, skończyć...” Co robią z mordercami? Wrzucają ich do dołu z wapnem, żeby nic z nich nie zostało?

Zadrżałam, choć powietrze było ciepłe i nieruchome, a ręka Richarda zacisnęła się mocno na mojej, rozgrzana, silna i bardzo, bardzo żywa.

Głos miał ponury i mówił z przekonaniem, od którego znowu przeszył mnie dreszcz.

— Bo — powiedział — ja jestem następny na liście. Nie udało jej się mnie powiesić, więc zaaranżowała następne morderstwo. A tym razem ja byłem ofiarą.

ROZDZIAŁ XVI

Pani, czy zrobisz choć kroczek...?

(stara piosenka)

— Zdarzyło się to po rozprawie — ciągnął. — Zwolnili mnie, a gdy wychodziłem z sądu, ktoś wręczył mi karteczkę od Loraine, która chciała się ze mną widzieć u Claridge'a, gdzie mieszkała. Wziąłem taksówkę i pojechałem do niej. Była sama i miała dla mnie wiadomość. Dobrą wiadomość. Oświadczyła mi bez ogródek, że wraca do Francji i że nie muszę wszczynać kroków rozwodowych.

— Nie musisz? O co jej chodziło?

— Jak się okazało, odkryła właśnie, że jej poprzedni mąż, który zaginął i w czterdziestym trzecim został uznany za zmarłego, nadal żyje. Nasze małżeństwo, zatem, od początku było nieważne.

— Ale... czy to prawda?

— Pokazała mi akt ślubu... wiedziałem, oczywiście, że już przedtem była mężatką... oraz list od paryskiego prawnika. Akt ślubu był, naturalnie, prawdziwy, co do listu do tej pory nie mam pewności.

— Jak on się nazywał... no, ten jej mąż?

— Zdaje się, że Jean Coś-tam. — Sięgnął po papierosa. — Szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodziło. Przyszedłem prosto z ławy oskarżonych, nie miałem jeszcze okazji zmyć z rąk więziennego smrodu, nie chciałem ani się z nią więcej w życiu widzieć, ani rozmawiać. Rwałem się do domu i do Davida. Nadal

był w Deepings i wyobrażałem sobie, że szaleje z niepokoju.

Musiałam wydać jakiś nieartykułowany dźwięk.

— Tak, wiem — powiedział. — Cisnąłem papiery na stół, warknąłem, że chciałbym, żeby to była prawda i że nie obchodzi mnie, co Loraine robi, póki będzie się trzymać ode mnie z daleka i że może zostawić wszystko prawnikom, bo mnie nie zależy szczególnie, żeby tu sterczeć i z nią rozmawiać. I jeszcze parę innych rzeczy. Nie było to miłe spotkanie.

— Nie możesz mieć do siebie pretensji. Ja skręciłabym jej kark.

— Nie bała się. Wiedziała, że nie jestem typem człowieka, który komukolwiek skręciłby kark.

— Ale czasami nieźle potrafisz takiego udawać — rzekłam koscystycznie.

Uśmiechnął się lekko, po czym przypomniał sobie, że trzyma papierośnicę. Zapaliliśmy.

— No więc nasze miłosne gruchanie skończyło się na tym, że Loraine rzuciła we mnie kluczykami i powiedziała, że zostawiła rollsa na stacji Redmanor i spytała, czy łaskawie nie zechciałbym *ficher de camp*... tyle że zwrot, jakiego użyła, był nieco bardziej... jak by tu powiedzieć, niesalonowy.

— Rozumiem — roześmiałam się.

— Zdziwiasz mnie. Ale w każdym razie, zrobiłem, jak proponowała. Dołożyła mi jeszcze jednego kopniaka do wszystkich poprzednich, więc przybyłem do Redmanor półzywy. Strasznie się denerwowałem, było mi przykro, że Loraine tak się ze mną obeszła, a do tego roznosiła mnie wściekłość. Rolls stał na umówionym miejscu i ruszyłem jak burza, a w głowie miałem tylko jedną myśl: David.

— I wtedy wydarzył się wypadek?

— Zgadłś za pierwszym razem, wydarzył się wypadek. Tam, gdzie skręca się z głównej szosy, około mili od mojego domu, koło kamieniołomu. Mniej więcej w połowie drogi jest ostry zakręt; po lewej znajduje się kamieniołom, a po prawej urwisko. Robią tam objazd. Zazwyczaj nie grozi to żadnym niebezpieczeństwem, gdyż

ponad urwiskiem widoczność jest dobra, a zanim dojedzie się do zakrętu, widać wszystko, co dzieje się niżej. Mówiłem już, że gnałem jak szatan. Przez drzewa w dolinie widziałem kominy Deepings, a droga była pusta, tak że w dobrym tempie wjechałem na wzgórze. I akurat w połowie zakrętu napotkałem inny samochód, jadący po niewłaściwej stronie. Odbiłem w lewo, ale miałem mało czasu, a on sunął wprost na mnie. Jakoś bym się zmieścił, gdybym wjechał na skraj urwiska, a on walił dalej. Zarzuciło mnie, coś strzeliło jak z rewolweru i stoczyliśmy się z grani.

— Richardzie!

— O, nie mieli szczęścia — powiedział ponuro. — Boczne drzwi nie trzymały. Tak się spieszyłem, że nawet tego nie zauważyłem i wyskoczyły, kiedy się staczałem. Wpadłem. Samochód poleciał na dno kamieniołomu i zapalił się, ale mój upadek powstrzymały krzaki, toteż tylko potłukłem się o skałę.

— Ale... jesteś pewien, że to nie był prawdziwy wypadek?

— Mówiłem ci już, że nie widziałem żadnego samochodu na drodze. Musiał tam stać zaparkowany i czekać na mnie. W szpitalu miałem wiele czasu, żeby to przemyśleć, i wydaje mi się, że wyglądało to tak. Mniej więcej o milę od miejsca wypadku stoi przy szosie budka telefoniczna. Musiał tam na mnie czekać, kiedy tylko dowiedział się, że rozprawa została zakończona. Domyślali się pewnie, że pojedę prosto do Deepings.

— Ależ Richardzie, po co mieliby opowiadać ci o sprawach małżeńskich, skoro zamierzali cię zabić?

— Musiała wiedzieć, kiedy wyruszę do Deepings, a poza tym chciała dać mi klucze i upewnić się, że wezmę samochód. Potem, gdy wyszedłem, pewnie do niego zadzwoniła. Zaparkował samochód za stodołą u podnóża góry i czekał na mnie z lornetką. Miałem kremowego rollsa kabriolet, trudno go pomylić z jakimś innym. Musiał tylko dobrze obliczyć czas, by spotkać się ze mną na zakręcie i mógł założyć, że wszystko właśnie tak się rozegra, jeśli

wcześniej zostanie uszkodzony układ kierowniczy. Powiadam ci, że poszedł z trzaskiem, a kierownica tylko zawirowała mi w dłoniach.

— Czy nie ryzykowałeś, że sam przy tym zdrowo oberwie?

— Jeśli ktoś chce, by morderstwo uszło mu na sucho, musi ryzykować — odparował ponuro Richard. — Ale w sumie ryzyko nie było takie znowu duże. Mógł skręcić w ostatniej chwili, gdybym nie próbował pchać się nad urwisko, ale miał niemal gwarancję, że zjadę możliwie jak najdalej w lewo i, naturalnie, z uszkodzoną kolumną kierownicy, szanse, że zlecę, były jak sto do jednego.

— Czy policja nie wpadła na to, co zmajstrowano przy kolumnie kierownicy?

— Nie. Tu Loraine miała szczęście. Samochód spalił się do szczętu. Powiedzieli mi, że nie było ani jednego całego kawałka.

— Przypuszczam, że to jej współnik uszkodził kolumnę, gdy samochód stał na parkingu?

— Tak mi się wydaje. Gdy przyjechałem, samochód zastałem otwarty, a kluczyki były w środku. Ale to niczego nie dowodzi. Nie, policja chyba nie dałaby rady przełknąć mojej wersji... w końcu morderstwo bez motywu i niewidzialny, nieuchwytny morderca, to już za wiele. Mieli zupełną słuszność: to naprawdę zbyt wiele. Zacząłem im tłumaczyć, że zostałem wrobiony w morderstwo Tony'ego... ale dlaczego? Potem mówiłem o zamachu na moje życie. I też, dlaczego? To się nie trzymało kupy, Charity. Znowu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia: jaki jest motyw tych poczynań? — Westchnął ciężko i cisnął niedopałek do wody. — Jeśli wziąć to pod uwagę, policja okazała wielką cierpliwość, ale widziałem, że zaczynają snuć różne dziwne teorie na ten temat, więc ostatecznie zamknąłem się i już nie protestowałem, gdy uznali to za wypadek.

— Jakie dziwne teorie?

— No... na przykład, że to było samobójstwo.

— Richardzie! — wykrzyknęłam znowu.

— A tak. Zachwiana Równowaga Umysłowa Człowieka

Sponiewieranego na Sali Sądowej. Gazety, oczywiście, natychmiast to podchwyciły i poużywały sobie, ile wlezie. Ale znowu nie było dowodów.

— A David?

— Ostatni raz widziałem Davida — powiedział wolno i z wielką goryczą — gdy mnie aresztowali i zabrali. Oczywiście nie pozwoliłem, by odwiedzał mnie w więzieniu. Potem, kiedy leżałem w szpitalu po wypadku, Loraine postąpiła zgodnie z obietnicą. Wróciła do Francji. Ale jak wiesz, zrobiła więcej. Wzięła ze sobą Davida. Ani razu nie odwiedził mnie w szpitalu przed wyjazdem...

Urwał, wpatrzony w unoszący się na wodzie niedopałek, który stracił barwę, pękł i rozpadł się na kupkę rozmokłego tytoniu, a teraz pływał pod murkiem pośród innego śmiecia. Nie odezwałam się.

— Przyjechałem tu przed dwoma tygodniami, gdy tylko lekarze pozwolili mi wyjść. Śledziłem ich aż do Lyonu, kierując się na południe. Resztę już znasz.

— Ależ, Richardzie, nie bardzo rozumiem. David nie wierzył w wersję samobójstwa, prawda? I, jak sam powiedziałaś, uważał, że nie popełniłeś morderstwa. Dlaczego więc pojechał z Loraine?

— Nie wiem — odparł. W jego głosie słychać było napięcie. — Pewnie nie powiedziała mu, że z prawnego punktu widzenia nie jest moją żoną, uznał więc, że jako jego macocha ma prawo się nim zajmować w czasie mojej choroby. Przecież jest tylko dzieckiem. Robił, co mu kazała.

— Ale dlaczego nie napisał? Dlaczego musiałeś ich „śledzić”? Dlaczego nie...

Odwrócił się, a gdy stanął twarzą do mnie, ukośny promień lampy padł mu na twarz, wyostrzył subtelny zarys policzków i szczęki i uformował na niej maskę wielkiego nieszczęścia. W oczach Richarda było tyle smutku i niepewności, że odwróciłam wzrok.

— Nie wiem, Charity — powiedział zduszonym głosem. — Naprawdę nie wiem. Czy nie widzisz, jakie to dla mnie piekło? Nie obchodzi mnie już Loraine czy jej rewelacyjny współnik ani jej

próby zabicia mnie, ani nawet śmierć biednego Tony'ego. Chcę znowu zobaczyć Davida i wszystko z nim wyjaśnić. Muszę wiedzieć, jakich kłamstw mu nagadali, że wyjechał bez słowa. Może jednak wmówili mu, że to wszystko prawda... to znaczy, że jestem mordercą... i dlatego bał się spotkania ze mną... — głos mu się załamał.

Gdy znowu się odezwał, mówił bardzo cicho.

— Ale znasz to od tej strony, prawda, Charity? — rzekł z nisko pochyloną głową, wpatrując się w wodę. — Powiedziałaś, że się mnie boi, prawda?

Zauważyłam, jak nagle błysnęły i poruszyły się jego kłykcie, gdy zacisnął palce, i ogarnęła mnie wielka fala współczucia, tak wszechogarniająca, że odczułam ją wręcz fizycznie i zaczęłam drżeć. Nie mogłam wydobyć głosu.

Spojrzał na mnie ostro.

— No więc?

— Och, Richardzie — westchnęłam, zgnębiona. — Nie chcę ci już więcej robić przykrości. To wszystko jest takie pogmatwane, że nie mogę się w niczym połapać i zupełnie nie wiem, w co mam wierzyć.

Rysy mu nieco złagodniały i znowu, lekko jak piórkiem, dotknął mojej ręki.

— Nie połapiemy się w tym, kochanie, póki nie zbierzemy wszystkich faktów. Chcę się dowiedzieć od ciebie, co ci powiedział, co on i Loraine mówili i robili. Nie przejmuj się mną, do tej pory zdążyłem się już nieźle zahartować. Opowiedz mi wszystko, co wiesz, od pierwszej chwili, gdy go spotkałaś.

Ujrzałam, jak gdyby muśnięte pędzlem na świetle księżyca, drobne, delikatne gałązki i cienkie niczym papier listki drzewa Yggdrasil... które drżały i falowały, gdy kot wspinając się, zatapiał w nim swe pazurki, a potem wszystko znowu roztopiło się w księżycowym blasku.

— Czy znasz człowieka nazwiskiem Marsden? — zapytałam znienacka.

Zastanawiał się ze zmarszczonymi brwiami.

— Marsden? Nie, chyba nie. A kto to? Dlaczego pytasz?

— Przypomniałam sobie coś. David miał chyba rację twierdząc, że tej nocy w domu był mężczyzna. — Zaczęłam relacjonować mu rozmowę, która podsłuchałam w Rocher des Doms. — I pamiętam jego słowa: „Już raz cię wyciągnąłem z tarapatów, zgadza się? Wydostałem cię z Anglii, tak czy nie? I chłopca też”.

Słyszając te słowa Richard odwrócił się gwałtownie, a w jego oczach widać było wielkie napięcie. Gdy skończyłam, uśmiechał się z jakąś ponurą satysfakcją.

— A więc mieliśmy rację. Jak na razie, dobrze idzie. Co prawda, wiemy bardzo niewiele, Charity, ale to już coś. Tak myślę, jak ten Marsden ma się do zaginionego męża Loraine, Jeana Coś-tam, który dziwnym zrządzeniem opatrności tak nagle się pojawił?

— Jeśli rzeczywiście się pojawił.

— Jeśli, jak powiadasz, rzeczywiście się pojawił. — Wyprostował się nagle. — Wkrótce się dowiemy, czy ta część całej historii jest prawdziwa... ktoś już ją bada w Paryżu. Zaczyna to mieć pewne znaczenie. — Uśmiechnął się. — Kto wie, co jeszcze widziałaś i słyszałaś? W tym tempie wyjaśnimy wszystko przed świtem. I to na długo przed świtem, kochanie, bo wyglądasz na zmęczoną. Co prawda, nie ma w tym nic dziwnego. Poszukajmy jakiegoś miejsca, gdzie usiądziemy, a ty wypijesz drinka i opowiesz mi wszystko, co wiesz.

ROZDZIAŁ XVII

Pani, czy powiesz choć słówko?

(stara piosenka)

— Pewnie będę się strasznie płatać — zaczęłam — bo, naturalnie, mnóstwo rzeczy się zdarzyło, zanim zaczęłam cokolwiek dostrzegać. A wątpię, czy mam dar opowiadania. Ale zrobię, co będę mogła.

I tak zaczęłam mu opowiadać o wszystkim, cokolwiek zapamiętałam: o Davidzie i psie, pani Palmer i jej relacji o procesie Byrona, wycieczce do Nîmes i reakcji Davida na wieść, że jest tam ojciec. O powrocie do hotelu, skąpych zwierzeniach Davida i dziwnym, dziecięcym uporze, by o niczym nie wspominać Loraine. O urywku rozmowy, który podsłuchałam tego wieczoru w sypialni Loraine. O wszechobecnym Marsdenie, który zapalał Loraine papierosa, wałęsał się w mroku u stóp Rocher des Doms, pojechał autobusem do Nîmes, a następnego dnia poszedł z Davidem do ogrodów...

Richard Byron słuchał w milczeniu; z pochyloną głową i zmarszczonymi brwiami rozmyślał na stole kropelki rozlanego wina.

— Rozumiesz teraz — rzekłam wreszcie — dlaczego tak głupio się zachowywałam. Nawet nie wyczułam, że David jej nienawidzi, chociaż tak mocno podkreślał, że nosi inne nazwisko niż Loraine. Po prostu wydawało mi się, że powinnam go trzymać jak najdalej od ciebie. Ja... ja go bardzo lubię — dokończyłam nieporadnie.

Rzucił mi spojrzenie, od którego oblałam się rumieńcem, po czym znowu zaczął kreślić linie na blacie.

— Tak, David — powiedział z wolna. — Zawsze wracamy do Davida. I do tych samych pytań: dlaczego wyjechał bez słowa, co myśli teraz o tej strasznej nocy, dlaczego boi się ze mną spotkać... Wiesz, obawiałem się nawet, że go wykończyli, póki nie dostałem tego anonimowego listu z Paryża.

— Anonimowego listu?

— Otrzymałem ich dziesiątki. Zwykle brudy, które zawsze wypływają, gdy proces o morderstwo robi zamieszanie w rymsztoku. Ten nadano w Paryżu, a ktokolwiek go napisał, musiał znać mnie i Davida i bez wątpienia go tam widział. Ten zawierał mnóstwo obelg dotyczących... no, mniejsza z tym.

— Richardzie, to potworne!

— Ale to dało mi jakiś punkt zaczepienia. Gospodyni powiedziała, że David wyjechał z Loraine, a Loraine uprzedziła mnie w rozmowie, że wyjeżdża do Francji. Dzięki temu wiedziałem, od czego zacząć. A więc poruszyłem niebo, ziemię oraz klub samochodowy i najbliższym rejssem przeprowiłem samochód. A w moim *appartement* w Paryżu... mam pokój nad biurem... czekał następny list.

— Ale kto, na miłość boską...

— Loraine — odparł ponuro. — Droga Loraine. Tym razem był podpisany i napisała go ręcznie, nie na maszynie, ale jego styl wskazywał, że to dalszy ciąg pierwszego listu.

— Czy również dotyczył Davida?

— Jak najbardziej. Pisała, że oboje musimy poważnie porozmawiać o jego przyszłości. Ale ponieważ David nie chce się ze mną widzieć, a ona uważa, że na spotkanie jeszcze za wcześnie, zabiera go z Paryża i później się ze mną skontaktuje. Tak to wyglądało w największym skrócie.

— I co zrobiłeś?

— List nosił stempel lyoński, więc oczywiście tam pojechałem. Węszyłem przez parę dni, zaglądałem do wszystkich kawiarni i wypytywałem, aż wreszcie złapałem jakiś ślad. Loraine, jak wiesz, rzuca się w oczy, toteż zapamiętał ją barman z któregoś z

hoteli. Przypomniał sobie również, że wybierała się na południe. Nie będę cię nudził szczegółami, ale bez trudu tropiłem ich aż do Bollène, a potem popełniłem błąd. Widziano ich na drodze do Pont St Esprit, a to, jak wiesz, leży po przeciwnej stronie Rodanu niż Bollène, na drodze do Nîmes. Wylądowałem w Nîmes, wyłącznie dzięki intuicji. Nie był to stuprocentowo szczęśliwy traf, ale, jak się okazało, prawie dotarłem do celu.

— Nic dziwnego, że chciałeś mnie zabić, skoro znalazłeś się tak blisko Davida, a ja ci przeszkodziłam.

— Myślałem, że jesteś z nimi w jednej paczce — powiedział przepraszająco. — Ani przez moment nie wierzyłem, by David sam z siebie nie chciał się ze mną widzieć. Myślałem, że to ona... oni... tak go pilnują... dlatego nie może pisać. Sądziłem, że ty też do nich należysz, i chciałem cię zabić. Biedna mała Charity, pewnie wystraszyłem cię jak diabli?

— Owszem. Dlatego powiedziałeś mi, że popełniłeś już jedno morderstwo?

— Oczywiście. Nie wiedziałem, czego ci o mnie naopowiadali, toteż chciałem cię porządnie przerazić. I udało się. Doprowadziłem cię do omdlenia. Powinni mnie za to wychłostać.

— Nie ma o czym mówić. Naprawdę miałam pietra, bo myślałam, że jesteś... — urwałam nagle.

— Jaki jestem?

— Nic, nic.

— Daj spokój. Miałaś mi wszystko opowiedzieć. Obiecałaś.

— Myślałam, że jesteś szaleńcem — wykrztusiłam, nie patrząc mu w oczy.

Nie odezwał się, lecz jego ręka, kreśląca kółka na blacie, zatrzymała się nagle.

— Wiedziałam tylko tyle, ile powiedziała mi pani Palmer — wyjaśniałam pospiesznie. — A potem, kiedy... kiedy zachowałeś się tak agresywnie, a David był mocno przerażony, pomyślałam, że chyba nie jesteś przy zdrowych zmysłach.

Uważałam, że musiało być coś z tobą nie w porządku, skoro

uderzyłeś Davida tamtej nocy... Po naszym spotkaniu w Nîmes byłam pewna, że to zrobiłeś... — dokończyłam żałośnie. Zapadło krótkie milczenie.

— Charity.

— Och, Richardzie...

— Charity, odpowiedz mi na jedno pytanie.

— Jakie? — spytałam.

O Boże, teraz mnie o to zapyta.

— Czy David powiedział coś, co nasunęło ci myśl, że zwario-
wałem?

— Nnie... nie wiem — zaczęłam się płatać.

— Kłamiesz, Charity. Powinnaś już wiedzieć... mnie nie oszu-
kasz. Czy David powiedział ci, że oszalałem?

— Tak — odparłam.

Kiedy wreszcie spojrzałam na niego, uśmiechał się.

— Ty mała, niemądra sówko — mruknął. — Nie przejmuj się
tak. To upraszcza sprawę.

— Upraszcza? — zapytałam, ogłupiała. — A mnie się zdawało,
że ty...

— To przynajmniej coś konkretnego. Możemy mu to wyja-
snić. Sam ci to powiedział?

— Tak.

— Właśnie tak się wyraził?

— Mniej więcej.

— Rozumiem. Po prostu wmówili mu, że to ja uderzyłem go w
głowę i/albo przy pomocy rollsa usiłowałem popełnić samobój-
stwo. To wszystko można przedstawić jako wyczyny szaleńca,
chyba że dla większego efektu dorzucili prawdziwe morderstwo.
A ponieważ z całą pewnością nie mogliby przekonać Davida, że go
uderzyłem ani że zabiłem Tony'ego, więc najprawdopodobniej
chodzi o próbę samobójstwa.

— I co w związku z tym?

— W związku z tym mamy wszelkie dane, by mu wytłuma-
czyć, że jest w błędzie. Ufa ci, prawda?

— Chyba tak. A nawet na pewno, po tym, jak w Nîmes pomo-
głam mu... uciec od ciebie.

— Nie przejmuj się tak strasznie. Musisz wrócić i porozmawiać

z Davidem, przekonać go jakoś, że jestem zupełnie normalny. Namów go, by zgodził się ze mną spotkać i porozmawiać. Wtedy wszystko sobie wyjaśnimy i skończymy z tym raz na zawsze.

— Chcesz go od razu zabrać?

— Oczywiście. Przecież nie pozwolę, żeby do niej wrócił. Ona i jej kochanek, a może mąż, pójdą swoją drogą, a David ze mną swoją... — Jego wzrok napotkał moje oczy. — I twoją.

— Łatwo powiedzieć — rzekłam. — Ale, Richardzie, skoro postanowili cię zabić, czy teraz w Deepings będziesz bezpieczniejszy niż przedtem?

Przyłożył rękę do czoła gestem wskazującym na nieopisane zmęczenie, a przy tym niesłychanie młodzieńczym.

— Mogę ci dać tę samą, wyświechtaną odpowiedź, Charity. Nie mam pojęcia... W moim domu... z jakichś dziwnych powodów nie jestem bezpieczny ani ja, ani mój syn... z jakichś dziwnych powodów... tu jest pies pogrzebany. To zwariowana historia... jak opowieść idioty, kierująca się jakąś obłądną logiką, której nie jesteśmy w stanie pojąć, póki nie przekopimy się przez jego szaloną przeszłość i nie znajdziemy...

— Freuda w szopie?

Uśmiechnął się lekko i jednym haustem skończył drinka.

— Owszem, można to tak ująć.

Kawiarnia była już niemal pusta, a strumień przechodniów na szerokim chodniku wyraźnie się zmniejszył. Przeszło kilku czarnych żeglarzy trzymając pod rękę jaskrawo ubrane dziewczyny. Między stolikami krążył młody Arab i prosił o jałmużnę. Szczupły i smagły, mógł być usługiwać Poliklitesowi w Hylas. Goście rzucali mu kawałki cukru, które łapczywie chwycił zręcznymi palcami, monotonnym, pokornym głosem domagając się więcej.

— Ostatnio czasem naprawdę myślałem, że zwariuję — odezwał się Richard niespodziewanie. — Morderstwo i rozprawa, potem tygodnie spędzone w szpitalu i potworne bóle głowy, które nadal mnie męczą. No i David. Ni z tego, ni z owego całe moje życie zostało doszczętnie zniszczone. A także i życie Davida. To

kompletny brak logiki całej tej historii tak mnie wyprowadza z równowagi. Zaistniały pewne fakty, ale nie mogą być faktami, bo nie istnieje rozsądna formuła, do której by pasowały. O to mi chodziło, Charity, dlatego zachowywałem się jak szaleniec, widziałem, jak wszystkie wartości, które wyznawiałem, tracą znaczenie, aż mój mózg... jak to idzie... „przeżywa istną rewoltę”. Wszystko traci sens, podstawowe zasady zostają wywrócone do góry nogami.

— „I jest tylko to — zacytowałam cicho — czego nie ma”.

— O właśnie. O to chodzi w „Makbecie”, prawda? — powiedział szybko, z pewnym ożywieniem. — Nic już nie przystaje do zasad.

— Ale zapominasz o czymś — stwierdziłam. — To Makbet pierwszy złamał zasady i naruszył równowagę. Była w tym w końcu jakaś logika, i, Richardzie, jestem pewna, że ona nadal obowiązuje. Musi być jakieś wytłumaczenie, jakiś sens w opowieści idioty, tylko trzeba dokładniej przeszukać szopę.

Nie odezwał się, lecz przez chwilę patrzył mi w oczy, a coś w jego wzroku sprawiło, że zaczęłam nalegać jeszcze usilniej.

— Richardzie. Wiem, że mam rację. Pamiętasz, jeszcze przed godziną, na przystani, mówiłeś to samo o mnie. Przekonywałeś, że reguły nadal obowiązują, mimo wszelkich dowodów, świadczących przeciwko nim. To prawda, kochanie. Odnajdziesz formułę, w którą wpasujemy wszystkie fakty. Ona na pewno istnieje.

— Ale skoro to opowieść idioty... skoro obracamy się na obrzeżach szaleństwa...

— Nie jesteś na żadnych obrzeżach szaleństwa — odparłam zdecydowanie. — A nawet gdyby tak było... Nawet po drugiej stronie lustra trzymali się reguł gry w szachy. Reguły same się nie łamią.

— W gruncie rzeczy...

— W gruncie rzeczy — powtórzyłam — nie ma czegoś takiego jak zasadnicza bezsensowność.

Znowu poczułam na sobie jego nagle rozpromienione spojrzenie.

— Kobieca intuicja jest zawsze niezawodna — mruknął cicho.
— Tak, masz słuszność, masz słuszność, jakże głęboką masz słuszność... — Roześmiał się i wyprostował na krześle. — Wybacz mi, kochanie. Tyle czasu żyłem na skraju nicości, że trochę mi padło na mózg. Napijmy się kawy. Co byś do niej chciała?

— Poproszę to samo.

— *Garçon. Deux cafés-cassis.* Nie — gdy się teraz odezwał, w jego głosie znowu słyhać było energię — teraz liczy się tylko David, a z nim szybko wszystko wyjaśnimy. Jak tylko go zobaczę... Bardzo jesteś zmęczona, Charity?

Zaskoczył mnie ten nagły zwrot.

— Zmęczona? W ogóle nie czuję teraz zmęczenia.

— Na pewno?

— Słowo.

Uśmiechnął się swym nagłym, zniewalającym uśmiechem.

— A zatem, wychodząc z twego, absolutnie niekobiecego założenia, że we wszystkim kryje się logika, zacznijmy jeszcze raz od początku, pogrzebmy w popiołach, póki nie zrozumiemy, o co w tym wszystkim chodzi i tak po nitce do kłębka...

— Rozumiem — odparłam. — Zajrzymy pod każdy kamień, poruszymy najmniejszą szczelinę. Jestem gotowa.

ROZDZIAŁ XVIII

Zbrodnień w lożnicy...
(Chaucer)

Po półgodzinie i dwóch kawach mieliśmy w głowach taki mętlik, jaki panował w naszych metaforach. Wyciągaliśmy każdy znany nam fakt, rozpatrywaliśmy go ze wszystkich stron, braliśmy pod lupę i odkładaliśmy na miejsce, a choć pewne sprawy się wyjaśniły, istota tajemnicy nadal pozostała nieprzenikniona.

— Motyw — powtórzył Richard po raz dwudziesty. — Tony zamordowany, dwie próby zamordowania mnie... i żadnego motywu.

— Do morderstwa potrzeba bardzo solidnego motywu — rzekłam zdecydowanie. — I on istnieje, gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie szukać. Jakie są najpowszechniejsze motywy... zysk, namiętność i strach? To najwyraźniej nie było morderstwo dla pieniędzy ani z miłości, tak że ten trzeci motyw wydaje się najsilniejszy.

— Strach? Ale kto tak się mnie boi, że aż posuwa się do morderstwa?

— Najwidoczniej są tacy, skoro próbowali. Czy to logiczne, Richardzie?

Uśmiechnął się, choć ten uśmiech wyglądał na nieco wymuszony.

— No dobrze, zacznijmy stąd. Czyżby Loraine tak się mnie bała, by aż próbować mnie zabić?

— Nie. Ustaliliśmy już chyba, że pracuje dla kogoś innego.

— Naszego starego przyjaciela X, człowieka w samochodzie. Zgadza się?

— X usiłuje cię zabić — powiedziałam. — Nie dla zysku, nie z zazdrości, ale z powodu tego, co możesz mu zrobić. Ty, żywy, stanowisz zagrożenie dla niego, jego wolności, możliwości utrzymania się... albo jego życia.

Błysk rozbawienia, który zamigotał w jego oczach, był niewątpliwie prawdziwy.

— A więc natknęliśmy się na jeszcze jednego starego kumpla... wiem o czymś, o czym nie wiem, że wiem?

— To się zdarza — rzekłam z uporem. — Nie mąć mi w głowie. Coś jeszcze uderzyło mnie w twoim pościgu za Loraine i Davidem.

Rzucił mi szybkie spojrzenie.

— Co takiego?

— Zbyt łatwo ci poszło, Richardzie. Gdyby naprawdę chcieli się ukryć...

Skinął głową, jak gdyby z zadowoleniem.

— Właśnie. Mnie też to zastanowiło. Poszło mi o wiele za łatwo. Powiedziała, że jedzie do Francji, przysyłała listy z wyraźnymi stemplami pocztowymi, z czego na pewno zdawała sobie sprawę... w istocie zostawiała ślad, aż do pewnego momentu.

— Rozumiesz, co to znaczy? — spytałam. — Jej czy X-owi zależało, żeby cię tu sprowadzić. Mówiłeś, że po ślubie chciała, żebyście się tu przenieśli. Nadal do tego dąży. I dlatego w pierwszym rządzie przywiozła tu Davida. Nigdy byś tutaj nie przyjechał za samą Loraine, prawda? Gdyby do ciebie napisała z prośbą o ponowne spotkanie, zleciłbyś to prawnikowi...

— Bez wątpienia! — odparł ponuro.

— A więc dla pewności wzięła Davida jako przynętę i przywiodła cię gładko na południe Francji.

— Założę się, że do X-a. Chcesz powiedzieć, że skoro nie udało mu się zabić mnie w Anglii, jeszcze raz spróbuje tutaj? Zastawia pułapkę?

— Zakładając, że ściągnęli cię tutaj celowo — ciągnęłam

niechętnie — a wszystko na to wskazuje, nie widzę żadnego innego powodu.

— No dobrze, przyjmijmy tę hipotezę. Przywiedli mnie na południe Francji, ale zgubili w Pont St Esprit, przypadkiem lub umyślnie.

— A jak ci się wydaje?

— Skłonny byłbym uważać, że to przypadek — powiedział z namysłem. — Falszywy trop, za którym pojechałem do Nîmes, był raczej prawdziwy. Widziano tam inną parę, wybierającą się do tego miasteczka, a z opisu, który mi podano, mogli to być Loraine i David. Widocznie oderwałem się od nich, zanim zdołała do mnie dotrzeć informacja od Loraine. — Parsknął śmiechem. — A więc oni marnowali czas w Awinionie, a ja zgubiłem się, tropiąc fałszywy ślad!

— Nic dziwnego, że zaczynała tracić nerwy — rzekłam. — Tej nocy w Rocher des Doms była naprawdę przerażona.

— Nic też dziwnego, że chętnie puścili Davida z tobą — dodał Richard. — Skoro kręciłem się w pobliżu, szukając małego, były spore szanse, że go zobaczę i wrócę na trop.

— Ale co ci przeszkadzało porozmawiać z Davidem, wszystko mu wyjaśnić i po prostu go stamtąd zabrać? — zaprotestowałam.

— Pan X — powiedział Richard po prostu.

Spojrzałam na niego z przerażeniem. Skinął głową.

— Lepiej było, by Loraine, która traciła głowę, pozostała w Awinionie. Ale tam, dokąd pojechał David, bez wątpienia udał się też pan X.

Wzięłam głęboki oddech.

— Autobusem do Tarascon — mruknęłam.

Richard ponownie skinął głową, a oczy mu rozbłysły.

— Wiesz, chyba powoli do czegoś dochodzimy. Jeśli mamy rację, to pan X musiał przeżyć przykre chwile, gdy tak gładko zabrałaś mi Davida spod ręki, słodka Charity, a przy okazji odsunęłaś mnie od pana X i wszystkich jego sprawek! Zdaje się, że wiele ci zawdzięczam.

— Ale co miał nadzieję zdziałać w Nîmes? — zaoponowałam. Wzruszył ramionami, jakby niewiele go to obchodziło.

— Bóg jeden wie. To dzika, odludna okolica. Wszystko może się tam zdarzyć. Ciało mogłoby przeleżeć przez parę miesięcy w tych zaroślach, a kanie...

— Przestań!

— No więc masz, to dogodna część świata do popełnienia cichego morderstwa i bez wątpienia po to mnie tam zwabili. — Uśmiechnął się bez Wesomości. — Zastanawiam się, gdzie zaplanowali zastawić pułapkę. W Awinionie? To mało prawdopodobne.

— Loraine mówiła, że za dzień lub dwa wyjeżdżają na południe — rzuciłam szybko. — Do Nicei i Monte Carlo.

— Rzeczywiście tak powiedziała? Jeśli to prawda, wszystko może się zdarzyć... Są tam urocze, odludne okolice z pięknymi, niebezpiecznymi skałami...

— I jest też piękne, niebezpieczne miasto — dodałam.

Uniósł brew.

— Marsylia? Cóż... dlaczego nie? X-owi dwa razy nie udało się w praworządnym Surrey, więc...

— Dopadnie cię na własnym terenie — dokończyłam.

— Szybko wyciągasz wnioski, co? — stwierdził Richard z rozbawieniem. — Więc pan X mieszka teraz w Marsylii?

— Może nazywać się Marsden — odparłam z uporem — i czytać T. S. Eliota, trzymając książkę do góry nogami, co przypadkiem widziałam, ale założę się, że jest Francuzem, a także pierwszym mężem Loraine, Jeanem Coś-tam i założę się też, że ma jakiś konkretny cel, by ściągnąć cię do tej części kraju.

Był jeszcze bardziej rozbawiony.

— Więc już wszystko wiemy, czy tak? Żebym tylko pamiętał, co ja wiem, o czym nie wiem, że wiem.

— Spróbuj, Richardzie — rzekłam bezradnie. — Nie, nie śmieję się ze mnie. To naprawdę poważna sprawa. Myśl!

— Oczywiście, dziecinko. Ale o czym?

Zawahałam się.

— O zabójstwie Tony'ego. Morderstwo to jedyna rzecz, która zmusiłaby X-a, by się posunął tak daleko, nie uważasz? Może wiesz o czymś, co zaprowadziłoby go na szubienicę?

Lecz Richard potrząsnął głową.

— Nic z tego, kochanie. O niczym takim nie mam pojęcia. Policja zbadała najdrobniejsze szczegóły, a ja miałem dość czasu, by wszystko przemyśleć, każde ziarnko, każdą cząsteczkę i każdy atom znanych mi faktów. W więzieniu ma się dosyć czasu na myślenie.

— Chyba masz rację. Przepraszam, że ci o tym przypomniałam.

— Nie przejmuj się, to nie ma już takiego znaczenia, jakie miało jeszcze przed półgodziną. — Uśmiechnął się do mnie przełotnie. — Ale zapominamy o jednym. Tony również został zamordowany i też bez żadnego wyraźnego motywu. A jeśli X chce mnie wykończyć nie z powodu czegoś, co ma związek z morderstwem Tony'ego, lecz tego, w co byliśmy zamieszani my obaj, Tony i ja?

— Handel antykami? — spytałam bezradnie. — Bo jak to ugryźć?

Znowu wzruszył ramionami i sięgnął po papierośnicę.

— A to pasztet! Tylko to nas z Tonym łączyło, no i byliśmy razem na wojnie.

— Długo wspólnie lataliście?

— Nie bardzo. Zestrzelili mnie zaraz na początku trzeciego okresu służby. Tony był ze mną od połowy drugiego.

— Wojsko i wasze spotkanie po wojnie to absolutnie wszystko?

— Absolutnie.

— Żadnych ciemnych interesów w Paryżu?

— Nie więcej niż normalnie.

— Nie byliście świadkami jakiejś przerażającej zbrodni w Paryżu?

— Nie.

— Ale musiało coś być — nalegałam. — Zastanów się. Obaj z

Tonym musieliście przynajmniej być świadkami jakiegoś morderstwa.

— Nie — odparł z uśmiechem.

— Nawet bardzo niedużego?

— Nawet zupełnie... — Urwał nagle w trakcie zapalania zapal-ki i głos mu się zmienił. — Coś podobnego!

— Co? — Musiałam być podekscytowana, bo pośpiesznie po-trząsnął głową i potarł zapal-kę.

— To nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Ale, o dziwo, po-pełniono na naszych oczach zbrodnię. — Wyciągnął rękę z zapal-ką do mojego papierosa i roześmiał się na widok mojego wyrazu twarzy. — Nie, naprawdę nie miała z tym nic wspólnego. To zda-rzyło się w czasie wojny i było częścią ogólnej rzezi.

— Nie chodzi ci o bombardowanie?

— Boże, skądże znowu. Nie byłem tak młody, by uznać to za morderstwo, uważałem, że to robota, którą muszę wykonać. Nie, mam na myśli morderstwo, popełnione z zimną krwią, wyjątkowo bestialskie.

— Opowiedz mi o tym. Może jednak ma coś wspólnego z...

— Bardzo wątpię. To nie jest miła opowieść.

— Nieważne. Mimo wszystko, opowiedz.

— No dobrze. To zdarzyło się wtedy, gdy obu nas z Tonym po-zestrzeleniu przewozili na przesłuchanie do Frankfurtu. Byliśmy jedynymi oficerami wśród załogi, a ponieważ główna linia kole-jowa została uszkodzona podczas bombardowania, doczepili nas do pociągów towarowych, które jechały inną trasą, wzdłuż doliny Lahn. Musieliśmy zatrzymać się na bocznicu, żeby przepuścić ekspres. Było paskudne, szare zimowe popołudnie, wszędzie leżał śnieg, a niebo przyduszało świat jak brudna pokrywa. Boże, ależ ścisnął mróz...

Wpatrywał się w papierosa, trzymanego między palcami i mówił bardziej do siebie niż do mnie. W istocie miałam wrażenie, że zupełnie o mnie zapomniał i znowu znajduje się na tej zapo-mnianej przez Boga i ludzi bocznicu w pobliżu Lahn.

— ...Czekał tam też inny pociąg... Wagony zabite deskami, na

których kredą nakreślone były jakieś znaki. Nie skapowaliśmy, o co chodzi, póki nie zobaczyliśmy, że otacza go grupa esesmanów. Wtedy zorientowaliśmy się, że to transport Żydów, wysyłanych do rzeźni na Wschód.

Zaciągnął się i wypuścił dym niemal z wściekłością.

— Długo nic się nie działo, a potem nagle wszystko zaczęło się dziać równocześnie. Gdzieś z bliska usłyszeliśmy świst ekspresu. Potem rozległ się krzyk, padł strzał, dobiegły nas straszne wrzaski, a esesmani zaczęli miotać się na wszystkie strony. Wszyscy, z wyjątkiem oficera, ten nawet nie odwrócił głowy. Potem usłyszałem jeszcze dwa strzały i wycie człowieka, które urwało się nagle, jakby odgryzł sobie język, a strażnicy wyciągali go spomiędzy wagonów innego pociągu. Przypuszczam, że biedak próbował ucieczki. To był mały człowieczek, wychudzony jak strach na wróble, trochę krwawił i wariował z przerażenia. Płakał, kiedy zaciągnęli go do oficera, więc dali mu w twarz, żeby przestał. — Zmienił pozycję. — Wszystko zdarzyło się tak szybko, znacznie szybciej, niż jestem w stanie opowiedzieć. Tkwiliśmy tam, ledwo pojmując, co się dzieje, obstawieni strażą, a za oknem... Ach, to mignęło jak błyskawica. Nie doszedł do nas żaden dźwięk prócz zgrzytu ekspresu i płaczu człowieczka. A oficerowi nawet nie chciało się odwrócić.

— I co się stało?

Robiło mi się niedobrze, ale musiałam wiedzieć.

— Jeden z nich coś powiedział, a wtedy oficer odwrócił się, popatrzył na człowieczka i uśmiechnął się. Miał nawet sympatyczny uśmiech. Potem zrobił leniwy ruch ręką i znowu coś powiedział. Nic nie słyszeliśmy, bo właśnie nadjeżdżał ekspres, hucząc między budynkami kolejowymi, lecz mały Żyd jeszcze raz krzyknął i zaczął się wrywać.

— O Boże — jęknęłam.

— Rzucili go na tory. Leżał tam całe wieki, jak jakaś upiorna, połamana lalka, a potem ten cholerny ekspres wyskoczył zza wagonowni i przeleciał jak skrzecząca gilotyna. Nnie... nie wiem, co robiliśmy. Nasz wagon był oczywiście zamknięty, ale pamiętam,

że waliłem w drzwi i kłamię jak idiota, a nasz strażnik usiłował mnie powstrzymać, bo znał tego oficera i bał się go... i, naturalnie, w ogóle nie powinniśmy byli się tam znajdować.

— Czy oficer cię widział?

— Tak. Gdy przejechał ekspres, usłyszał, jak się awanturujemy, odwrócił się i zobaczył nas. Przewozili nasz transport akurat przed jego oczami i na pewno z miejsca by nas zastrzelono, gdyby nie to, że jechaliśmy na przesłuchanie do generała von Lindta, który był jednak trochę ważniejszy niż nawet Herr Oberführer Kramer.

— Tak się nazywał ten oficer?

— Tak. Max Kramer. Wielka blond bestia o oczach jak szparuki. Stał, wpatrując się w Tony'ego i we mnie. To były chyba najgorsze minuty w moim życiu. Chciał nas zastrzelić... Boże, jak się do tego wrywał! Usta mu zwilgotniały, a pistolet lekko drgał. — Gwałtownie potrząsnął głową, jakby chciał pobudzić pamięć. — Mam to przed oczami: broń wycelowana w nas jak małe, złośliwe oko i ta ohydna ręka, zaciśnięta na kolbie. Wzdłuż palca wskazującego biegła blizna, a paznokieć był skręcony i zniekształcony. Przypominam sobie, że blizna zbieiała, a wszystko razem, ręka i broń, drżały jakby z pożądania...

— Ale musiał cię puścić — wpadłam mu w słowo.

— Tak. Odjechaliśmy. Nigdy go więcej nie widziałem. Nasz pociąg ruszył natychmiast i wylądowaliśmy, dość rutynowo, w oflagu czternastym. Ale, Charity...

— O co chodzi?

W jego oczach krył się głęboki cień. Chciałam mu powiedzieć, by o wszystkim zapomniał i przestał o tym mówić, ale wiedziałam, że nie nadszedł jeszcze czas, by mógł przeszłość puścić w niepamięć.

— O co chodzi? — spytałam.

— O tego małego Żyda. Rozpoznałem go.

Spojrzałam na niego z przerażeniem.

— To znaczy, że go znałeś?

— No, co to to nie. Spotkałem go raz, i tyle, w galerii na Bond,

Street. Był malarzem, i to dobrym. Nazywał się Emmanuel Bernstein.

— Rozumiem. Przez to wszystko staje się jeszcze potworniejsze.

Usta Richarda wykrzywiły się, gdy ze złością dusił niedopałek w popielniczce.

— Jeden z jego najlepszych obrazów — powiedział — nosi tytuł „Krajobraz w śniegu”.

ROZDZIAŁ XIX

*Nie ma, powiadam, gęstszego mroku niż mrok niewiedzy,
W którym błędzisz, bardziej zagubiony, niż w ciemnościach egip-
skich.*

(Szekspir)

Było bardzo późno. Nie do wiary, że zaledwie przed paroma godzinami wyszłam na marsylskie moło wprost w ramiona Richarda Byrona. Wówczas był moim wrogiem, prześladowującym mnie koszmarem, a teraz...

— Mam wrażenie, że całe życie przesiedziałam przy kawiar-
nianych stolikach, gawędząc z tobą — powiedziałam zupełnie bez
związku.

Spojrzał na mnie i natychmiast powrócił do terażniejszości.

— A ja za dużo gadam — uśmiechnął się. — Nie powinienem
był ci opowiadać takich potwornych historii. Było, minęło i jak
widzisz, nie ma najmniejszego związku z naszą sprawą.

— Na to wygląda — przyznałam. — Jedno jest pewne: pan X
to nie Kramer, a przynajmniej Marsden nie jest Kramerem. Nigdy
w życiu nie był potężnym blondynem.

— No, chyba dosyć na dziś. — Richard spojrzał na zegarek. —
Czas do łóżka. Jeszcze kawy?

— Nie mogłabym wypić ani kropelki.

— W tym jesteśmy zgodni. Teraz musimy zdecydować, jaki
będzie nasz następny ruch, a potem odprowadzę cię do hotelu.

Plan Richarda był bardzo prosty. Następnego dnia miałam
powrócić do Awinionu, opowiedzieć o wszystkim Louise i jeszcze

raz zabrać Davida na wycieczkę. Oddałabym go wówczas w ojcowskie ręce, a potem wraz z Louise chyłkiem wyjechałybyśmy z Awinionu, do hotelu, który Richard znał w Aix. Tam przyczaiłybyśmy się na dzień lub dwa. Richard miał zawieźć Davida do jakichś swoich znajomych, Dexterów, którzy spędzali wakacje w położonym dalej na wybrzeżu Hyères, a potem zamierzał skontaktować się ze mną.

— Teraz, kiedy już coś wiem — stwierdził — powinienem poradzić sobie z panem X czy kimkolwiek, kto łązi za Davidem, pod warunkiem, że działa sam. A potem, gdy wyjaśnię Davidowi całą sprawę i oddam go pod opiekę Bilia Dextera, zastanowię się, co robić dalej. Póki David jest w ich łapach, mam związane ręce.

— Wszystko to wygląda ładnie, prosto i logicznie, gdy o tym mówisz — rzekłam. — Oby tylko się udało. Gdzie chcesz się spotkać z Davidem?

Jego uśmiech wyrażał czystą złośliwość.

— Może w katedrze w Tarascon.

— Ty draniu! — zawołałam z ogniem. — Niestety, nie umiem zręcznie kłamać. Nie przypominaj mi o tym.

— Może w takim razie w Arles, w Arenie nad główną bramą. Przyjadę tam o pół do jedenastej i zaczekam cały dzień, jeśli zajdzie potrzeba. Rzecz jasna, gdyby udało ci się po drodze zgubić pana X... ale żadnego ryzyka! Gdyby coś się stało, zadzwoń do Légionnaire w Nîmes i zostaw wiadomość... dla Richarda Coleridge'a, pamiętasz? W porządku?

— W porządku.

Podnieśliśmy się i Richard zapłacił kelnerowi. Potem wnieśliśmy się w gwarny tłum na Canebière. Rojne, hałaśliwe, tętniące życiem ulice Marsylii nadal sprawiały na mnie nierzeczywiste wrażenie. Ludzki potok płynął nieprzerwanym strumieniem, potrącając się i rozmawiając, mijały nas trąbiące autobusy, kawiarnie były przybytkami śmiechu i muzyki, lecz dla mnie w tym barwnym korowodzie jedyną rzeczywistość stanowił dotyk ręki Richarda w mojej dłoni.

— Tędy — powiedział.

I nagle zgiełkliwe rzesze zniknęły, a my szliśmy ciemną, na polę opustoszałą ulicą.

— Gdzie zostawiłaś samochód?

Pogrzebałam w torebce w poszukiwaniu kartonika, po czym przeczytałam na głos: „Bergère Frères, 69 Rue des Pêcheurs”.

— Ale nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie to może być.

— Znam te okolice. Zadzwoń do ciebie rano do hotelu, powiedzmy o pół do dziewiątej, zjemy gdzieś śniadanie i odbierzemy samochód. A potem ruszymy drogą na Awinion. — Uśmiechnęła się. — Tym razem nie próbuj uciekać, moja panno.

— Nie ucieknę.

— O mały włos, a byś mnie wykiwała w Cavaillon. Kto cię nauczył tak jeździć? Dobra jesteś.

— Johnny.

— No tak, oczywiście. Rozumie się samo przez się.

— To było jego hobby — wyjaśniłam. — Nim wstąpił do RAF-u, zajmował się tym zawodowo. Startował w wyścigach, praktycznie odkał dostał prawo jazdy. Był w tym fantastyczny.

— Bezsprzecznie niejednego cię nauczył.

— Zapłaciłeś mój rachunek w Les Baux? — zapytałam nagle. — Bo powinnam zadzwonić...

— Musiałem zapłacić — odparł z ponurym rozbawieniem. — Sam się o to prosiłem, skoro spędziłem noc w twoim pokoju. Udało mi się uniknąć aresztowania tylko dlatego, że opowiedziałem rzewną historię, jak to niedawno zachorowałaś i jeszcze nie w pełni wróciłaś do równowagi...

— Do diabła!

— Nie przejmuj się, z każdym dniem jest lepiej, ale nadal jeszcze ulegasz nagłym impulsom... To zupełnie niezła historyjka i właścicielka uwierzyła, głównie dlatego, że tak jej było wygodnie, a zresztą i tak zapłaciłem. Francuzi są realistami, więc nie przejmuj się Les Baux.

— Nigdy nie odważę się ponownie tam przyjechać.

— Myśląc o tobie, zastanawiałem się, dlaczego, do diabła, w ogóle jedziesz na takie odludzie, do tego uzbrojona w zbiór

średniowiecznej poezji francuskiej — ciągnął Richard. — Jakoś nie wyobrażałem sobie współniczki Loraine siedzącej samotnie i pogrążonej w lekturze *chansons de toile*. A ty poszłaś w tamto miejsce, by podziwiać wschód słońca jak zwyczajny turysta. Jesteś bardzo uzdolnioną kobietą, prawda, Charity? Czy Johnny nauczył cię też czytania w średniowiecznej francuszczyźnie?

— Uczyłam francuskiego, zanim wyszłam za mąż — odparłam. — A w książce i tak są tłumaczenia.

— Myślałem...

Urwał nagle i usłyszałam, jak gwałtownie zaczerpnął powietrza. Pochwycił mnie za rękę i uczułam, że cały zeszywniał. Przy stanął.

— Co, do diabła... — zaczęłam przestraszona.

W pobliżu nie było żywej duszy. Staliśmy w połowie wąskiej, źle oświetlonej, krętej ulicy o zrujnowanej nawierzchni, która krzyżowała się z dwiema szerszymi arteriami. Zabudowana była dość wysokimi domami, które najwyraźniej wołałyby nie zdradzać wszystkich swych tajemnic. Budynki te pamiętały lepsze czasy, a teraz przybrały postać biur, warsztatów, składów, a nawet sklepów. To w jeden z nich wpatrywał się właśnie Richard. Poszłam za jego spojrzeniem. Przechodziliśmy koło jedynej oświetlonej wystawy na tej ulicy, lecz z początku nie zauważyłam w niej nic niezwykłego. Była długa i płytka; piętrzyły się na niej zgrabne krzeselka, stoliki, kłęczniki, kubeczki i figurki szachowe z kości słoniowej. Wystawa przyciągała wzrok, choć eksponaty poustawiano dość bezładnie.

Przeczytałam napis nad witryną: *Werfel et Cie, Paris et Marseille, Objets d'art... Antykwariat*.

— Richardzie, wszędzie wężysz interes! — rzekłam z wyrzutem.

Lecz wtedy również ją ujrzałam.

Spoczywała, pięknie umieszczona na aksamitnej draperii, połyskująca w blasku jedynej lampy. Była to srebrna bransoleta, z wygrawerowanym herbem szlacheckim, zdobnym w lilie, gryfy i ptasie skrzydła. Już ją kiedyś widziałam.

Richard rozluźnił uścisk i westchnął.

— Ciekawe, jak tu trafiła — rzekł ze zdziwieniem. — Tę bransoletkę dałem Loraine przed ślubem. Musiała ją sprzedać w Paryżu i pewnie stąd się tu znalazła. Nie wiem, dlaczego się przestraszyłem, kiedy ją tu zobaczyłem. — Odwrócił się. — Niech sobie leży.

— Jeśli ją sprzedała, musiała to zrobić dzisiaj w Marsylii.

Odwrócił się gwałtownie.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo już wcześniej widziałam tę bransoletkę... albo bardzo podobną.

— Jest unikalna — odparł krótko. — Włoska robota z piętnastego wieku. Została wykonana dla Lucrezi di Valozzi i nie ma drugiej takiej samej.

— A zatem Loraine musiała ją nosić wczoraj rano — skonstatawałam.

Zapadło milczenie. Ze złością zdałam sobie sprawę, że zaczynam drżeć. Ręka Richarda, mocna i wibrująca z podniecenia, chwyciła mnie pod ramię. W jego głosie usłyszałam lęk, lecz wiedziałam, że nie lęka się o siebie.

— David — wykrztusił. — Musimy się dowiedzieć, co się dzieje z Davidem. To znaczy, że Loraine jest już w Marsylii.

— Pułapka — powiedziałam, roztrzęsiona. — Pułapka...

— Do diabła z pułapką — warknął Richard. — Gdyby chcieli, mogliby szybciej mnie dopaść. Założę się, że żadne z nich nie widziało mnie od Nîmes, a Marsden nigdzie dzisiaj nie pojechał. Słuchaj... — Odciągnął mnie od oświetlonej wystawy. — Wejść i zapytam, kto sprzedał tę bransoletkę — mówił cicho i dobitnie. — Twój hotel jest na końcu tej ulicy, rue Mirabell, skręć w prawo, to będzie jakieś pięćdziesiąt jardów stąd. Idź tam prosto i zadzwon do swojej przyjaciółki Louise w Tistet-Védène. Dowiedz się od niej, kiedy wyjechała Loraine, czy Marsden z nią pojechał, i David... niech ci powie wszystko o Davidzie. Wiesz, o co masz pytać. Potem wróć tu. Masz drobne?

— Mnóstwo. Ale, Richardzie, nie chcę...

Pochylił się nade mną w ciemności. Jego twarz stała się nagle ponurą, odległą, przerażającą twarzą mojego wroga. Jego głos brzmiał twardo i wyczuwało, się w nim napięcie.

— Rób jak mówię — powiedział, przyciągnął mnie do siebie i mocno pocałował w usta.

Potem pół idąc, pół biegnąc, podążyłam ciemną ulicą, a odchodząc usłyszałam, jak otwierają się i zamykają za nim drzwi sklepu.

Głos Louise, biegnący po sześćdziesięciu milach trzeszczącego francuskiego kabla dźwięczał zaskakująco wyraźnie i na szczęście, absolutnie spokojnie.

— O, Charity. Zastanawiałam się, czy masz zamiar dzisiaj wrócić. I jak ci się podoba ta upiorna wioska z upiorami?

— Nie najgorzej — odparłam. — Louise, czy ktoś cię słyszy?

— Tylko stróż, a on jest głuchy jak pień — odparła trzeźwo Louise.

— Więc słuchaj. Dzwonię z Marsylii...

— Skąd?

— Nie powtarzaj tego na głos, na miłość boską, z Marsylii. Słuchaj, Louise, nie mam czasu, żeby ci teraz cokolwiek tłumaczyć, ale chcę, żebyś mi odpowiedziała na kilka pytań, to bardzo ważne. Mam pewne problemy...

W uchu zadźwięczał mi spokojny głos Louise:

— Czy David jest z tobą?

A więc to prawda. Zabrała Davida. Ta cholerna baba zabrała Davida.

— Charity? Jesteś tam?

— Tak.

— Nic ci nie jest? Masz jakiś dziwny głos.

— Nie, w porządku. Więc mówisz, że Bristolowie opuścili hotel?

— Tak. Zrobiła się straszna afera — relacjonowała z kamiennym spokojem Louise. — Pani Bristol wrzeszczała, wpadła w histerię i przysięgała, że go porwałaś, a pan Palmer, Niemcy i ten przystojniak, Paul Véry, wyruszyli na poszukiwania...

- Louise! Czy to znaczy, że David uciekł?
- Dziś rano. Zostawił uprzejmy liścik dla mamusi i zabrał się razem z psem. Zauważyli to w porze lunchu. Więc nie jest z tobą?
- Skądże znowu!
- Tak się właśnie zastanawiałam — ciągnęła niewzruszenie Louise. — Niby się z nim zaprzyjaźniłaś, aż tu nagle oznajmiasz, że jedziesz do Les Boos, czy jak mu tam, co wydało mi się trochę dziwne. W każdym razie cieszę się, że nie jesteś porywaczką.
- Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać.
- Louise, uważasz, że to nie jest jakieś mydlenie oczu? On naprawdę zwiął?
- O Boże, tak! Pani B, przyleciała do mnie dziś rano, cała rozrzęsiona i pytała, dokąd pojechałaś. Była biała jak śmierć i...
- Powiedziałaś jej?
- Nie — odparła rzeczowo Louise. — Nie wydaje mi się, byś mogła porwać kogokolwiek bez ważnego powodu, a do tego nie lubię tej baby. A o co chodzi?
- O nic — odparłam. — Absolutnie. Louise, jesteś najcudowniejszą kobietą na świecie.
- To wcale nie było zabawne. W gruncie rzeczy w hotelu panowało takie zamieszanie, że wyszłam na resztę dnia. Chyba rozumiesz?
- Naturalnie, że rozumiem.
- Opowiedz mi, co się stało. Czy pani Bristol jeszcze tam jest?
- Nie. Tłukła się po hotelu, podczas gdy różni faceci zaglądali do samochodów i przetrząsali okolicę, a potem wyjechała tuż przed kolacją.
- Sama?
- Przynajmniej tak mi się wydaje. Wróciłam po kolacji. Byłam zadowolona, że wszyscy się wynieśli.
- Jak to, wszyscy? — spytałam ostro. — Czy pan Marsden też wyjechał?
- Tak. Dziś rano. I Niemcy...

— Zanim David zniknął, czy później? — Ręka lepiła mi się do słuchawki.

— Bóg raczy wiedzieć. Wymeldował się koło dziesiątej, ale przecież nikt nie widział, jak David wychodził.

— No tak, rozumiem.

Oparłam się o ścianę budki telefonicznej i przycisnąwszy dłoń do czoła, usiłowałam poukładać to sobie wszystko w głowie. David zniknął. Podobnie jak Marsden. Nie wygląda to dobrze. Ale — rozumowałam nieskładnie — Marsden nie mógł wyjechać z Davidem, bo przecież w takim razie Loraine Bristol nie byłaby wytracona z równowagi na tyle, by oskarżyć mnie o porwanie dziecka.

— Czy ktoś radził, żeby zawiadomić policję? — spytałam.

— Oczywiście, tak proponowała *madame*, ale pani Bristol nie chciała o tym słyszeć. Po pewnym czasie uspokoiła się i powiedziała, że dostała ataku hysterii z powodu wstrząsu, co było prawdą, i przeprosiła za to, co wygadywała o tobie. Potem oznajmiła, że chyba wie, dokąd udał się chłopiec, więc nie należy przejmować się młodzieńczymi wybrykami, oraz że sama spróbuje go odnaleźć. Zgodnie z relacją pani Palmer spakowała się i wyjechała, by zdążyć na pociąg o siódmej do Marsylii. Na twoim miejscu, droga Charity, wróciłabym prosto do Awinionu.

— Tak właśnie zrobię, i to wkrótce. Kto jeszcze wyjechał z hotelu?

— Nie mam pojęcia. Nie było mnie na kolacji, a gdy wróciłam, na dziedzińcu siedzieli tylko Palmerowie. Nie przeżyłam tego zbyt boleśnie, bo w sumie był to męczący dzień. Charity?

— Tak?

— Domyślasz się, o co tu chodzi?

— Trochę — przyznałam. — Tylko nie miałam pojęcia, że David dał nogę, i zupełnie się nie orientuję, dokąd go zanosło, a chciałabym to wiedzieć. Czy miał jakieś pieniądze?

— W tym sęk — odparł spokojny, odległy głos Louise. — Nie miał. Dlatego zabrał bransoletkę pani B. Prócz tego zwędził jeszcze

swój paszport. Wyjaśnił w liściku, że potrzebuje forsy i odeśle jej kwitek z lombardu.

— Rozumiem — rzekłam ponownie.

Serce zaczęło mi walić boleśnie. Dwa fakty: David jest w Marsylii, a Loraine tu zdąża. Pan X zaś...

— Louise, muszę kończyć. Tylko jedno: czy David pisał jeszcze o czymś w swoim liściku?

— Nie. Widziałam go. Wymachiwała nim każdemu przed nosem. Było tam tylko o tym, że wyjeżdża, że zabiera bransoletkę, bo Loraine i tak nigdy jej nie lubiła i tyle. Charity, powiedz...

— Louise najdroższa — rzekłam nagle. — Bądź aniołem, którym zawsze jesteś, i wybac mi, ale teraz nie mogę ci niczego wytłumaczyć. Nie pytaj mnie o nic, muszę lecieć. Zadzwoń później. Jesteś aniołem. Pa.

Głos w słuchawce podniósł się o ułamek tonu.

— Nie miałam zamiaru cię o nic wypytywać, niezależnie od tego, o co w tym wszystkim chodzi. Powiedz mi tylko, gdzie się zatrzymałaś. Jeśli, oczywiście — w głosie Louise zadźwięczała leciusieńka pytająca nutka — to również nie jest tajemnicą.

— Nie. W Belle Auberge, rue Mirabell. Zapisałaś?

— Tak, dziękuję. Pa.

I rozłączyła się.

ROZDZIAŁ XX

A gdy tylko pstryknę palcem

Złośliwostki...

(Szekspir)

Ledwie wyszłam z budki telefonicznej, stwierdziłam, że drzę, choć noc była ciepła. Zawahałam się, nie byłam bowiem pewna, czy mam dość czasu, by pójść po płaszcz. Spojrzałam na zegarek. Rozmowa zajęła mi niespełna dziesięć minut. Mój pokój znajdował się na drugim piętrze, a winda stała pusta. W ciągu trzech minut zdążyłam wrócić do siebie, wziąć płaszcz i zjechać z powrotem do holu. Uprzejmym i, mam nadzieję, normalnym tonem życzyłam stróżowi dobrej nocy, po czym wybiegłam na rue Mirabell, mocno otulając się ciepłym płaszczem, co dodało mi trochę otuchy, tak potrzebnej, gdy skręciłam za róg i raz jeszcze pograżyłam się w mroku wąskiej uliczki. Potem znowu skręciłam, obok Boucherie Chevaline ze spuszczoneymi na noc żaluzjami, obok podwójnych drzwi magazynów oraz góry piasku i kamieni w miejscu, gdzie naprawiano chodnik. To tu, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się długa, wąska witryna antykwariatu, gdzie, na aksamitnej draperii, oświetlona pojedynczą lampą, leżała bransoleta. Zachwiałam się nieco, zwolniłam, aż wreszcie przystanęłam. Skryłam się w cieniu i utkwiałam wzrok w domach po przeciwnej stronie ulicy. Miałam wrażenie, że noc stała się nagle chłodniejsza.

Bransoletka nadal tam spoczywała. Widziałam jej błądy zarys na aksamitnym tle. Lecz lampę zgaszono, a sklep, z którego nie

dochodził żaden dźwięk, robił wrażenie opustoszałego. Nigdzie nie było śladu Richarda.

Nie mam pojęcia, jak długo tam sterczałam, tępo gapiąc się na sklep, mierząc wzrokiem ulicę od jednego jej krańca do drugiego, jakbym tym sposobem mogła z powietrza wyczarować Richarda. Zaczęłam nawet wracać drogą, którą przyszłam, w nadziei, że może go po prostu nie zauważyłam, gdy wybiegałam z hotelu, lecz powiedziałam sobie ostro, że mam się przestać wygłupiać, i z powrotem zajęłam moje stanowisko w mroku. Stanowczo odrzuciłam idiotyczny, podświadomy lęk, który gmerał we mnie lodowatymi palcami. Powiedziałam sobie, że jestem zanadto podekscytowana, miałam wyczerpujący dzień, a przedtem burzliwą noc. Nie ma powodu przypuszczać, by jakiegokolwiek niefortunne wydarzenie w ogóle miało miejsce. Muszę po prostu poczekać. Rozstaliśmy się zaledwie przed kwadrans, a zapewne — gdy to proste wyjaśnienie nagle mnie olśniło, poczułam przyływ rozkosznej ulgi — zapewne Richard poszedł na zaplecze, do biura właściciela. Pochyliłam się, zajrzałam i uśmiechnęłam się do siebie. Rzeczywiście, od tyłu świeciła smużka światła, która najprawdopodobniej padała od drzwi.

Zawahałam się na chwilę. Richard powiedział mi, żebym tu wróciła. Czy powinnam czekać, póki nie wyjdzie, czy też wejść do sklepu? Niezdecydowana, stałam w mroku.

Hałas ruchu samochodowego, dobiegający z oddalonej części miasta, przywodził na myśl ryk wzburzonego morza. Dwadzieścia jardów ode mnie chudy kot skradał się po chodniku, widocznie miał tu jakiś interes lub spodziewał się przyjemności. Gdzieś w pobliżu zakrztusił się silnik i samochód odjechał z rykiem świadczącym o przeraźliwej zmianie biegów. Uprzytomniłam sobie, że znowu drzę... ze strachu, zdenerwowania czy zimna? Cokolwiek było tego powodem, zdecydowałam, że nie będę tu tkwić ani minuty dłużej.

Czasami, nawet jeszcze teraz, śni mi się ta chwila i to, co mogłoby się stać, gdybym przeszła na drugą stronę i jakie to by mogło przynieść konsekwencje. I czasem, we śnie, wychodzę z cienia

i idę przez ulicę, do sklepu... a jeśli mam szczęście, budzę się z krzykiem.

Postąpiłam już parę kroków naprzód, gdy przestraszył mnie klakson samochodu, który skręcił w uliczkę. Instynktownie się cofnęłam. Była to taksówka, która pędziła wąską jezdnią, aż z poślizgiem stanęła tuż obok mnie. Jeszcze nim zdążyła zahamować, drzwi się otworzyły i wysiadła z nich kobieta. Wcisnęła kierowcy pieniądze i pospieszyła do antykwariatu. Taksówka odjechała z wyciem silnika. Usłyszałam, jak za kobietą zatrzasnęły się drzwi sklepu, a z jego wnętrza dobiegł stukot obcasów. Ujrzałam, że otwierają się drzwi na zapleczu. Kobieta przystanęła w nich na sekundę, oświetlona tak jasno, jak na ekranie kinowym. To była Loraine.

Nie miałam już najmniejszej chęci opuszczenia mojej kryjówki. Dziękując Bogu za ciemny płaszcz, skuliłam się znowu, usiłując zebrać myśli. Zastanawiałam się, jak Loraine zdołała tak szybko wytropić Davida, czy Richard jest jeszcze na zapleczu, a jeśli tak, co tam się może w tej chwili dziać.

Miałam się tego niebawem dowiedzieć. Drzwi otworzyły się na oścież. W pokoju znajdowały się trzy osoby. Loraine widziałam całkiem wyraźnie, stała z papierosem w ręce, gestykując wściekle i mówiła coś do człowieka, który siedział w fotelu, plecami zwrócony do drzwi. Widziałam jego rękę w niebieskiej koszuli z krótkim rękawem oraz granatową nogawkę. Z pewnością nie był to Richard. Znajdował się tam jeszcze jeden mężczyzna, najprawdopodobniej właściciel sklepu. On to właśnie otworzył drzwi, a teraz przystanął na chwilę, by rzucić Loraine jakąś uwagę, po czym wyszedł z oświetlonego biura i ruszył w moim kierunku. Był wysoki i barczysty, a choć miał siwe włosy, nie poruszał się jak starszy człowiek. Zamknął za sobą drzwi biura i podszedł do drzwi frontowych.

Solidnie przerażona, wciskałam się jak najgłębiej w ciemność. Ale siwy nie wyszedł na ulicę, zamykał tylko. Usłyszałam ostry trzask zamka, po czym mężczyzna podszedł do witryny i zaczął spuszczać żaluzję. Opuszczała się powoli i bezgłośnie, stopniowo

zasłaniając jego głowę, pierś, ciało, aż cała wystawa, z wyjątkiem dużej białej dłoni, trzymającej skraj żaluzji stała się ciemną plamą. W niepewnym świetle ręka wyglądała niczym jakiś straszliwy, biały potwór morski, kałamarnica czy ośmiornica, unosząca się w zamglonym mroku za szkłem. Ohydny, zdeformowany mieszkaniec ciemności...

Zziębnięta i pólżywa opierałam się o ścianę, przyciskając drżącą rękę do ust. Nawet z tej odległości i przy tym świetle, widziałam ją całkiem wyraźnie. Ręka była wykrzywiona, a przez jej grzbiet, aż do zakręconego paznokcia biegła wstrętna, pofałdowana blizna.

Żaluzja opadła z trzaskiem.

To była pułapka.

ROZDZIAŁ XXI

Wstąpisz do mego pokoiku?

(wierszyk dziecięcy)

Chyba w ogóle wtedy nie myślałam. Z pewnością nie miałam w głowie żadnego planu. Stałam po prostu w ciemnej bramie, wpatrując się w sklep. Nie zastanawiałam się nad tym, że w rozgrywce z nimi nie mam żadnych szans, że jestem kobietą, samotną i bezbronną, że nawet gdybym miała broń, nie wiedziałabym, jak jej użyć. Ponieważ jestem osobą normalną i praworządną, przeszło mi przez myśl, by pójść na policję, lecz zniechęciła mnie perspektywa wyjaśniania w obcym języku owej niewiarygodnej sytuacji sceptycznym funkcjonariuszom. A zresztą nie miałam czasu. Richard i David są w środku i trzeba ich stamtąd wydostać.

Na szczęście ulica była nadal opustoszała, a zza zasuniętych żaluzji zamkniętego sklepu nie dochodził żaden dźwięk. Zauważyłam, że dwie bramy dalej znajdują się wyłamane drzwi, skąd między kamienicami wiedzie wąski przesmyk do zaplecza sklepu. Uchyliłam zrujnowane wierzeje. Skrzypnęły lekko, a ja wślizgnęłam się do środka, brnąc po omacku wąskim przejściem, aż wyszłam na podwórze jakiegoś magazynu. Ciemne kształty budowli majaczyły na prawo i lewo, piętrzyły się góry starych skrzynek i porządnie ułożone w stos drewniane palety, przed sobą dostrzegłam solidną bramę, a za nią ciemniejszą jamę otwartego garażu.

Odczekałam u wejścia do zaułka, póki nie zyskałam jakiejś takiej orientacji w terenie. Po paru sekundach stwierdziłam, że

widzę wszystko dość wyraźnie. Księżyc, którego wschód obserwowaliśmy wraz z Richardem, rzucał słaby blask gdzieś zza dachów domostw, a rywalizująca z nią luna światła ulicznych oświetlała te same kominy cieplejszym blaskiem. Oświetlone okno z lewej słało smuzkę jasności, migającą w mroku niczym żółta pręga, lecz było to małe okienko, znajdujące się na wysokości jakichś dziesięciu stóp, a wiązka światła biegła wysoko i ginęła pośród głębszych cieni otwartego garażu.

Rzuciłam bojaźliwe spojrzenie na okno, które moim zdaniem winno znajdować się w biurze antykwariusza, po czym na palcach zaczęłam pospiesznie przeszukiwać budynki okalające podwórko. Jedyną kryjówkę stanowił garaż, toteż wślizgnęłam się do jego czarnej jaskini niczym duch. Z wyjątkiem kilku pudeł i paru kanistrów po oleju, był pusty. Lecz zapach zastarzałych spalin nadal wisiał w powietrzu, a w przeblysku, nagłym jak błyskawiczne otwarcie drzwi, przypominałam sobie, że przed paroma minutami usłyszałam szum odjeżdżającego samochodu. Przygryzłam wargę w męce niezdecydowania i bezsilności. Może Richarda nie ma już w sklepie. Może jego ciało... — odrzuciłam tę myśl w niebyt, skąd wychylała się ku mnie z paskudnym grymasem, i starałam się opanować. Żyje — nie może być inaczej... z krótkim, modlitewnym szlochom, który był nie tyle błaganiem, co pogroźką pod adresem Wszechmocnego, odwróciłam się, by wyjść z garażu i nagle zauważyłam ciemną plamę, rozlewającą się ohydnie, na betonowej podłodze.

Połykiwała lekko w blasku światła, padającego ukośnie z okna biura. Była gęsta i śliska. Nie wiem, ile czasu minęło, nim uprzytomniłam sobie, że to tylko olej. Ciało przywarło mi do kości, gdy się pochyliłam, dotknęłam palcem lepkiej kałuży i powąchałam. Olej. Nic gorszego. Gdy się prostowałam, kątem oka zauważyłam coś na podłodze garażu. Spadło za kanister i gdybym się nie schyliła, w ogóle bym tego nie dostrzegła.

Akurat nadszedł odpowiedni moment — pomyślałam z resztkami ironii, dzięki którym nie w pełni przejęłam się grozą sytuacji — nadszedł moment, bym odkryła chusteczkę z wyszytym monogramem, na której wypisano wiadomość krwią... albo raczej olejem — pospieszyła poprawić inna część mojego umysłu. Podniosłam słabo widoczny przedmiot, którego z pewnością nie dało się uznać za chusteczkę, był bowiem twardy, podłużny i gruby na ćwierć cala. Najprawdopodobniej trzymałam w ręce książkę.

Tak też było w istocie. W garażu znalazłam powalany i pognieciony egzemplarz „Czterech kwartetów” T. S. Eliota.

Nie minęło dwanaście sekund, gdy po drugiej stronie podwórza kuliliłam się już pod oświetlonym oknem, w cieniu jakichś palet. Książka Marsdena tkwiła głęboko w kieszeni mojego płaszcza. Podejrzanie przerodziło się w pewność. Marsden trafił do tego garażu, a w zasadzie mógł siedzieć za kierownicą samochodu, którego odjazd słyszałam.

Lecz, jak się wkrótce okazało, myliłam się, gdyż z wysokości jakichś czterech stóp nade mną całkiem wyraźnie dobiegł mnie głos, który słyszałam już tamtej nocy w Rocher des Doms.

— Dlaczego zrobiłaś takie piekło, Loraine? Naprawdę nie mogłaś...

Nie straciłam wiele. Nadal mówili o scenie, którą Loraine urządziła w hotelu. Wtrącił się jej głos, rozdrażniony i łamiący się:

— Ależ to było piekło. Nie masz pojęcia, co ja przeżywałam w tym hotelu...

— Naprawdę? Przecież ja też tam mieszkałam.

— Tak, ale ty miałaś coś do roboty. Pilnowałaś tego przekłete-
go dzieciaka. Ja nie miałam żadnego zajęcia. Powiedziałam ci...

— Mimo wszystko, moja droga, nie musiałaś urządzać takich przedstawień.

Mówił zjadliwym tonem, na co ona wybuchnęła:

— Dobrze ci mówić, do jasnej cholery! Wiesz, co przeszłam przez ostatnie miesiące? Ty się dobrze bawiłeś, a ja... ja nie miałam

nic, najmniejszej przyjemności, nic ciekawego do roboty, tylko użeranie się z tym rozwydrzonym, bezdusznym szczeniakiem, niech go szlag trafi. Potem *l'affaire Toni*, policja, a teraz ta historia... tyle się tego nazbierało, dziwisz się, że wyszłam z siebie? Powiadam ci, że miałam już wszystkiego powyżej uszu. Zrobiłam, co mogłam i, na miłość boską, Jean, daj mi święty spokój.

Jean. Jean Coś-tam, mąż. John Marsden.

Do rozmowy wtrącił się nowy głos, głęboki, mówiący w gardłowej francuszczyźnie, którą ledwo rozumiałam.

— Uspokójcie się oboje. Loraine, weź się w garść, a ty, Jean, zostaw ją w spokoju. Zachowała się jak idiotka, ale nic złego się nie stało, dzisiejszy dzień wymazuje wszystkie błędy, jakie którekolwiek z was popełniło.

— O Boże! Ależ mieliśmy szczęście! — odezwał się trzeźwo Jean. — Kiedy o tym pomyślę... jak dzieciak wchodzi tu we własnej osobie, a tatuś zaraz za nim!

— No dobra, mieliśmy szczęście — skwitował to krótko antykwariusz. — Mój fart wyrównał wasze niedbalstwo.

— Do diabła, Max...

Max. Max Kramer; John Marsden. Poszczególne fragmenty ułożyły się w całość. Szczury w drewnie. Rozległ się łomot — to pięść uderzyła w stół.

— *Lieber Gott*, posłuchacie mnie wreszcie? — warknął Kramer. — Nie czas na kłótnie o dawne sprawy. Musimy się pozbyć tych dwóch i cała sprawa się skończy dopiero wówczas, gdy zostaną oficjalnie uznani za zmarłych w wyniku wypadku. Wtedy i tylko wtedy dostaniecie pieniądze... Ani sekundy wcześniej.

— I dokumenty — rzekła ponuro Loraine.

— I dokumenty, a potem się pożegnamy i będziecie mogli pójść sobie w cholerę, a i ja też zniknę. Wszystko jasne?

— Jasne. Co mamy robić? — To Jean.

— Nawet nie wiem, co się stało — tym samym, ponurym tonem powiedziała Loraine. — Czy oni nie żyją?

— Żyją — odparł Kramer, a ja poczułam, jak mięsień drga i zaciska mi krtań. — Chłopak śpi i jeszcze jakiś czas się nie obudzi,

chciałbym, żeby tak został, aż będzie po wszystkim. — Zaśmiał się. — Zawsze miałem miękkie serce. Jego ojciec też dostał coś, co go uciszyło, może nie zaaplikowano tego zbyt łagodnie, ale Jean i ja byliśmy zupełnie nieprzygotowani... Powinno mu starczyć na dość długo... wystarczająco długo, chyba że zmarnujemy jeszcze więcej czasu.

Głos przycichł, więc podsunęłam się bliżej.

— Słuchajcie. Wszystko przemyślałem i doszedłem do wniosku, że możemy świetnie wykorzystać to, co się stało. Wszystko elegancko pasuje do naszych wcześniejszych planów. Chłopaka i jego ojca znajdują sztywnych u podnóża skał... tam, gdzie to sobie zaplanowaliśmy. Będą siedzieli razem w rozbitym samochodzie Byrona.

— Masz go?

— Kluczyki miał w kieszeni, łącznie z kwitem garażowym. Wóz stoi w jednym z tych zamykanych garaży Bériota.

— A oficjalna wersja — dodał Jean, z którego głosu przebijał triumf — będzie wyglądała tak, że chłopak zwał, by spotkać się z ojcem, po czym obaj wyruszyli... powiedzmy do Włoch, a po drodze: bach!... kraksa w ciemności.

— Właśnie — stwierdził z zadowoleniem Kramer. — Dzieciak naprawdę poszedł nam na rękę, wymykając się Loraine. Wziął nawet ze sobą paszport. Nie ma najmniejszego powodu, by ktokolwiek podejrzewał morderstwo. Nikt też nie będzie szukał w zwłokach chłopca narkotyków.

— A wszelkie obrażenia na ciele ojca zostaną uznane za następstwa wypadku...

— Właśnie — powtórzył Kramer.

Potem pomruk zadowolenia zniknął, a głos Niemca znowu stał się twardy i wyrazisty:

— André zabrał obu furgonetką. Byli związani. Wyjechał jakieś piętnaście minut temu. Powinniśmy być na miejscu razem z nim. Jak wiecie, jest trochę gamoniowaty i boi się kłopotów. Powiedziałem mu, żeby zaczekał na ciebie, Loraine, ale jeden z nas musi jak najszybciej za nim pojechać.

Jean...

— Co?

— Mój samochód stoi w garażu po przeciwnej stronie ulicy. Tu masz kluczyki. — Usłyszałam brzęk, gdy je rzucił. — Pojedziesz tuż za André. Uważaj, żeby zaparkował w niewidocznym miejscu.

— Dobrze. A ty?

— Muszę wziąć samochód Byrona. Jeśli któryś z nich się ocknie i zacznie rozrabiać...

— Wiem, co zrobić.

— So — powiedział Niemiec.

— A ja? — spytała Loraine. — Mogę pojechać? Chciałabym popatrzeć.

— Jako nieutulona w żalu? — W głosie Jeana słyhać było rozbawienie. — Czym ci się tak naraził ten nieszczęsny frajer, *ma belle*?

— Jedziesz ze mną — powiedział kategorycznie Kramer. — Chcę, żeby Jean myślał tylko o robocie. Zbieraj się, Jean.

— Dobrze. Rzuć mi płaszcz.

Usłyszałam skrzyp sprężyn, gdy wstawał z krzesła, a także brzęk wkładanych do kieszeni kluczyków. Wychodził. Zrobił trzy kroki i drzwi się otworzyły. Szli zabić Richarda i małego Davida, a ja nic nie mogłam na to poradzić. Nic. Gdzieś w środku nocy stoczą się z tego okrutnego wybrzeża, a ja nawet nie będę wiedziała, gdzie leżą ich zwłoki, zanim nie przeczytam nagłówków w poranych gazetach.

Chyba się modliłam. Wiedziałam tylko, że policzki i wargi mam mokre, a rękoma tak mocno ścisnęłam paletę, że omal nie trzasnęły mi kości. O Boże, spraw, żeby nie zginęli... nie Richard i mały David, muszę jakoś zadziałać, może, nawet teraz, policja... muszę coś zrobić. Muszę. Gdybym tylko wiedziała, dokąd ich zabierają, coś bym wymyśliła, znalazłabym jakiś sposób. Gdybym tylko wiedziała, gdzie są. Boże, powiedz mi, gdzie są?

— Max — odezwał się nade mną głos Jeana, trochę niedbały, a trochę rozbawiony — nie pamiętam, czy to pierwsze rozwidlenie za Aiguebelle czy drugie.

— *Lieber Gott!* Drugie! — odparł Kramer. — Pierwsze docho-
dzi tylko do chatki na skale. Droga, o którą nam chodzi, opada
stromo od głównej szosy tuż za tymi wielkimi, rozłożystymi pi-
niami na lewo. Akurat wybrałeś sobie porę na takie pytania!

— Prawda? — odparł bezczelnie Jean i pogwizdując wszedł do
sklepu.

— Loraine. A teraz raz-dwa — usłyszałam głos Kramera. —
Zadzwoń do tego swojego hotelu.

Potem przechodziłam już przez podwórze i po omacku szuka-
łam klamki do podwójnych drzwi, otwierających się na alejkę z
tyłu domu. Nie odważyłam się wyjść od ulicy z obawy przed Je-
anem, stojącym u frontowych drzwi. Muszę znaleźć przejście od
tyłu i z powrotem wydostać się na rue Mirabell, by tam odnaleźć
samochód. Szosa do Włoch, wiodąca wzdłuż wybrzeża, koło Aigu-
ebelle...

— Bergère Frères, sześćdziesiąt dziewięć Rue des Pêcheurs...
— szeptałam gorączkowo, naciskając ciężką klamkę — sześćdzie-
siąt dziewięć Rue des Pêcheurs... O Boże, szybko, mój samo-
chód... drugi skręt w prawo za Aiguebelle, po lewej rozłożyste
pinie. — A potem znowu, jak refren: — Bergère Frères...

Rygiel był zardzewiały, mimo wysiłków palce mi się ześlizgi-
wały. Miałam wrażenie, że z oddali dobiega trzask otwieranych i
zamykanych drzwi sklepu. Na ulicy usłyszałam ciche pogwizdy-
wanie. Nie mogłam poruszyć zasuw. Pociągałam ją i szarpałam,
lecz nie chciała ustąpić. Nerwy miałam napięte do granic wytrzy-
małości. Nie mogłam się wydostać. Chcą zamordować Richarda, a
ja nie mogę się wydostać.

Jeszcze chwila, a nie wytrzymałabym — Kramer dopadłby
mnie, wrzeszczącą na podwórzu i walącą w bramę, lecz gdy pani-
ka narosła we mnie tak, że lada chwila mogła wybuchnąć,
drzwiczki w bramie otworzyły się jak za dotknięciem czarodziej-
skiej różdżki i byłam wolna. We wrotach znajdowały się po prostu
mniejsze drzwi, które wycina się w większych, by oszczędzić sobie

trudu ich otwierania za każdym razem, gdy chce się wyjść, a teraz drzwiczki rozwarły się na oścież, skrzypiąc odrobinę.

Schyliwszy głowę, przeszłam przez nie i znalazłam się w wąskiej alejce, biegnącej wokół zaplecza sklepu.

Gdy się wyprostowałam, coś mnie uderzyło. Zwaliło się na mnie z przodu, aż zatoczyłam się z powrotem na bramę, przygwożdżona do niej ciężarem napastnika, czując jego oddech na policzku.

ROZDZIAŁ XXII

Gdzie diabeł nie może...

Nim zdołałam nabrać powietrza, by narobić krzyku, którego jednak nie odważyłam się z siebie wydać, napastnik obwąchał mnie, zaskomlał i zaczął lizać mnie po twarzy.

— Rommel!

Odczułam tak ogromną ulgę, że omal nie zemdlałam. Nogi się pode mną ugięły i, zupełnie jakbym postradała zmysły, chciałam się roześmiać. Odepchnęłam psa i szepcząc mu ostrzegawczo do ucha, jedną ręką ścisnęłam zwierzakowi mordę, drugą szukałam obroży. Znalazłam kawałek nieodłącznego dwustopowego sznurka, którego koniec był naderwany i postrzępiony. David wchodząc do sklepu musiał przywiązać psa, a biedne stworzenie w końcu zerwało się i poszło szukać swego pana. Gdy biegłam alejką w kierunku Rue Mirabell, głowę miałam zaprzątniętą nowym, choć niezbyt ważkim problemem: co, na miłość boską, począć z psem?

Mogłam oczywiście porzucić nieszczęsnego czworonoga, gdyby mi na to pozwolił, lecz na myśl o tym coś się we mnie wzdragało. Można by zaprowadzić Rommla do mego hotelu, lecz gdy wyobraziłam sobie nieuchronne zamieszanie, wyjaśnienia, stratę czasu, doszłam do wniosku, że to gra nie warta świeczki. Biegł, szczęśliwy, przy nodze, posapując z radości, że wreszcie znalazł przyjaciela, i wówczas przyszło mi do głowy, że w mojej sytuacji ja również nie mogę sobie pozwolić na odrzucenie najmniejszej

choćby pomocy. Nawet przyjaźń Rommla może mi się przydać.

Jakieś trzydzieści sekund później okazało się, że miałam rację, bo gdy przeszliśmy przez Rue Mirabell i zagłębiliśmy się w następną ciemną uliczkę, z cienia wynurzył się nagle pijany Murzyn i ślaniając się na nogach zagroził mi drogę. Bezskutecznie usiłowałam wyminąć go i przemknąć dalej. Chwyił mnie za rękę, ale Rommel warknął i skoczył, uderzając go w pachwinę. Murzyn zgiął się wpół, z przekleństwem na ustach zatoczył się do tyłu i chwiejnie grzmotnął w mur. Uciekłam, a Rommel wraz ze mną; ten przyjemny, choć drobny epizodzik sprawił, że wyraz zadowolenia na jego głupiutkiej mordce jeszcze się pogłębił. Ja zaś przypomniałam sobie, że uliczki, które teraz samotnie przemierzam, cieszą się wątpliwą reputacją, toteż stukot psich łap i podniecone sapanie niezwykle podnosiły mnie na duchu. Silniej uchwyciłam się postrzępionego sznurka i razem wybiegliśmy z alejki na ulicę, którą mgliście pamiętałam.

Była to główna ulica, dobrze oświetlona — w istocie tędy przebiegała szosa, którą przyjechałam z Awinionu do Marsylii. Usiłując wymknąć się Richardowi, pojechałam nią dalej na zachód, a więc garaż Bergère Frères musi leżeć gdzieś w labiryncie uliczek, między miejscem, gdzie się znajdowałam, a portem. Przechodząc wraz z Rommlem przez ulicę i wahając się, czy iść dalej na chodnik, myślałam z nadzieją, że garaż nie może być bardzo oddalony, bo przypomniałam sobie, że nie przemierzałam wielkich odległości, gdy ponownie przechodziłam przez tę jezdnię, by znaleźć hotel na Rue Mirabell.

Rozejrzałam się. Nie była to uliczka kafejek, bo kręciło się zdumiewająco mało przechodniów. Kiosk z gazetami tuż obok mnie był zamknięty, tak jak i *boulangerie* parę kroków dalej, lecz w odległości trzydziestu jardów stąd znajdował się otwarty garaż, światła pomp benzynowych lśniły jak boje. Na pewno obsługa będzie wiedziała, jak trafić do garażu na Rue des Pêcheurs. Zaciągnęłam Rommla w tamtym kierunku.

Ktoś z personelu stał przy pompach, nalewając benzynę do samochodu, lecz gdy ku niemu pospieszyłam, z drzwi warsztatu wyłonił się z wiadrem następny pracownik. Postawił je, a na moje zadane zdyszczanym głosem pytanie zsunął beret na tył głowy i podrapał się w ciemność.

— Rue des Pêcheurs, *mam'seile*? Owszem, ale... — spojrzła na mnie z powątpiewaniem. — Nie powinna tam pani spacerować o tej porze.

— Ale ja muszę! — W moim głosie było tyle żarliwości, że przyjrzał mi się z zaciekawieniem. — To bardzo pilne. Którędy tam dojdę?

Pocierał ucho i cały czas się we mnie wpatrywał.

— Pokażę pani drogę, jasne. Tyle że...

— Ale ja muszę! — krzyknęłam znowu. Bez wątpienia chciał być uprzejmy, lecz serce waliło mi w gardle, a silnik każdego mijającego nas samochodu zawodził jęklonie niczym miniaturowy gong. Postąpiłam krok ku mężczyźnie. — Bardzo pana proszę!

Obrzucił mnie teraz wzrokiem, rejestrując zabrudzone ręce, zakurzone sandały, ślady gipsu na płaszczu, rozpacz na twarzy. W oczach miał błysk, wyrażający coś więcej niż ciekawość.

— Wie pani, co zrobimy? — Obliznął górną wargę i uśmiechnął się, nawet dość sympatycznie. Rozważałam, czy zamierza zawiadomić policję. — Kończę za dziesięć minut. Jeśli pani chce, sam tam panią zaprowadzę.

Uchwyciłam się resztek mojej cierpliwości i uprzejmości.

— *M'sieur*, jest pan wcieleniem dobroci. Ale powtarzam: to bardzo pilne, nie mogę czekać. Muszę natychmiast wyjechać z Marsylii, a do tego potrzebny mi samochód. A więc...

— Samochód?

— Tak, zaparkowałam go w garażu Bergère. To jest na ulicy...

— Wiem, gdzie to jest. Ale na noc go zamykają.

Mówił zwięźle, przestawało go to obchodzić. Odwrócił się i podniósł wiadro.

— Zamykają? — Świat znieruchomiał, po czym zawirował. — Jest pan pewny?

Nieznacznie wzruszył ramionami.

— *Mais certainment*. Robią tam naprawy i zamykają o ósmej.

— A może ktoś... to bardzo ważne... gdzie mieszkają? — Zauważyłam, że się jąkam, po omacku szukałam słów, francuszczyzna zaczęła ulatniać się z mojego spanikowanego mózgu. — Mogłabym pójść do nich do domu...

— Nie wiem, gdzie mieszkają — odparł nieco łagodniej. — Niech pani spróbuje popytać w okolicznych domach.

Tuż za mną po ulicy przetoczył się tramwaj, hałas spowodowany szybką jazdą uznałam za szyderstwo pod moim adresem. Koło dystrybutorów z benzyną skręcił samochód, a świst opon na żuzlu sprawił, że włosy stanęły mi dęba. Upuściłam sznurek Rommla, przytrzymałam go stopą i drżącymi rękami zaczęłam grzebać w torebce.

— Nie, to na nic. Nie mam czasu. Muszę już iść. Muszę wynająć samochód. Niech pan natychmiast jakiś wyprowadzi i zatankuje do pełna. Ile...

— Nie ma tu żadnego samochodu.

Jego wzrok nadal wyrażał zainteresowanie, ciekawość, może nawet współczucie, lecz gdzieś w głębi widać było rosnącą podejrzliwość. Bóg wie, że nie miałam o to pretensji. Jeśli czytał z mojej twarzy tak jak ja czytałam z jego rysów, musiał w niej dostrzec coś wystarczająco niecodziennego. Z całego mojego zachowania wyraźnie przebijał strach. Wyciągnęłam garść banknotów i podałam mu je. — Samochód, *m'sieur*, na miłość boską...

Spojrzał na banknoty, lecz nie wyciągnął po nie ręki.

— Ale to prawda. Niestety, nie mamy samochodów do wynajęcia.

Wzruszył ramionami z nieudawanym żalem. To oświadczenie było ostateczne. Odwrócił się.

Stałam jak oniemiała, ściskając banknoty, a nadzieja, której nigdy naprawdę nie czułam, wygasła i rozwiała się. Wszystko na nic. Richard nie żyje. Mogłabym pójść na Rue des Pêcheurs, bez

tchu pukać od drzwi do drzwi, w pośpiechu, rozpaczliwie szukając słów. Mogłabym znaleźć *monsieur* Bergère, wszystko mu wytłumaczyć, a nawet nakłonić, by otworzył garaż. Wyprowadziłabym wówczas samochód i pojechała nadmorską szosą do Aiguebelle i rozłożystych pinii, ja i ten śmieszny, kędzierzawy pies Davida. A gdy tam dotrę, w blasku księżyca nie ujrzę nic prócz śladów opon w kurzu, a do moich uszu dobiegnie tylko zgrzytliwy ryk morza o kamienie u podnóża skały. Przybędę zbyt późno...

Rommel obrócił łeb i zamachał tym idiotycznym ogonem. Z tyłu za sobą usłyszałam głos:

— Pani Selborne!

Odwrociłam się jak we śnie. Koło dystrybutorów stał wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze i przyglądał mi się. Znowu się odezwał, po angielsku i zrobił krok w moim kierunku.

— Pani Selborne, prawda?

Poznałam go teraz — to przystojny Francuz z Tistet-Védène. Uśmiechnęłam się mechanicznie.

— *Monsieur... Véry?*

Odwzajemnił uśmiech i uklonił się czarująco.

— Nie spodziewałam się, że tu panią spotkam, *madame*, to prawdziwa przyjemność.

A gdy ja wyjąkałam coś z zakłopotaniem, jego wzrok padł na Rommla. Oczy mężczyzny rozszerzyły się, po czym rzucił mi spojrzenie na pół zdziwione, na pół pytające, lecz pełne rozbawienia.

— A więc to pani? — rzekł.

Nie odpowiedziałam, lecz on najwyraźniej w moim zachowaniu nie dostrzegł niczego niezwykłego. Roześmiał się.

— Gdzie też go pani schowała? No, tego chłopaczka, którego pani porwała?

— Ja... ja...

Machnął ręką. W ciemnych oczach iskrzył się błysk wesołości.

— Niech pani sobie wyobrazi, *madame*, co się dzisiaj działo w hotelu! Krzyki, łzy...

— Łzy? — powtórzyłam tępo.

Niczego nie rozumiałam. Całą moją uwagę pochłonęła czynność tak błaha, jak staranne złożenie banknotów i schowanie ich do torebki.

— No... może nie łzy. Trudno tam mówić o wielkiej miłości, *hein*? Ale pani... — w oczach tańczyły mu ogniki — pani przestępczynią! Dlaczego właściwie pani to zrobiła? Czy mały był nie-szczęśliwy? Może powiedział pani...

— Nie, nie. Ja nie...

— W każdym razie jeszcze pani nie złapali? — zachichotał. — Spowodowała pani sporo zamieszania, ale mimo wszystko to było *fort amusant*. Obawiałem się, że ominie mnie końcówka tej afery; dziś musiałem jechać do Nicei i byłem *désolé* na myśl, że nie będę wiedział, co się stało. A teraz, dzięki najczystsшему przypadkowi, podjeżdżam tutaj — wskazał gestem dystrybutory — a pani akurat stoi, z dowodem zbrodni?

Nie słuchałam go. Śledziłam oczyma jego gest i przez moment cały mój świat przesłoniło to, co ujrzałam.

Mechanik przykręcał właśnie nakrętkę, zamykającą bak samochodu Paula Véry'ego. A cóż to był za samochód! Długi, nisko zawieszony kabriolet, na połyskliwych liniach sylwetki wypisane miał słowo „moc”. Mercedes-Benz spoczywał przed garażem niczym statek transatlantycki przy przystani rybackiej. Z miejsca, gdzie stałam, wydawało się, że ma ze trzydzieści stóp długości.

— *Monsieur Véry*...

Znowu zaświtała ta szalona nadzieja, która nie chciała zaga-snąć. Serce zaczęło mi walić.

Coś w wyrazie mojej twarzy sprawiło, że i jego nastawienie uległo zmianie. Rozbawienie opadło niczym zdarta maska. Zmierzył mnie wzrokiem.

— Bardzo przepraszam. Nie powinienem był z tego żartować. Ma pani kłopoty.

— Tak. Ogromne. — Podeszłam doń bliżej i wyciągnęłam drżącą rękę. — Powiada pan, że wybiera się do Nicei. Czy mógłby, czy zechciałby pan podwieźć mnie kawałek?

— Ależ oczywiście. Chłopiec...

— To ma wiele wspólnego z chłopcem — rzekłam roztrzęsiona. — Wiem, dokąd pojechał. Proszę mnie zrozumieć, musimy się pospieszyć, to bardzo ważne, wyjaśnię wszystko po drodze. Naprawdę szkoda każdej chwili...

Położył mi rękę uspokajająco na dłoni.

— Nie przejmuj się, *ma belle*, już pędzimy. W tym samochodzie trudno zrobić cokolwiek innego.

Dwie minuty później Rommel siedział bezpiecznie przywiązany na tylnym siedzeniu, a mercedes, prześlizgując się przez sznury samochodów na Canebriere, pomknął na wschód.

ROZDZIAŁ XXIII

Tygrys, tygrys...

(Blake)

Wydawało się, że niemal natychmiast zaczął wokół nas znikać blichtr i zgiełk marsylskich ulic, jechaliśmy teraz po wysadzanych drzewami przedmieściach; coraz rzadziej spotykane latarnie i wysokie domy o zasuniętych żaluzjach migwały tylko w gęstniejącym mroku. Nawet jeśli obowiązywało ograniczenie prędkości, Paul Véry go nie przestrzegał. Pędził na łeb, na szyję, wciskając się niebezpiecznie między znajdujące się na drodze samochody, tak że z jednej strony cieszyłam się z tempa jazdy, z drugiej jednak zastanawiałam się, czy Véry zdaje sobie sprawę z ryzyka, na jakie nas naraża. Gdyby zatrzymała nas policja... Mercedes nie robił bowiem tajemnicy ze swej szybkości, nie musiał ryczeć klaksonem, by oznajmić, że przybywa na skrzyżowanie, wijącą się w górę drogą przejechał przez coraz bardziej wyludnione ulice i z wyciem silnika sunął tunelem, który wytyczały jego własne, długie światła. Mknął niczym tygrys, zdążający do swej kryjówki w gęstwinie nocy.

Pobłyskujące marsylskie tory kolejowe zniknęły nam spod kół, oświetlone okna ostatnich domostw zamigotały poprzez rzędy cyprysów i odpłynęły. Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Czuliśmy uderzenia wiatru, wzbudzonego naszym własnym pędem, słyszeliśmy, jak jęklonie bije w olbrzymią maskę i przysysa się do szyby, lecz, patrząc na chmury pędzące na tle rozgwieżdżonego nieba, wiedziałam, że powietrze w górze też nie stoi w miejscu.

Księżyc zniknął, pochłonięty przez te same chmury, a my gnaliśmy przez ciemność, rozjaśnioną jedynie słabym blaskiem gwiazd, z wyjątkiem tych odcinków, gdzie olbrzymie reflektory rzucały oślepiające snopy jasności więcej na pół mili naprzód. I tak maszyna rwała wzdłuż klina światła, nabierając prędkości, strzając z siebie noc, jak kometa strząsa chmurę. Wzdłuż tej migającej mi przed oczami drogi ledwo odgadywałam zamazane zarysy pinii, strzelistych topoli, przymglonych oliwek, które pojawiały się na moment i znikały. Sama noc była zaledwie niewyraźną plamą, rykiem silnika, mrocznym wiatrem, a ciągnący się za nami strumień gwiazd przywodził na myśl grzywę pian.

Droga wiła się pod nami złośliwie niczym wąż. Świat zachybotał mdłaco, gdy koła z jękiem wzięły zakręt. Potem znowu gnaliśmy po prostej, wałąc na łeb, na szyję przez nasz długi, świetlny tunel.

Paul Véry zerknął na mnie z uśmiechem.

— Czy jedziemy wystarczająco szybko jak na pani potrzeby?

— Nie — odparłam.

W blasku tablicy rozdzielczej spostrzegłam, że przez chwilę był skonsternowany i uświadomiłam sobie, że spełniając tak dosłownie moją prośbę, byśmy jechali jak najszybciej, spodziewał się, że się przestraszę. Nawet w takiej sytuacji poczułam przez moment coś w rodzaju ponurego rozbawienia na myśl, że ktoś, kto żył z Johnnym, może jeszcze kiedykolwiek obawiać się szybkiej jazdy. Szaleńczy pęd, ryk silnika w ciemności to normalne zjawiska, towarzyszące naszym powrotom do domu. Ale Johnny... to był Johnny — musiałam przyznać sama przed sobą, po namyśle. A jednak gdy nie oglądając się na nic mknęliśmy wprost przed siebie przez Marsylię, parę razy odczułam niepokój. Zbyt dobrze znałam ten samochód, by nie wiedzieć, do czego jest zdolny, jeśli choć na pół sekundy spuści się go z łańcucha.

— Niemniej — powiedział, zwalniając, Paul Véry — większa szybkość przestałaby być bezpieczna.

A więc on również poczuł się niepewnie wówczas na zakręcie, gdy tygrys niemal mu umknął.

— Przepraszam — sumitowałam się. — Byłam niespokojna, bo cały czas usiłuję wypatrzeć ich tylne światła i odezwałam się zupełnie bezmyślnie. Jestem niezwykle wdzięczna za to, że w ogóle zechciał mnie pan zabrać.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Formułce tej towarzyszył uśmiech tak czarujący, że odwzajemniłam go mimo dręczących mnie obaw i strachu. Stwierdziłam, że mu się przypatruję. Rozparł się wygodnie w fotelu i nadał samochodowi bezpieczną szybkość, oczy mu się zwięzły, gdy bacznie wpatrywał się w wążutki punkcik światła przed sobą. W tym blasku jego twarz stanowiła niezwykle atrakcyjną maskę, wyrażającą głębokie skupienie.

Droga pędziła ku nam. Raz serce zadrżało mi i skoczyło do gardła, gdy w mroku przed nami zabłysło czerwone światełko, lecz był to mały, miejscowy samochodek, w którym siedzieli mężczyzna i dziewczyna. Opadłam z powrotem na fotel, a krew uszła mi z drętwiących koniuszków palców i zaczęła znowu napływać do serca.

Paul Véry spojrzał na mnie kątem oka.

— To chyba nie to tylne światło, którego pani szuka? — zapytał.

— Nie — uśmiechnęłam się do niego trochę krzywo. — Pewnie się pan zastanawia, o co w tym wszystkim chodzi?

Znowu patrzył na drogę.

— Ależ oczywiście. Zależy pani na pośpiechu, jest pani niespokojna i przestraszona. Któż by się nie zastanawiał, *madame*? Niech mi pani wierzy, że chętnie przyjdę z pomocą... ale naprawdę nie musi pani opowiadać mi o swoich sprawach, jeśli nie ma pani na to ochoty.

— Jest pan bardzo miły. Mówiłam już, że to ma coś wspólnego z małym Davidem.

— *Eh bien?*

— Ja go nie uprowadziłam. Ale wiem, gdzie teraz jest. Tam właśnie jedziemy.

Ręce, które trzymał na kierownicy, poruszyły się lekko, jakby

poczuł się zaskoczony, a samochód zarzucił złowieszczo. Sklął go pod nosem.

— Przepraszam — odezwałam się. — Nie chciałam pana przestraszyć. Ale dalszy ciąg mojej opowieści jest jeszcze bardziej przerażający. Kiedy powiedziałam, że mam kłopoty, mówiłam szczerą prawdę. Mam straszne kłopoty. — Głos mi zdrzął, bo wyłoniło się z mroku widmo rozpacz. — To sprawa życia i śmierci — powiedziałam, nie mogąc opanować łkania.

— I chyba bardzo potrzebuje pani pomocy.

Zabrzmiało to niemal jak pytanie, które zadał bardzo cicho, nie patrząc na mnie. W jego głosie dźwięczał dziwny zaśpiew, a gdy odwróciłam głowę, by na niego spojrzeć, łkanie uwięzło mi w gardle. Pomoc... oczywiście, że potrzebuję pomocy. Do tej chwili, ogłupiała ze zmęczenia i nieprzytomna z obawy o Richarda, myślałam o Paulu Vérym jako o zesłanej z nieba sposobności znalezienia się na drodze do Aiguebelle. Teraz cud się dopełnił — nie byliśmy już z Rommlem sami, mieliśmy sprzymierzeńca, a nasze najbliższe zamierzenia nie budziły wątpliwości. Andre z Richardem i Davidem wyprzedzał nas, ale był tylko jeden do wykonania swej roboty. Mało prawdopodobne, by również Jean jechał przed nami — chyba nie zdążyłby wyruszyć, a przy tej szybkości dogonilibyśmy każdy samochód, jadący w mniej więcej normalnym tempie.

André działał sam, a nas było dwoje... i Rommel.

Humor mi się poprawił i z wdzięcznością spojrzałam na mego towarzysza. Uśmiechał się, wyglądał niezwykle przystojnie, a także, jak sobie uświadomiłam, wywierał ogromne wrażenie.

— A dokąd zabierają tego chłopaczka?

W jego głosie znowu pojawiła się ta nuta i od razu odgadłam, co miała oznaczać — radość. Był rozbawiony, podniecony i wcale nie czuł lęku. Nie zdawał sobie, oczywiście, sprawy, w jakie niebezpieczeństwo się pakuje; niezwykłość sytuacji, uciśniona dama, jazda po nocy z szaloną prędkością — to wszystko musiało pobudzić

jego awanturniczą żyłkę. Lecz patrząc na niego nowymi oczyma, wiedziałam już, że groźba nawet największego niebezpieczeństwa nie przygasi tej radości.

Poczułam się podniesiona na duchu przez takie jego zachowanie, nutkę podniecenia, niemal uciechy w głosie i we wzroku. To się udzielało, a każdemu, kto znalazłby się w tak rozpaczliwym położeniu jak ja, dodałoby otuchy nagle pojawienie się sprzymierzeńca równie ochoczego i groźnego.

„Groźny” nie było bynajmniej słowem zbyt mocnym. Z tego człowieka emanowała siła, energia, której dawał upust tylko w wyjątkowych wypadkach... cała jego osobowość z takiej bliskości wydawała się niemal przygniatająca. Uświadomiłam sobie, że nie doceniłam pana Véry'ego. Nie tylko zawrotna szybkość samochodu zapierała mi dech w piersiach, gdy zaczęłam składać memu towarzyszowi należne mu wyjaśnienia.

— To długa historia i bardzo nieprzyjemna — zaczęłam szybko — i nie wiem, czy zdążę wszystko opowiedzieć, nim coś się zacznie dziać. Przede wszystkim chodzi o to, że David, który naprawdę nazywa się David Byron, zostanie dziś w nocy zamordowany wraz ze swym ojcem, jeśli nie potrafimy temu przeszkodzić.

Rzucił mi przestraszone spojrzenie.

— Ale...

— Wiem! — krzyknęłam. — To brzmi nieprawdopodobnie! Ale niech pan posłucha: spróbuję opowiedzieć co nieco o...

Zaczęłam, jękając się nieco z pośpiechu, relacjonować mu to, co wiedziałam o Kramerze, Richardzie i Loraine. Słuchał w milczeniu, lecz gdy doszłam wreszcie do roli Marsdena w całej tej sprawie, przerwał mi z okrzykiem, w którym dźwięczała wesołość.

— *Monsieur* Marsden? Ten gość? W resztę, owszem, uwierzę, bo pani mi to opowiada i dlatego, że chyba rzeczywiście wpadła pani w straszne tarapaty. Ale absolutnie nie powiedziałbym, że pocziwy pan Marsden mógłby kogokolwiek zamordować. A poza tym jest Anglikiem.

— Mówi, że jest Anglikiem — odparłam ostro. — Ale powiadam panu, że to jej mąż i siedzi w kieszeni u Kramera. Musi mi pan uwierzyć. Pocziwy pan Marsden, jak go pan nazywa, zdążył teraz, by zamordować Richarda i Davida Byronów, i musimy coś zrobić, by go powstrzymać!

W słabym świetle widziałam jego twarz. Nadal widniał na niej lekki uśmieszek, a brwi miał ściągnięte ze zdziwienia.

— *Mais, ma belle...*

A więc żadna część koszmaru nie zostanie mi oszczędzona. Tortura niedowierzania odgrywa w nim niepoślednią rolę... a choć półprzytomna z przerażenia, muszę wykryć obłąkańczą logikę tej sprawy, by ten mężczyzna uwierzył i pomógł mi. Kurczowo zacisnęłam drżące ręce i za wszelką cenę usiłowałam uporządkować swoją wiedzę. Pamiętam, że jedyną jasną myślą, jaka tkwiła mi w głowie, było pragnienie, by Paul Véry przestał nazywać mnie „*ma belle*”.

— Proszę posłuchać — zaczęłam ze skupieniem. — Opowiem panu tyle, ile sama wiem, i te wszystkie fakty są prawdziwe. Nie mam czasu cofać się do samego początku. Opowiem panu, co się dzieje teraz, dziś w nocy i błagam, by mi pan uwierzył. Nie wiem, z jakich powodów Kramer wynajął Lorraine i Marsdena, by popełnili morderstwo, ale wydaje mi się, że chodzi tu o coś, co się wydarzyło podczas wojny, Richard i jego przyjaciel byli świadkami... strasznego okrucieństwa, chyba tak można to określić, w które zamieszany był Kramer.

— To nieważne. — Jego głos zabrzmiał nagle ostro i niecierpliwie. — Powiedziałem już, że pani uwierzę. Te wojenne historie... nie mamy na to czasu. Niech mi pani zdradzi, co pani zdaniem ten człowiek zamierza zrobić... co pani zamierza zrobić, teraz, dziś w nocy.

Uczułam ulgę tak gwałtowną, tak przemożną, że ciemność wokół mnie zamglila się, a ja zamknęłam oczy i przycisnęłam do nich dłonie. Zorientowałam się, że samochód zwalnia, a gdy odsłoniłam oczy, ujrzałam dość elegancką drogę między murami i domami. Festony latarni ulicznych bujały się w mroku, z bocznej

ulicy wyjechał z hałasem oświetlony tramwaj i nagle zanurzyliśmy się w roziskrzoną świetlistość neonów, kafejek oraz niecierpliwy zgłęb ruch ulicznego.

— Tulon — odezwał się Paul Véry. — No proszę, niech mi pani opowie o swoim planie.

— Dobrze — odrzekłam. — Oto cała historia, bez owijania w bawełnę. Gdzieś przy tej trasie leży wioska Aiguebelle. Tuż za nią rośnie gaj rozłożystych pinii, a naprzeciwko niego droga rozgałęzia się w prawo, odchodzi od szosy i biegnie wzdłuż wybrzeża. Tu, chyba że wyprzedzimy ją na szosie, będzie czekać furgonetka, którą prowadzi mężczyzna imieniem André. Są w niej Richard i David Byron, nieprzytomni i chyba związani. André ma tu czekać na resztę, a potem zainscenizują wypadek. Kramer przywiezie samochód Ri... Byrona, będzie z nim też Loraine. Ale Marsden wyjechał wcześniej. Biorąc pod uwagę naszą prędkość, nie miał szans nas wyprzedzić, ale chyba jest niedaleko. Naturalnie będzie się spieszył — dodałam — bo André sam nie da rady wykonać tej roboty, a do tego jest trochę gamoniowaty.

Urwałam. Zapadła cisza, słychać było tylko szum wiatru. Opuściliśmy już miasto, ponownie zanurzyliśmy się w samotną noc i nasz świetlny tunel. Nie patrzyłam na Paula Véry'ego. Wiem, że marnie wypadłam jako rzeczniczka swej sprawy, lecz byłam zmęczona, oszołomiona i targał mną straszliwy niepokój, co uznałam za dostateczne usprawiedliwienie. Przygryzłam wargę i czekałam.

Jego reakcja, gdy wreszcie się na nią zdobył, była zupełnie nieoczekiwana. Słyszałam, jak, osłupiały, gwizdnął przeciągle, potem zaklął cicho i roześmiał się. Ale gdy otworzyłam usta, by się odezwać, zdjął rękę z kierownicy i położył ją lekko na mojej dłoni.

— Proszę wybaczyć, nie miałem zamiaru się śmiać. Ale zdaje się, że zdobyła pani pełne zaufanie tego mordercy. Skąd pani wie to wszystko?

Wysunęłam rękę spod jego dłoni i zaczęłam szukać w torebce papierosów. Pocięłam się, że Véry nie jest zaniepokojony.

— Czy w tej chwili ma to jakieś znaczenie? Powiedział pan, że musimy obmyślić jakiś plan działania.

— Istotnie.

Cofnął rękę i sięgnął do kieszeni, skąd wyjął srebrną, płaską papierośnicę. Wręczył mi ją nie patrząc. Wyglądał na głęboko zatopionego w rozmyślaniach, jakby zapomniał o mnie, o wszystkim, skupiając się na następnym posunięciu. Gdy się odezwał, sprawiał wrażenie roztargnionego i po raz pierwszy użył ojczystego języka.

— Zechciałaby pani zapalić papierosa i dla mnie, *ma bell'e*? Dlaczego nie poszła pani na policję?

— Nie miałam czasu — odparłam w tym samym języku.

Wyjęłam papierosa i pochyliłam się ku przedniej szybie, by osłonić twarz przed pędem powietrza.

— A pies? Gdzie znalazła pani psa?

Zapalniczka zgasła, musiałam pstryknąć dwa czy trzy razy, nim pojawił się płomień. Skuliłam się jeszcze bardziej, tworząc sobie wolną od przeciągów niszę i spróbowałam znowu. Nie odpowiadałam, lecz Véry zdawał się tego nie zauważać, mówił jakby do siebie, ciągle tak zaabsorbowany, że prawie nieobecny duchem.

— A ten Marsden... dlaczego jest pani tak pewna, że to mąż Loraine?

Zapalniczka zapłonęła równym płomieniem. Zapaliłam papierosa i wręczyłam go Véry'emu. Z leżącej na moim kolanie papierośnicy wyciągnęłam następnego.

— Czy to ważne? — powtórzyłam znowu. — Czy ma pan przypadkiem broń?

— Przypadkiem mam — odparł Paul Véry, a sądząc z tonu, znowu się uśmiechał. — Ale proszę mi powiedzieć, jak się pani znalazła w Marsylii? I co panią łączy z Byronem?

Przysunęłam zapalniczkę do papierosa i zaciągnęłam się. A potem zastygłam, skulona pod tablicą rozdzielczą, podczas gdy płomień zapalniczki, oświetlając moją czarną niszę, migotał nad uchylonym wieczkiem papierośnicy Paula Véry'ego.

Znajdowała się tam dedykacja, przepięknie wygrawerowana w srebrze. Zawierała jedynie jego imię i datę:

*Jean-Paul,
A jamais,
L. 17.8.42*

Płomień zgasł. Nade mną, w mroku, rozległ się jego leciutko drwiący głos:

— Niech się już pani tym nie przejmuje. Dopilnuję, żeby wszystko poszło dobrze. Przecież ma pani do mnie zaufanie, prawda?

To zdanie, wypowiedziane cichym głosem w ciemności... głos z Rocher des Doms, głos, który słyszałam mniej niż godzinę temu w biurze Kramera... I, niczym jeszcze jedno echo z przeszłości, zbyt późno, wyszeptał głos Louise: „Paul Véry... ma coś wspólnego z antykami...”

— Ma pani do mnie zaufanie, prawda? — powtórzył Jean, uśmiechając się w ciemność nad moją głową.

ROZDZIAŁ XXIV

Nie da się zsiąść z tygrysa.
(przysłowie chińskie)

Było zimno. Nocny wiatr znad Morza Śródziemnego, przynoszący woń pinii i słonej wody szumiał koło mojego policzka w ciepłym, ciemnym przyplwywie, lecz mimo to drżałam, toteż ciałniej owinęłam się płaszczem, usiłując przemóc narastającą histerię, która była owocem bezradności.

Ależ ze mnie idiotka! Słyszałam, jak mąż Loraine — nadal myślę o nim jak o Paulu Vérym — idzie po samochód. Podczas gdy uciekałam z podwórza przy sklepie Kramera i dobiegłam do garażu, akurat zdążył wyprowadzić kabriolet i pojechać naprzeciwko, by go zatankować. Mimo jego związków z Tistet-Védène, mimo że (wypominałam sobie ze złością) idealnie się nadawał do roli męża Loraine, nic mi to nie dało do myślenia. Przybiegłam do niego jak kretynka, merdając ogonkiem i naszą mizerną ostatnią szansę oddając mu prosto w ręce. Ręce mordercy.

Światła Hyères rozlały się przed nami, ciągnęły się jasną smugą, a potem pochłonęła je zalegająca za nami ciemność. Wcisnęłam się głębiej w fotel i ukradkiem spojrzałam na kierowcę. Teraz, gdy już wiedziałam... o tak, teraz gdy już wiedziałam, w oczy bił błysk rozbawienia pod butnymi powiekami, arogancki zarys podbródka, cała, przytłaczająca pewność siebie tego człowieka. I znowu ostro uświadomiłam sobie wrażenie, którego doznałam

poprzednio: że pod gładką, przystojną powłoką narasta gorączkowe podniecenie; zdradzał je lekki błysk potu na kościach policzkowych, nozdrza, rozszerzone przyspieszonym oddechem nad zeszywniała górną wargą, kurczowo zaciśnięte na kierownicy ręce. Ręce mordercy.

Ku nam pędziła rozmazana, droga. Wioska, bezładna garstka domów, zamigotała jak duchy. Przed nami zabłysła para oczu, wpatrywały się w nas, po czym śmignęły jak robaczki świętojańskie, gdy królik rzucił się do ucieczki. Paul Véry roześmiał się krótko i umyślnie przycisnął gaz. Usłyszałam skrzek zwierzątka, gdy je uderzyliśmy, z tyłu Rommel ostro zaskomlał. Paul Véry ponownie się roześmiał.

— Przestraszona? — znów zadał to pytanie, więc widocznie musiałam wydać jakiś dźwięk.

Tym razem uczciwie mogłam dać mu satysfakcję, której tak pragnął.

— Tak. Musimy tak gnać?

Uśmiechnął się, słysząc drżenie w moim głosie, lecz, ku memu zdziwieniu, zwolnił nieco.

— A czy musiał pan to robić? — spytałam.

— Co robić?

— Zabić tego nieszczęsnego królika?

Znowu się roześmiał, uroczym, beztroskim śmiechem. Wyglądał niezwykle przystojnie.

— Nie lubi pani zabijania?

— Oczywiście, że nie.

Miałam nadzieję, że w moim głosie nie słyhać nic więcej poza surową dezaprobatą, że nie dałam po sobie poznać lodowatego przerażenia, które przepełniało mnie drżeniem.

Samochód zwolnił jeszcze bardziej. Szybkościomierz, oświetlony słabą lampką, pokazywał przyzwoitą pięćdziesiątkę, gdy Paul Véry zdjął rękę z kierownicy i położył ją na mojej. Ten dotyk, ciepły, pełen życia i krańcowo szyderczy, wywołał we mnie nowy wstrząs: miałam wrażenie, że wysyła uchwytnie fale podniecenia.

— A pan? — spytałam, znając odpowiedź.

— Jeśli coś mi wchodzi w drogę, *ma belle*, samo się prosi, żeby to zabić, prawda?

Jego ręka, ciepła i mocna, zacisnęła się na mojej. Samochód zwolnił jeszcze bardziej, a kierowca odwrócił ku mnie głowę i uśmiechnął się.

— Już się pani nie boi?

— Nie — odparłam zupełnie spokojnie, lecz zaciągnęłam się papierosem, jakbym w nim szukała ratunku, a wargi mi drżały.

Wiedziałam teraz bowiem, w co się wpakowałam. Musi mnie zabić wraz z Richardem i Davidem, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Jak królik, weszłam mu w drogę. Wiedziałam też, że Paul Véry jest prawdziwym mordercą, który rozkoszuje się samym aktem zabijania i że ta szaleńcza jazda w mroku, by zrealizować przerażający zamiar, poruszyła w nim jakąś upiorną strunę czystego podniecenia. A moja obecność doprowadziła je do ostateczności. Ciemność, szybkość, niebezpieczeństwo, morderstwo... i dziewczyna. Niczego nie może zabraknąć podczas białej nocy *monsieur Véry*'ego.

Mercedes zwolnił do trzydziestu, dwudziestu pięciu, dwudziestu... Pełzaliśmy w tempie dziesięciu mil na godzinę przez pochły, czarny tunel drzew, a Paul Véry odrzucił papierosa, położył mi rękę na ramionach i nachylił ku mnie swą przystojną twarz. Oparłam się o jego ramię, lecz było twarde niczym stalowa sztaba. Mój mimowolny gest oporu spowodował brutalne napięcie mięśni, ujrzałam też, że w oczach nad moją głową coś zaczynało płonąć.

Bogu dzięki, że prawdziwy strach działa paraliżująco. Gdy przyciągnął mnie do siebie, zamknęłam oczy, zastanawiając się luźno, czy zabije mnie tutaj, czy też zepchnie ze skały wraz z Richardem. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że zależy mi, by zwracał większą uwagę na drogę.

Na karku poczułam jego gorący oddech.

— *Ma belle* — powiedział, lecz w jego głosie brzmiało coś, co przeczyło aksamitnej pieśczośliwości słów.

Odrzuciłam głowę, gdy ustami zaczął szukać moich warg.

— *Ma belle* — powtórzył z nutką zdziwienia i wyrzutu.

Na pół historycznie zaczęłam się zastanawiać, dlaczego spodziewa się, że jego ofiara będzie miała chęć pocałować mordercę. Pajęczyny strachu opadły na chwilę i przypomniałam sobie, że on przecież nie ma pojęcia, iż znam jego prawdziwą naturę. W jego wyrzucie nie krył się ani cień szyderstwa — namiętność nie pozostawiała na to miejsca. Był po prostu tak cholernie przystojny, że nigdy przedtem żadna kobieta nie odmówiła mu pocałunku.

Jedynym moim orężem był ten okruch wiedzy. Może to żałosne narzędzie, może nawet nikczemne, ale jedyne, jakim dysponowałam. Nie wahałam się ani sekundy. Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się jak Dalila.

— Chodzi o to... uważaj, jak jedziesz — wyszeptałam.

Usłyszałam cichy, triumfalny śmieszek, gdy odwrócił głowę, by zerknąć na drogę. Oparłam się o jego ramię, które zacisnęło się wokół mnie, gdy tymczasem mercedes, lekko zarzuciwszy, hamował na poboczu.

Wolną ręką odrzuciłam papierosa.

— A niech to szlag!

Samochód podrzucił i zatrzymał się.

— Co się stało, *chérie* ?

— Torebka — odparłam ze złością. — Wypadła, gdy wyrzucałam papierosa. — Siadłam prosto, udając, że chcę się od niego odsunąć.

Ostro pociągnął za ręczny hamulec i odwrócił się w moją stronę, by nie dopuścić do przerwania tej czulej sceny.

— Zależy ci na niej?

Znowu ten miodowy, aksamitny głos, nieodparcie pieśczośliwy, pochlebnie natarczywy. Zapomniał wyłączyć silnik. Odsunęłam się, nadąsana jak rozpaskudzona chórzystka.

— Głuptasie! Oczywiście, że mi zależy! Bądź taki miły i przynieś mi ją.

— Później — powiedział już bardziej szorstko.

Poczułam na ustach jego wargi, wydałam drżące westchnienie i zarzuciłam mu ręce na szyję. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy możemy spodziewać się Kramera w bentleyu...

Upłynął chyba wiek, upiornie wlokący się wiek, nim rozluźnił nieco uścisk i znowu się odezwał:

— Drżysz, kochanie?

Udało mi się wydobyć z siebie zdyszany śmieszek, który w polowie zaczął stawać się prawdziwy, gdy na jego obliczu ujrzałam zaspokojoną próżność. Nie wątpił w moją absolutną uległość. Skwapliwie go w tym utwierdzałam.

— Paul.

— *Chérie?*

— Podobam ci się?

— Niemądre pytanie, *ma belle*.

Tu akurat trafiłeś — pomyślałam.

— Nawet jeśli wyglądam tak jak teraz?

Roześmiał się z zadowoleniem.

— Jakkolwiek byś wyglądała. Powiedz, kim jest dla ciebie Richard Byron?

Musiał chyba poczuć, że drgnęłam w jego ramionach, lecz uznał to za odruch przerażenia.

— Och! — wykrzyknął. — Ależ ze mnie drań! Na śmierć zapomniałem!

Usiłowałam go odepchnąć.

— *Monsieur Véry*, może byśmy raczej pojechali? Nie mam pojęcia, co mi wpadło do głowy.

— Naprawdę? — Znowu się śmiał, a ja musiałam powściągnąć gwałtowną chęć uderzenia go prosto w zadowoloną z siebie twarz.

— Odpowiedz mi, *ma belle*. Ten Richard Byron...

— Nie znam Richarda Byrona — odparłam pospiesznie. — Chodzi mi o tego chłopaczka, Davida... jedźmy, *monsieur Véry!*

— Przed paroma minutami mówiłaś do mnie Paul.

— No więc Paul. Jeśli nie zdążymy na czas...

— Mamy mnóstwo czasu.

Znowu mnie przyciągnął, a ja poddałam się na przekór sobie. Wiedziałam, że na razie nie ma zamiaru ruszyć. Bałam się go odepchnąć, by nie wzbudzić podejrzeń. Jeszcze przez długą, dręczącą minutę pozwalałam się przytulać, natężając słuch, by

wyłović warkot samochodu Kramera, a wokół nas gęstniała ciemność. Pod drzewami zalegała głęboka, ciężka cisza. Tylko leciutkie drżenie karoserii dawało poznać, że silnik mercedesa ciągle pracuje. Paula Véry'ego albo to nie obchodziło, albo był zbyt zaabsorbowany, by poświęcić temu uwagę. Zastanawiałam się, jak długo potrwa, nim przestanę panować nad sytuacją i doszłam do wniosku, że nastąpi to niebawem. Czy zostanę uduszona jak Tony, czy też...

Wydałam długie westchnienie i odsunęłam się.

— Musimy jechać — rzekłam ochryple. — Chłopiec, Paul, *chéri*, musimy o nim pamiętać. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś mu się stało, dlatego, że my... — urwałam i przyłożyłam rękę do jego policzka. — Jedźmy, Paul.

Był napięty jak struna, oddychał szybko. W oczach miał dziwny wyraz, płonął w nich jakiś niesamowity zimny płomień, to puste spojrzenie, jak się nagle zorientowałam, to wzrok mordercy. Jego ręce poruszyły się po omacku. Wiedziałam, że lada moment stanę się bezwolną ofiarą biegu wypadków.

Delikatnie odsunęłam jego ręce.

— Proszę! — wyszeptalam. — Przynieś mi torebkę i jedźmy.

Nie poruszył się, siedział nadal ze wzrokiem utkwionym we mnie.

Uśmiechnęłam się do niego.

— No dobra, przystojniaku — powiedziałam. — Więc nie jedziemy. Ale i tak mi ją przynieś. Wyglądam pewnie jak strach na wróble i chcę poprawić urodę.

Szybko pochyliliłam się i pocałowałam go na znak moich szczerych intencji, po czym wyciągnęłam rękę i sięgnęłam do klamki. Zawahał się, wzruszył lekko ramionami i otworzył drzwi. „Dogodź ofierze, pójdzie jak owieczka...”

Upuściłam torebkę, nim samochód się zatrzymał, mniej więcej dwadzieścia jardów stąd.

Szedł, skąd przyjechaliśmy, zerkając na mroczne pobocze.

Liczyłam jego kroki, trzymając dłoń na ręcznym hamulcu. Zwolniłam zapadkę i czekałam.

Pięć, sześć, siedem... przystanął i chyba się obejrzał.

— Nie możesz jej znaleźć? — zawołałam. — Pomóc ci?

— W porządku. — Z wolna ruszył dalej. Osiem, dziewięć...

Przesunęłam stopę w bok i nacisnęłam sprzęgło. Staliśmy na zboczu, wrzuciłam drugi bieg. Dziesięć, jedenaście...

— Mam — powiedział i pochylił się, by ją podnieść.

Błyskawicznie wskoczyłam na fotel kierowcy. Pchnęłam hamulec, z rykiem otworzyłam przepustnicę i wrzuciłam sprzęgło. Za sobą usłyszałam krzyk i przekleństwo. Mercedes ostro ruszył do przodu — zbyt ostro. Przez chwilę obawiałam się, że zgasiłam silnik i znowu wrzuciłam sprzęgło. Wówczas zaskoczył, ruszył z kopyta jak koń wyścigowy i pomknęliśmy.

Lecz chwila nieporadności przy manipulowaniu nieznanymi przyrządami drogo mnie kosztowała.

Gdy wjeżdżałam na wzniesienie i zmieniałam biegi, usłyszałam chrapliwy oddech i łomot nóg, a następnie samochód zakołysał się, gdy Paul Véry rzucił się na stopień nadwozia.

— Rommel! — usiłowałam przekrzyczeć narastający warkot silnika — bierz go, Rommel!

Usłyszałam pełne podniecenia szczeknięcie, lecz atak nie nastąpił. W końcu pies widział, jak zaledwie przed paroma minutami całowałam Véry'ego. Potem przypomniałam sobie, że mój prześladowca ma broń.

— Na ziemię, Rommel! — krzyknęłam jeszcze gwałtowniej, po czym dobiegł mnie wstrętny, urywany śmieszek.

Mercedes z rykiem nabierał szybkości. Véry kłął, kurczowo trzymając się tylnych drzwi. Wynurzyliśmy się z tunelu drzew i podjechaliśmy do góry drogą tak krętą, że aż przyprawiającą o mdłości. Przed nami ponownie długie światła formowały w mroku lej, a my śmigaliśmy w ich zwężającym się snopie.

Sytuacja została opanowana, a ja trzymając ręce na kierownicy, poczułam nagle cudowne, lodowate zimno. Wskazówka zaczęła pełznąć w prawą stronę szybkościomierza. Przemknęliśmy przez maleńką wioseczkę. Nazwa Euzès mignęła przez sekundę w blasku reflektorów i zniknęła, ja zaś, zmarszczywszy brwi, usiłowałam przypomnieć sobie mapę.

Mercedes z rykiem silnika rwał naprzód, a kątem oka zauważyłam, że Paul Véry, jak nieusuwalna zawada, napina mięśnie i podnosi nogę, chcąc wspiać się na stopień. Zaczekałam, aż noga już, już miała wślizgnąć się w drzwi, po czym tak zarzuciłam, że samochód skręcił z przeraźliwym piskiem opon i zniosło go na drugą stronę szosy.

Usłyszałam wrzask, zobaczyłam, że mój prześladowca odchyła się na zewnątrz, lecz jakimś cudem nie puścił stopnia. Przywierał do niego, skulony, miotając pod moim adresem Bóg wie jakie bluźnierstwa.

Odczekałam chwilę i zrobiłam to jeszcze raz. Opony śmigają po szosie, a ja wsłuchiwałam się w ich świst zupełnie obojętnie. Gdybym złapała teraz gumę, fatalnie by się to skończyło, lecz jeśli nie zdołam pozbyć się Paula Véry'ego i jego spluwy, taka śmierć będzie równie dobra jak każda inna. Znowu przycisnęłam gaz i wpiłam ręce w kierownicę. Tylne koła zarzuciły gwałtownie i samochód bryknął jak oszalały ogier. Światła raptownie zawirowały, omiatając ciemność, a noc zakołysała się, zataczając wokół nas wielki łuk. Przez chwilę bałam się, że wykonałam manewr zbyt gwałtownie i straciłam panowanie nad pojazdem. Paul Véry znowu wrzeszczał, a przerażony pies zawył głośno, gdy cisnęło nim o siedzenie. Mercedes, kołysząc się jak oszalały, rzucił się do przodu z tą samą, złowieszczą szybkością. Snop światła błysnął przede mną, zakołysał się i posłał wiązkę równą jak światło reflektora. Dwie sosny mignęły niczym duchy, a potem — światła nie napotykały już nic.

Droga przed nami skręcała ostro w lewo. Spozrzęłam, że jej skraj śmignął ku naszym kołom; za nim rozpościerała się połać zakurzonej ziemi, na której wyschnięta trawa machała upiornymi

czułkami w bezmiarze ciemności. Gwiazdy i wiatr, i osobliwie promienna, rozkołysana otchłań ciemności. Brzeg morza.

Tym razem celowo zarzuciłam mercedesem. Kierownica odskoczyła jak żywe stworzenie, a kurz za nami wzbił się w powietrze w kształcie atomowego grzyba. Nie uderzyliśmy przednim kołem o skałę tylko dlatego, że oba zewnętrzne koła znajdowały się o stopę nad ziemią.

Wyszliśmy na prostą. Miałam krew na dolnej wardze, ale byłam zadowolona.

Potem uświadomiłam sobie, że skręt w lewo pomógł Paulowi Véry'emu wznieść się wreszcie na stopień. Klnąc, prawie płacząc, rzucił się do środka i nim zdążyłam połapać się w sytuacji, wciśnął się na przednie siedzenie i, skulony obok mnie, wpakował drżącą rękę do kieszeni płaszcza.

ROZDZIAŁ XXV

*W tej bezprzytomnej furii
Może wymierzyć broń przeciwko sobie.
Pójdę się przyjrzeć.
(Tourneur)*

— Ej, ty — powiedział nieprzyjemnym głosem. — Zatrzymaj się, bo oberwiesz! Ostrzegałem, że mam broń!

Nawet na niego nie spojrzałam. Drugi skręt za Aiguebelle, myślałam... za wielkimi, rozłożystymi piniami...

— W brzuch — dodał Paul Véry i rzucił obelżywe słowo.

Roześmiałam się. Byłam spokojna jak jeziorna woda, taka też była temperatura moich uczuć. Świadomość panowania nad tym cudownym samochodem, wraz z całą jego mocą i wspaniałością można by porównać do doznań człowieka, stojącego z mieczem w ręce naprzeciw nieuzbrojonego przeciwnika. Mercedes był teraz moim orężem i Bóg mi świadkiem, że potrafię go wykorzystać. Wiedziałam, jak straszliwie przerażony jest Paul Véry — obserwowałam, jak stopniowo napinają mu się nerwy, dzikie podniecenie, wywołane morderczym zadaniem, ostra rozkosz, z jaką mnie podpuszczał, szybkość, oczekiwanie ostatecznego dreszczu... a potem to. Patrząc, jak prowadził, uświadomiłam sobie, że był mocno przestraszony rozwijaną przez siebie prędkością. Czuję cudowne podniecenie, gdy sam siebie wprowadzał w stan przerażenia i u mnie wywołał panikę — na tym polegała połowa przyjemności. Żaden pierwszorzędny kierowca — znowu słyszałam, jak Johnny powtarza mi to po raz kolejny — żaden pierwszorzędny kierowca nie ekscytuje się szybkością. „Prowadzenie samochodu — dodawał — to robota jak każda inna i kierowca nie może

dopuszczyć do tego, by jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach tak samo jak silnik”. Potem uśmiechał się tym swoim uśmieszkiem i żywopłoty, szare nagle i zamglone, zaczynały nas mijać w szalonym tempie. „Gdy raz zaczniesz się odczuwać podniecenie — dodawał Johnny tonem belfra — potem przychodzi strach”.

A strach był teraz z nami w samochodzie. Słyszałam go wyraźnie w głosie mężczyzny. Czulałam jego pot.

A w rękę miałam broń, za pomocą której złamię wroga. Gdybym mogła wykończyć go nerwowo, nim dotrzemy do rozłożystych pinii... gdybym mogła odebrać mu spluwę...

A więc roześmiałam się i cudownym, błyszczącym mieczem cięłam noc.

— Odlóż to — powiedziałam z pogardą. — Jeśli mnie zastrzelisz, wiesz, co się stanie z samochodem... i z tobą?

Słyszałam jego świszczący oddech i przeszło mi przez myśl, że jeśli jest tak wykończony nerwowo, może strzelić zupełnie bezmyślnie. Ale nie zrobił tego. Zaklął tylko ponownie i przysunął się do mnie, aż przez płaszcz poczułam coś twardego, napierającego na moje ciało. To coś trochę drżało.

— Nie żartuję — warknął ochryple. — Załatwię cię, ty... Mówię ci, hamuj, bo rozwalę ci bebechy i sam spróbuję go zatrzymać!

Mieliśmy teraz przed sobą długi prosty kawałek drogi. Mocno nacisnęłam pedał prawą stopą i mercedes pomknął naprzód z narastającym piskiem. Wskazówka gwałtownie odchyliła się w prawo i tam już została.

— Masz spore szanse — zadrwiłam — toteż nie żałuj sobie. W końcu to samochód Kramera; swoją drogą musi być skończonym durniem, skoro ci go pożyczył wiedząc, jaki z ciebie marny kierowca.

Pistolet drgnął. Słyszałam jego nierówny oddech.

— Jeśli będziesz mnie tym łaskotał przy tej szybkości — dodałam — nie odpowiadam za skutki.

Broń cofnęła się. Droga przed nami zakręcała, toteż uniosłam

niecio stopę. Przez ryk silnika, pędzącego z nadmierną szybkością, usłyszałam, że Véry znowu klnie.

— ...gdybym się domyślił, że wiesz, ty... Gdybym tylko na to wpadł — wycedził przez zęby, po czym opowiedział mi, co chciałby ze mną zrobić.

Mówił po francusku, a do tego rynsztokową francuszczyzną, tak że niewiele z tego rozumiałam, ale musiałam jakoś powstrzymać ten potok wymowy, by nie odwracał mojej uwagi od jazdy.

Przebiegłam strumień plugastw.

— Ależ to oczywiste, że wiedziałam, *monsieur*.

— Skąd? — rzucił natychmiast.

Mój głos ociekał pogardą jak sopel wodą.

— Czy naprawdę wyobraża pan sobie, że pozwoliłabym się tak maltretować dlatego, że mi się to spodobało? Drogi panie Véry, jako kochanek z trudem przeszedł pan pierwszą próbę.

Wtedy zwałił się na mnie. Za daleko się posunęłam w smaganiu jego cennej miłości własnej. Myślałam, że chce mnie zastrzeżić bez względu na konsekwencje, lecz on jak oszalały padł na kierownicę. Sądziłam, że już ją pochwycił i oboje stoczymy się ze skały, lecz omsknął się i upadł mi na podolek, kurczowo łapiąc mnie za nogi.

Szarpnęłam kierownicą, z całej siły nacisnęłam hamulec i wprowadziłam tylne koła w poślizg po lewej stronie szosy. Véry'ego cisnęło na bok.

— Ręce proszę trzymać przy sobie — powiedziałam głosem nieco zdyszczanym i wyprostowałam bieg mercedesa.

Véry nie odpowiedział. Nadal leżał oparty o drzwi z prawej, hałaśliwie łapiąc oddech ustami. Z tyłu nieszczęsny Rommel skomlał ze strachu. Zaczęłam się zastanawiać, czy tak niszczone i szarpane opony długo jeszcze wytrzymają.

W tej właśnie chwili wjechaliśmy z rykiem na rozwidlenie dróg.

Pierwsze odgałęzienie na prawo. Niedaleko. Dopiero teraz rzuciłam okiem na Paula Véry'ego. Wyglądał wstrząsająco.

Był tak zmaltretowany i sponiewierany, że więcej jego nerwy

chyba już nie wytrzymają. Zniknął gdzieś nieskazitelny Francuz z Tistet-Védène, zniknął Don Juan o aksamitnym głosie, bohater śródziemnomorskiej nocy, pojawił się skulony facio o trzęsących się rękach i twarzy ociekającej potem. Nic, nawet strach nie mógł pozbawić Paula Véry'ego jego niezwyklej urody, lecz nagle, na moich oczach, nabrała ona wulgarności. Człowiek, który tu siedział, wpatrując się z obłędnym przerażeniem w drogę, mógł być urodzić się w pierwszym lepszym paryskim rynsztoku.

Nie przytłaczał już swą osobowością. Potęga i znajomość świata, które wydawały się istotą tego człowieka, zniknęły; porażka — porażka z ręki kobiety — strąciła go z wyniosłości, na którą sztucznie się wywindował. Lecz nadal był niebezpieczny. Groźba nie zniknęła, a tylko uległa jakościowej zmianie. Miast potężnego, pozbawionego skrupułów kata miałam teraz do czynienia z podłym i nieobliczalnym zbirzem.

Co więcej — pomyślałam — głupim zbirzem. Tylko skończony dureń, wiedząc, jak dalece jestem zorientowana w sytuacji, rozmawiałby ze mną w ten sposób, podjąłby takie ryzyko, by na chwilę zaspokoić swą próżność. Nagle uderzyło mnie całe znaczenie ostatniej wymiany zdań z Kramerem — tylko głupiec, i to zarozumiały głupiec, zapomniałby lub udawał, że zapomniał, podobnej informacji w takiej chwili. Paul Véry był tylko narzędziem i do pewnego momentu, poręcznym narzędziem. Lecz gdy tylko zaczynał działać na własną rękę, zupełnie się zatracił.

Te myśli, przemykające mi przez głowę w owej krótkiej chwili, nim się odwróciłam, by spojrzeć na drogę, skutecznie położyły kres wszelkim moim dalszym próbom dręczenia Paula Véry'ego. Usiłując wyprowadzić go z równowagi, nie zdawałam sobie sprawy, na jak wielkie ryzyko się narażam. Był tak głupi, że w momencie ślepej furii mógłby strzelić do mnie, gdy prowadzę rozpedzony samochód. Dowiódł tego ostatni incydent, kiedy, rozwścieczony moimi drwinami, rzucił się na kierownicę. Gdyby w owej chwili trzymał broń...

Serce podskoczyło mi w piersi, po czym rozerwało się ohydnie, wlewając w żyły krew tak chłodną, że zdrętwiały mi koniuszki palców.

Gdyby miał broń.

W wyobraźni ponownie usłyszałam jego głos, tak jak dobiegł do mnie z biura Kramera: „Rzuć mi płaszcz”. Czy mówiłby tak niedbale, gdyby miał w kieszeni pistolet? Pamiętam, jak stał koło dystrybutorów w Marsylii: ciemnowłosa i przystojny, w dobrze skrojonym garniturze. Wystająca kieszeń nie psuła kroju płaszcza...

Unosząc nieco stopę, rzuciłam spojrzenie na pasażera. Oczy utkwione miał w szosę.

Ostrożnie zdjęłam lewą rękę z kierownicy i z westchnieniem, które było modlitwą, pomacałam dookoła. W drzwiach była skrytka. Wsunęłam tam dłoń.

Zimna, śmiercionośna i nieopisanie podnosząca na duchu kolba pistoletu wślizgnęła mi się do ręki.

W tym momencie, niczym wielkie, szare chmury, kłębiące się na końcu światła, które rzucały nasze reflektory, ujrzałam rozłożyste pinie.

ROZDZIAŁ XXVI

Umrzemy, wszyscy troje
(Szekspir)

Błyskawicznie zgasila długie światła, lecz Paul Véry dostrzegł kępę drzew. Widziałam, jak sztywnieje i wyciąga szyję niczym drapieżny ptak.

Pozostało mi tylko jedno. Muszę pojechać prosto za zakręt, pozbyć się jakoś mojego towarzysza gdzieś w tamtej okolicy, po czym wrócić, by rozprawić się już z samym André. Dziwne, że w ogóle nie przyszło mi do głowy, by zastrzelić Paula Véry'ego — a może to nie takie dziwne, zważywszy, że nigdy nie miałam broni w ręku.

— Słuchaj no — powiedziałam nagle. Dojechaliśmy już prawie na miejsce. Pinie rosły z dala od drogi, tworząc gaj, ogromny niczym namiot. — Muszę...

Ale było za późno. Akurat gdy się odezwałam, drzewo na skraju zasumiało nad samochodem, zasłaniając gwiazdy, a nasze przyćmione światła wyłowiły zarys furgonetki, zaparkowanej na ubitej ziemi nieco przed nami oraz sylwetkę człowieka, stojącego przed samochodem. André, który nie był zbyt rozgarnięty, zaparkował w widocznym miejscu.

— *André! Ici Jean! Au secours!*

Włączyłam wszystkie reflektory i nacisnęłam pedał gazu. Wystrzelił snop światła, wyłapując mężczyznę, wybiegającego pod osłoną pinii.

Był to Marsden. W ręku trzymał rewolwer.

— *A moi! André!* — krzyknął Paul Véry.

Pochyliwszy się, w połowie wysunął się już z samochodu.

Marsden dotarł do skraju drogi. Wybiegł na szosę. Przyłożyłam pięść do klaksonu, a stopą z całej siły wbiłam się w podłogę i, ze spazmem nieopisanego przerażenia, prowadziłam tę tonę morderczego, piszczącego metalu wprost na niego.

Ujrzałam, że podskoczył, a przynajmniej tak mi się wydawało, lecz przez kilka następnych sekund widziałam wszystko jak przez przerażającą mgłę. Pamiętam twarz Marsdena, białą w oślepiającym świetle, usta niczym ziejąca pustką dziura. Krzyczał. Błysnął szkarłatem sztych płomienia, potem następny. Za moment samochód w coś uderzył i cały świat fiknął koziołka, po czym poszybował w górę i wybuchnął w poślizgu. Wydawało się, że mercedes stanął dęba w powietrzu, a jego reflektory zatoczyły na niebie zawrotny łuk. Zgasły zaraz i ciemność przygniotła nas, jak przygnięta się robaka. Kurczowo trzymając kierownicę, która szarpała jak szalona, w zaślepieniu, półprzytomna, jak automat walczyłam z samochodem. Przez chwilę myślałam, że już mam go w ręce, gdy niespodziewanie wszedł w ostry zakręt. Noc rozdarła się, zatoczyła, zawisała w powietrzu na milion lat, po czym rozprysnęła się w odłamkach płomienia. Zapadła cisza, przerywana tylko cichym brzękiem opadającego szkła.

Usłyszałam krzyk i tupot nóg. Drzwi mercedesa rozwarły się gwałtownie i czyjeś ręce wyciągnęły mnie z mroku.

W uszach miałam ogłuszający hałas. Noc, gwiazdy, wirowały mi nad głową, spadając w ogromny, zwężający się lej. Skądś, z głębi żyroskopu, dobiegł mnie szorstki okrzyk, potem znowu wołanie — głosy, nagłące, ostre, przepełnione czymś, co wyrażało chyba strach. Ręce przesuwwały się po mnie, poklepywały, badały. Ktoś podtrzymywał mi głowę i wlewał między zęby jakiś płyn.

Zakrztusiłam się, złapałam oddech, drgnęłam, a wirujący wszechświat zwalniał z furkotem, aż wreszcie znieruchomiał, nabierając wyraźnych zarysów. Gwiazdy stanęły w miejscu i wisiały, lekko tylko drżąc, na bladym całunie niebios. Prócz mnie w

samochodzie znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden podtrzymywał mnie, drugi pochylał się nade mną, przyglądając mi się w ciemności. Miałam przed sobą niewyraźną, bladą plamę jego twarzy; był to Marsden. Przede wszystkim ogarnęła mnie fala ogromnej ulgi — więc jednak go nie zabiłam. Następnie zaczęłam nieporadnie wyrywać się z podtrzymujących mnie ramion.

— Mam broń — rzekłam ostro.

O dziwo, ktoś się roześmiał, a uścisk się zacieśnił.

— Leż spokojnie, ty połykaczko ognia. Dość już narozrabiałaś jak na jedną noc.

Odwrociłam głowę i mrugałam w osłupieniu.

— Richardzie! Ależ... ależ ty leżysz związany w furgonetce. Miałam zamiar cię uratować.

Znowu się roześmiał, nieco drżącym śmiechem.

— Wiem, kochanie. Ale nie musiałaś przy okazji przejeżdżać policjanta.

— Policjanta?

Marsden wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu.

— Absolutnie nieoficjalnie. Ale jestem przedstawicielem Scotland Yardu!

— Strasznie mi przykro — wyjąkałam słabym głosem. — Myślałam, że to André. A w każdym razie, że jest pan jednym z nich. No i strzelał pan do mnie, zgadza się?

— Obaj strzelaliśmy — odparł Marsden ponuro. — Wiedziałem, że to samochód Kramera, więc pomyślałem, że mnie zobaczył i chce uciec.

— Ale wzywał pomocy.

— Mój francuski nie jest zbyt dobry — rzekł Marsden po prostu. — Zresztą i tak go nie słyszałem. Nie miałem wiele czasu do namysłu.

— Możesz się poruszać, Charity? — odezwał się Richard. — Lepiej wyjdź z samochodu. Stoi dość niepewnie, mówiąc najogólniej.

Oswobodziłam się z jego ramion i ostrożnie obmacałam ręce i nogi.

— Chyba nic mi nie jest.

Z pomocą obu mężczyzn wygramoliłam się z mercedesa. Mój wzrok przywykł już do ciemności, toteż widziałam dość wyraźnie w świetle gwiazd. Samochód płynnie zsunął się z szosy i wylądował parę jardów na drodze po prawej, ustawiając się naprzeciwko szosy, którą przyjechałam. Stał, elegancko, na poboczu od strony morza i przez chwilę nie wiedziałam, o co Richardowi chodzi. Po chwili zrozumiałam. Noc zachwiała się niebezpiecznie i byłam zadowolona, że podtrzymuje mnie ramię Richarda. Skraj drogi stanowił zarazem skraj skały. Jard za bliższymi mnie kołami samochodu grunt opadał wprost do morza, trzysta stóp w dół.

— Miałam trochę szczęścia, co? — mruknęłam drżącym głosem. — W co uderzyliśmy?

— W nic. Marsden trafił w którąś z przednich opon. Dwa razy się obróciłaś i zjechałaś tyłem aż tutaj. Nawet blacha się nie wgniotła. Poszedł tylko przedni reflektor. To moje dzieło.

Odgarnęłam włosy z czoła i głęboko zaczerpnęłam rześkiego, nocnego powietrza. Świat wokół mnie stanął w miejscu i czułam się dużo normalniej. Richard i Marsden delikatnie nalegali, bym przeszła na drugą stronę drogi, pod osłonę drzew.

— Zdaje się, że była tu niezła strzelanina — powiedziałam, po czym nagle wróciła mi pamięć. — David! — krzyknęłam. — Gdzie jest David?

— Z nim wszystko dobrze. Przenieśliśmy go z niebezpiecznej strefy, śpi w rowie jakieś sto jardów stąd.

— A... a Paul Véry?

— Żyje — odparł ponuro Marsden. — Stracił przytomność i oczywiście nie mamy pojęcia, jakich doznał obrażeń. Jeszcze go nie obejrzałem. Nie wyglądał zbyt dobrze. Byron wyciągnął go z samochodu i położył z tyłu. Za chwilę pójde mu się przyjrzeć.

— Dobrze — rzekł Richard — ale może lepiej, żeby Charity szybko zorientowała nas w sytuacji, zanim coś znowu zacznie się dziać. Co robiłaś z tym człowiekiem w samochodzie Kramera? I gdzie jest Kramer? Marsden mówił, że miał jechać za furgonetką.

— Kramer zaraz tu będzie — wyjaśniłam. — Jadą z Loraine twoim samochodem. Mieli go zrzucić ze skały z tobą i Davidem w środku.

— Aha, moim samochodem? — Jego głos miał twarde brzmienie. — Powinniśmy byli o tym pomyśleć, Marsden. I przypuszczam, że ten drań, którego właśnie rozłożyłem, to prawdziwy mąż Loraine?

— Zgadza się.

— Człowiek, który zamordował Tony'ego i uderzył Davida...

Miał bardzo nieprzyjemny wyraz twarzy. Ale gdy dotarliśmy pod osłonę drzew, gdzie znowu się do mnie odezwał, rysy mu złagodniały.

— Na pewno nic ci nie jest?

Kazał mi usiąść za olbrzymim drzewem o podwójnym pniu, gdzie od drogi zasłaniała mnie furgonetka.

— Absolutnie nic. Nie martw się o mnie. Idź i... och! — Zakryłam ręką usta.

— Rommel! — odezwałam się, przerażona.

— Co takiego? — Z głosu Richarda można było się zorientować, że zupełnie nie wie, o co chodzi.

— Rommel, pies. Siedział z tyłu.

— Z tyłu nie znalazłem żadnego psa.

— Ależ musiał być...

— Zapewniam cię, że nie trafiłem na najmniejszy ślad psa.

Wstałam, opierając się o pień drzewa.

— Musiało go wyrzucić. Pewnie tu gdzieś leży. Może się poranił...

Richard podtrzymał mnie.

— Zaraz się rozejrzemy. Ale teraz usiądź. Napij się trochę koniaku.

— Nie, dziękuję.

— Daj spokój, rób, co ci mówię.

Usłuchałam.

— Poświęcasz mnóstwo czasu na wlewanie mi do gardła alkoholu, Richardzie.

Zakorkował butelkę i postawił ją obok mnie.

— Dużo bardziej martwisz się o tego psa niż o swego przyjaciela Paula.

— To pies Davida. A poza tym Paul Véry przejechał królika — dodałam, jakby to wszystko tłumaczyło.

— Co... — zaczął Richard, po czym powściągnął się i powiedział szybko: — Słuchaj. Czy tylko Loraine i Kramer nadjeżdżają moim samochodem?

— O ile wiem, to tak.

— Kiedy mniej więcej mogą tu być?

— Nie mam pojęcia. Kramer musiał najpierw pójść po niego do garażu.

— Ach tak... garaż jest niedaleko. Zdaje mi się, że jechaliście szybko?

— Owszem, dość szybko. Zatrzymaliśmy się tylko raz, na jakieś pięć minut.

— Tak? A po co?

— Drobne czułości — wyjaśniłam bez śladu emocji.

— Hm... rozumiem. — Milczał przez chwilę. — Naturalnie. To wtedy zamieniliście się miejscami?

— Właśnie. Ale Richardzie, powiedz mi, co się stało? Ten Marsden...

— Później. Słuchaj, sprawy tak się ułożyły, że mamy szansę na wygraną. Zatrzymają się, gdy zobaczą furgonetkę i mercedesa; my obaj z Marsdenem jesteśmy uzbrojeni i na naszą korzyść działa element zaskoczenia. Już wkrótce sprawa zostanie załatwiona.

— Co chcesz zrobić?

Zaśmiał się krótko.

— Nie mam pojęcia. W krytycznej chwili na pewno spłynie na mnie natchnienie.

— Gdzie jest pan Marsden?

— Poszedł rzucić okiem na naszego przyjaciela Paula... Słuchaj, czy to samochód?

Zastygliśmy i wyteżając słuch łowiliśmy niezliczone mnóstwo hałasów, dobiegających z nocnej ciszy. Doszedł mnie szept morza — nie sapiący, żalobny, narastający i słabnący smutek północnych przyprawów, lecz długi, szemrzący pomruk płynących do brzegu

wód. A nad głowami zawodziły pinie.

— Nie — odparłam cicho po chwili. — Nie słyszę samochodu.

Nasłuchiwał jeszcze chwilę z przechyloną głową, po czym odechnął, a wówczas ujrzałam wąły błysk broni, którą obrócił w rękę.

— W samochodzie był rewolwer — powiedziałam szybko. — Trzymałam go na kolanach, kiedy nami zarzuciło. Gdyby udało się go znaleźć, byłyby nas trójka.

— Nie — odparł beznamiętnie. — Nie byłyby. Pani zostanie poza linią ostrzału, właściwie w okopach. — Ujrzałam, jak unosi rękę i wskazuje gdzieś w głąb łądu. — Jakieś czterdzieści jardów za tymi drzewami jest skalisty brzeg, a za nim wyschnięty rów. Tam ukryłem Davida. Poczekaj razem z nim, z łaski swojej.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, lecz w tym momencie przerwał nam Marsden, niespodziewanie wynurzając się z ciemności.

— Dalej jest nieprzytomny — opowiadał szybko, półgłosem — ale chyba niczego sobie nie połamał. Na wszelki wypadek przenieśmy go tutaj i zwiążmy w furgonetce. Lepiej nie ryzykować, że go tam zobaczą i zorientują się, że coś jest nie tak. Mamy jakiś sznur?

— Wątpię. — Richard wstał i we dwóch podeszli do ciężarówki. — Chyba cały zużyliśmy.

Poczułam bezsensowną chęć, by się roześmiać.

— Na André?

— Mmm? — mruknął Marsden stłumionym głosem. Zdaje się, że grzebał w skrzynce z narzędziami. — André? Kto to taki?

— Kierowca furgonetki.

— Ach tak. Leży tam związany. Nic mu nie jest.

Z wnętrza furgonetki dobiegł mnie cichy głos Richarda:

— Niczego tu nie znalazłem. Charity, masz pasek przy płaszczu?

— Nie.

— Do diabła. — Bezgłośnie zeskoczył obok mnie na piniowe igliwie. — Nie uważacie, że zaczynają się tu wkradać elementy farsowe? Zbyt wielu złoczyńców. A za żadne skarby nie oddałbym paska od spodni.

— Wątpię, czy będzie sprawiał kłopot — rzekł Marsden — ale lepiej nie ryzykować. Mogą mieć hol w bagażniku. Idziesz, Byron? Przeniesiemy go tutaj.

— W porządku — odparł Richard. — Charity, jeśli usłyszysz samochód, idź do tego rowu i czekaj z Davidem, póki po was nie przyjdę.

— Dobrze, Richardzie — zgodziłam się potulnie. Lecz Marsden był twardszy.

— Znalazłem pistolet w mercedesie. Może dziewczyna...

— Nie — powtórzył stanowczo Richard, ucinając dyskusję. — Obaj usiłowaliśmy ją dziś ustrzelić, a Kramer może mieć większe szczęście.

— Pięknie powiedziane — odezwałam się, a Marsden wybuchnął śmiechem.

— Chodźmy.

Uszli ledwo dwa kroki, gdy zerwałam się na nogi i oparłam o drzewo, a cały mój wątył spokój ducha znowu legł w gruzach.

— Jada! — powiedziałam ochryple. — Słuchajcie!

Przez upiorne zawrozczenie sosen, przez tajemne tchnienie morza, usłyszeliśmy stłumiony, lecz niebudzący wątpliwości warkot silnika.

— A niech to szlag! — warknął cicho Marsden.

— Jada z pioruńską szybkością — zauważył Richard, wsłuchując się jeszcze przez chwilę. Serce biło mi tak mocno, że zaczynałam się dusić. — To mój samochód, bez dwóch zdań, niech to diabli... Proszę cię, Charity.

— Już idę.

Głos mi drżał, podobnie jak całe ciało. Musiałam zrezygnować z poczucia bezpieczeństwa, jakie dawał mi pień pini. Mglistość czułam obecność dwu mężczyzn, poruszających się niczym cienie pod osłoną furgonetki. Oddaliłam się od szosy i wbiegłam między

drzewa. Silnik bentleya przecinał ciszę coraz głośniejszym buczeniem, nagłym crescendo. Wydostałam się pomiędzy pini i przemykałam między krzewami, wyrosłymi na wysokość człowieka. Przede mną majaczyła ciemna ściana, którą mógł tworzyć skalisty brzeg. Bentley nadjeżdżał szybko, silnik bzyczał gniewnie niczym osa. Dotarłam do podnóża skalistego nawisu i przystanąłam. Nie byłam w stanie posuwać się dalej. Przypuszczam, że to opóźniona reakcja po szoku czy coś w tym rodzaju, w każdym razie tam utknęłam. Trzęsąc się jak galaretką i ociekając zimnym potem, wypatrywałam drogi między pniami.

Ujrzałam przesywający mrok blask reflektorów bentleya załagający na wierzchołku skały. Szum silnika wzmógł się nagle, gdy samochód brał zakręt pół mili dalej. W migających snopach światła rozłożyste pinie znowu poszybowały w górę niczym nawisłe chmury gradowe.

Reflektory zgasły, a bentley runął ku nam w wątlým blasku światel pozycyjnych, pewny siebie, groźny — tygrys skradający się, by zabić swą ofiarę. Dostrzegł rozłożyste pinie, usłyszałam, jak błyskawicznie zaczął hamować, wjeżdżając w ostatni odcinek drogi. W każdej chwili może dojrzeć furgonetkę i przystanąć. Brzęczenie bentleya stało się jeszcze donośniejsze. Szedł na nas, i to szybko. Zjechał na prawą stronę szosy.

Wówczas, nieoczekiwanie, noc rozdarł ryk innego silnika. Mercedesa.

Nie pamiętam, bym zrobiła choćby najmniejszy ruch, ale pewnie jak szalona pognałam ku drodze. Uzmysłowiłam sobie, że Paul Véry musiał się ocknąć, dobrnął jakoś do mercedesa i dawał ostrzeżenie.

Widziałam, jak bentley skręca na drogę, biegnącą skalną granią. Usłyszałam pisk jego hamulców. Mercedes, rycząc jak bombowiec, pomknął naprzód, po czym się zachybotał — to poszła mu przednia opona — a następnie wepchnął się całą mocą na drugą stronę szosy.

Bentley nie miał najmniejszych szans.

Dobiegł mnie krzyk, przeraźliwy wrzask, a potem z ohydny trzaskiem rozzdzieranego metalu i wizgotem opon samochodu

zderzyły się. Jakimś wstrętnym zrządzeniem losu siła uderzenia rozbiła przód bentleya, toteż, przez niekończącą się chwilę, gdy dwa auta zwały się w pędzącą masę metalu, jego reflektory wystrzeliły w górę niczym olbrzymie gejzery płomienia. Samochody zawisły, czarne na tle atramentowego nieba, zaklinowane na samym skraju tej straszliwej skały, a potem snop światła wygiął się w wielki, płonący łuk i szczipione ze sobą wozy opadły, niczym ciężarek pionu w szybie windy, wprost do morza.

Po tym potwornym zderzeniu — cisza, przerywana tylko prze-
rażliwymi echami, gdy morze, którego rytm został zakłócony, raz po raz omywało skałę i cofało się. Miałam wrażenie, że wzburzone fale całe wieki będą powtarzać swą straszliwą wędrówkę pod klif, lecz nareszcie opadły, a nad gładką powierzchnią morza znowu zaczęło unosić się ich dawne szeptanie.

Ostatnie chmury przepłynęły, rozdarły się, rozwiął je wiatr i nieskończenie czyste, nieskończenie łagodne światło księżyca białym blaskiem oblało rozkołysane wody.

ROZDZIAŁ XXVII

*O subtelny szatanie!
Któż zrozumie kobiety?
(Szekspir)*

David wciąż jeszcze spał. Poszłam, by go odnaleźć, zostawiając obu mężczyzn, którzy szukali drogi w dół klifu. Zaprowadzili furgonetkę na drugą stronę ścieżki i zapalili reflektory, ustawiając je przodem do morza. Szansa, że którekolwiek ze znajdujących się w samochodach trójki jeszcze żyje, nie sięgała nawet jednej milionowej, lecz nie mogliśmy odjechać, nie upewniwszy się co do tego ponad wszelką wątpliwość.

Z drżeniem pozostawiłam ich temu zadaniu i zawróciłam między drzewami, by poszukać Davida. Gdy wyłoniłam się na szczycie skalistego brzegu, przekonałam się, że w świetle księżyca wyraźnie widać ścieżkę. Poniżej rozciągał się rów, na który monochromatyczne światło rzucało ostre cienie. Pod skalnym występem i osłoną liści poruszyło się coś jeszcze ciemniejszego. Pospieszenie zsunęłam się na dół, gdzie napotkał mnie ów bezkształtny cień, który skomlał cicho i kręcił się w kółko, powściągając wybuchy radości.

— Rommel! — Przyklęklam w kurzu i przytuliłam go. — Och, Rommel, mało cię nie zabiłam, biedaku.

Rommel nie skąpił mi dowodów wielkodusznego, choć nieco wilgotnego przebaczenia, po czym, z pełnym podniecenia skowytaniem, pobiegł pod osłonę skały. Poszłam za nim.

David leżał skulony, owinięty płaszczem. Wyglądał bardzo

dziecinnie i wzruszająco, a firanka ciemnych rzęs na policzku do tego stopnia przypominała oprawę oczu Richarda, że poczułam tak silny przyływ wzruszenia, jakiego nigdy chyba dotąd nie doznałam. Znowu przyklęłam, tym razem obok chłopca, i dotknęłam jego rąk — były zimne. Przyłożyłam dłoń do jego policzka i z przerażeniem przekonałam się, że jest mokry, jakby od potu, lecz natychmiast Rommel, gorączkowo oblizując drugi policzek, naprowadził mnie na właściwą przyczynę. Odepchnęłam go.

— Spryciulek z ciebie, że go znalazłeś, ale zaczekaj chwilkę.

Przygarnęłam Davida do siebie i zaczęłam rozcierać zimne dłonie. Rommel, napierając na mnie drżącym ciałem, z ciekawością się temu przypatrywał.

Niebawem ciemne rzęsy drgnęły i uniosły się. Chłopiec zwrócił na mnie puste spojrzenie, a jego ręce, przykryte moimi, zadrżały lekko.

— Jak się masz, Davidzie — powiedziałam.

W szeroko rozwartych oczach pojawiły się iskierki.

— Pani Selborne?

— Tak. Jak się czujesz?

— Dość okropnie. — Delikatnie poruszył głową, po czym spojrział na oblany światłem księżycy brzeg, nad którym falowały ogromne pinie. — Gdzie ja jestem?

— Gdzieś na wschód od Marsylii. Ale nie przejmuj się. Już wszystko jest dobrze.

Znowu zwrócił na mnie wzrok, lecz nie mogłam wyczytać, co się w nim kryje. Poczułam, że trochę się ode mnie odsuwa.

— Teraz sobie przypominam... Marsylia. Skąd się pani tam wzięła?

Wówczas zrozumiałam. Ujęłam go za rękę.

— Davidzie, zapewniam cię, że wszystko się dobrze ułożyło. Możesz mi wierzyć, że nie jestem jedną z nich. Przyjechałam tu za tobą... To znaczy Rommel i ja...

— Rommel?

Słyszając to odwrócił się, a jego wzrok po raz pierwszy padł na

psa, który warując czekał, aż zostanie zauważony, a każdy włoszek aż drżał mu z radości.

— Znalazł cię zupełnie sam — powiedziałam. — Wytropił swojego pana aż tutaj.

— Och, Rommel — westchnął chłopiec, po czym wtulił głowę w sierść psa, otoczył rękami jego szyję i wybuchnął płaczem. Pozwoliłam mu wypłakać strach, samotność i niedowierzenie, a Rommel dawał mu pociechę, lecz niebawem łkania przeszły w czkawkę, a znad szyi Rommla dobiegł mnie zdecydowany głos: — Strasznie mnie mdli.

— Wcale się nie dziwię — stwierdziłam. — Ulżyj sobie. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Nieprzyjemny incydent nie trwał długo, David wrócił i usiadł obok mnie. Owinęłam go moim płaszczem i mocno przytuliłam. Zastanawiałam się, jak, na miłość boską, zacząć mu opowiadać o Richardzie.

— Łyknij kropelkę tego, dobrze ci zrobi.

— A co to jest?

Była to piersiówka Richarda.

— Brandy.

— Och! — Był najwyraźniej zadowolony. — Prawdziwa brandy?... Fúj, to wstrętne!

— Wiem, ale gdy spłynie trochę dalej, zaczyna lepiej smakować. Łyknij jeszcze trochę.

— Nie, dziękuję. Już się dobrze czuję, tylko chce mi się jeść.

— Boże drogi!

— A właściwie co tu robimy? Co się stało? Muszę się dowiedzieć. Czy my...

— Nie wszystko naraz. Czekamy tu na... jakiś środek komunikacji z powrotem do Marsylii.

— Do Marsylii? Do tego sklepu? — zapytał pospiesznie, z lekkiem. — Nie chcę...

— Nie do sklepu — odparłam uspokajająco. — To już minęło. Właściciel nie będzie więcej nikomu bruździł. Powiesz mi, co tam się stało, czy wolałbyś o tym nie mówić?

— Mało co pamiętam. Zniosłem bransoletkę, a on popatrzył

na nią i spytał, skąd ją mam. Tak mi się dziwnie przypatrywał, jakby mnie posądzał, że ją komuś zwinąłem, więc wymyśliłem jakieś kłamstwa. Miałem wrażenie, że go przekonałem, bo zaprosił mnie do biura. Podszedł do szuflady, więc pomyślałem, że chce wyjąć pieniądze. Ale gdy się odwrócił, trzymał ręcznik czy coś takiego. Nie... nie pamiętam, co się potem stało.

— To był chyba chloroform. — Ciągle jeszcze dawało się wy czuć ohydny, słodkawy zapach. Kramer musiał od razu rozpoznać Davida. Najprawdopodobniej Loraine zadzwoniła do swego mo-
codawcy, gdy tylko David zniknął i opowiedziała mu o bransolet-
ce. Przytuliłam chłopca mocniej do siebie. — We Francji jest tyle sklepów, dlaczego wybrałaś akurat ten?

— Nie miałem pieniędzy — odparł David — i nie znalazłem nic innego prócz tej diabelnej bransoletki. Pomyślałem, że Marsy-
lia jest jedyną miejscowością w okolicy, gdzie mógłbym sprzedać
coś takiego bez zbędnych pytań, więc pojechałem tam autosto-
pem. Zajęło mi to całe wieki. Zaniósłem bransoletkę w kilka
miejsc, ale nie chcieli jej kupić. W końcu jeden facet skierował
mnie do tego sklepu. Powiedział, że właściciel handluje srebrem,
więc najprawdopodobniej będzie zainteresowany. — Wzdrygnął
się i ukrył głowę na moim ramieniu.

— A co chciałeś zrobić po otrzymaniu pieniędzy?

— Najęść się — odparł natychmiast z naciskiem.

Spojrzałam na niego.

— Nieszczęsne stworzenie! Czy to znaczy, że przez cały dzień
nie miałeś nic w ustach?

— Jadłem drugie śniadanie z jakimiś kierowcami ciężarówek,
ale potem już nic.

— O Boże! Miałam trochę czekolady w torebce, ale gdzieś mi
się zapodziała. Jedyna pociecha w tym, że gdyby zaaplikowano ci
chloroform po porządnym posiłku, czułbyś się o wiele gorzej. Ale
chyba już niedługo będziesz mógł coś przekąsić. — Uniosłam
głowę, nasłuchując, ale moich uszu dobiegły tylko westchnienia
pinii. — A jak już byś się najadł, co miałeś zamiar robić potem?

- Chciałem wrócić do Nîmes, poszukać taty.
Byłam zaskoczona i okazałam to.
- Poszukać swego ojca?
- Spojrzał na mnie, nieco zawstydzony.
- Tak. Właściwie postanowiłem jechać, bo pani opuściła hotel.
- Nie rozumiem.
- Tego dnia w Nîmes... pamięta pani... gdy uciekaliśmy od ojca, powiedziałem, że się go boję... no więc to nie była prawda.
Zacząłem porządkować myśli.
- Czyli że nigdy naprawdę nie wierzyłeś w to, że stracił zmysły? W gruncie rzeczy nigdy się go nie bałeś?
- Oczywiście, że nie — odparł z pogardą. — Bać się go? Nigdy w życiu się go nie bałem!
- Więc wytłumacz mi to, na miłość boską! — poprosiłam bezradnie. — Nie mogę się w tym wszystkim połąpać. Powiedziałeś, że nie chcesz się z nim spotkać, że to sprawa życia i śmierci i że jest szalony. I wyglądałeś na przestraszonego, byłeś obłądnie przerażony. O co tu chodzi?
- Bałem się — odparł ponuro — strasznie się bałem, ale nie jego, lecz o niego. Spróbuję to pani wytłumaczyć... Może po prostu zacznę od samego początku?
- Bardzo proszę.
- Zaczął mówić wyraźnym głosem, absolutnie pozbawionym emocji. Z mieszanymi uczuciami słuchałam tej samej, potwornej historii, opowiedzianej po dziecinnemu. W niczym, prócz punktu widzenia, nie różniła się od wersji Richarda.
- ...Kiedy się dowiedziałem, że go zwolnili, byłem pewien, że od razu przyjedzie do Deepings. Ale nie przyjechał.
- Czekałem i czekałem, a potem policja zatelefonowała do pani Hutchings... to znaczy do gospodyni... że tata miał wypadek i że jest ciężko ranny. Powiedzieli, że zabrali go do szpitala. Naturalnie chciałem go zobaczyć, ale mówili, że jest nieprzytomny i że muszę poczekać. A jakiś czas potem ona przyjechała.
- Ton jego głosu nie zmienił się, lecz nagle uświadomiłam sobie,

że kryje się w nim zimna nienawiść. Słuchając dalszego ciągu doszłam do wniosku, że opowieść Davida jest bardziej przerażająca niż historia Richarda.

— Przyszła do mojego pokoju. Nie spałem, oczywiście. Powiedziała mi, że była w szpitalu. Starła się to wyrazić jak najdelikatniej, ale... oświadczyła mi, że tata umarł. Co pani mówi?

— Nic. Opowiadaj dalej. Powiedziała ci, że twój ojciec nie żyje?

— Przekonywała mnie też, że nie mam po co chodzić do szpitala, i tak nie będę mógł go zobaczyć, bo został strasznie poparzony. Rzecz jasna — powiedział David z buzią wtuloną gdzieś w pobliże prawego ucha Rommla — tak naprawdę to wcale się nad tym nie zastanawiałem. Nie chciałem z nią jechać, ale nie mogłem zostać wtedy w Deepings, a zresztą, co miałem zrobić? Tata nie żył, a ona była moją macochą, więc właściwie uważałem, że muszę robić to, co mi każe. Niewiele można zdziałać, gdy jest się tylko chłopcem, a poza tym wtedy nie byłem przyzwyczajony do samodzielnego myślenia. Teraz już tak.

— Wiem — przyświadczyłam gorzko.

— Wynajęła mieszkanie koło Bois i tam się zatrzymaliśmy. Uważałem wtedy, że zachowuje się wobec mnie całkiem przyzwoicie, a ja czułem się tak strasznie nieszczęśliwy, że zupełnie mnie nie obchodziło, co się dzieje dookoła. Po prostu snułem się, okropnie przygnębiony. Któregoś dnia znalazłem w Bois Rommla z puszką przytwierdzoną do ogona. Z nim było mi rażniej.

— A co było potem? — spytałam głosem dość ponurym.

— Jakies trzy tygodnie temu powiedziała mi, że tata jednak żyje.

— A jak, na miłość boską, wytłumaczyła kłamstwo na temat jego śmierci?

— Powiedziała, że zrobiła to ze względu na mnie. — Szare oczy, które przez chwilę spotkały się z moimi, były kompletnie pozbawione wyrazu. — Powiedziała, że wedle świadectwa lekarskiego, tata usiłował popełnić samobójstwo.

— Davidzie!

— Owszem. Dawała mi, naturalnie, do zrozumienia, że popełnił to straszliwe morderstwo i że to go gryzło. Trzeba przyznać — dodał David, rozkładając ręce — że starała się mnie oszczędzać. Powiedziała, że od pewnego czasu robił się coraz dziwniejszy i że musiał zabić wujka Tony'ego... i ogłuszyć mnie... w czasie chwilo-owego zaniku świadomości. Przepisała to... czy tak się mówi?

— Przypisała.

— Aha. Przypisała to strasliwym przeżyciom w czasie wojny: Dlaczego się pani śmieje?

— Kryje się w tym pewna ironia — odparłam — ale w tej chwili to nie ma znaczenia.

— W każdym razie tak mi naopowiadała. Że ma źle w głowie i jest groźny, więc usunęła mnie z miejsca zagrożenia.

— Uwierzyłeś w to?

— Nie, wiedziałem, że jest przy zdrowych zmysłach, że nie zabił wujka Tony'ego i oczywiście byłem pewny, że mnie nie uderzył. Byłem absolutnie przekonany, że nie chciał rozbić się samochodem, by popełnić samobójstwo, bo zadzwonił do mnie po wyjściu z sądu i powiedział, że jedzie prosto do domu.

— Powiedziałeś jej o tym?

— Nie. — Popatrzył na mnie. — Nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć, pani Selborne, ale miałem coraz silniejsze wrażenie, że powinienem trzymać język za zębami. W tym wszystkim było coś... coś dziwnego i złowrogiego. Niektóre jej słowa, sposób, w jaki czasami na mnie patrzyła... a przede wszystkim to, że zabrała mnie ze sobą, choć z pewnością mnie nie lubiła... mnóstwo rzeczy było dla mnie niepojętych. A teraz cała ta gadka o ojcu... Byłem pewien, że ona również nie uważa go za wariata. I oczywiście to kłamstwo o jego śmierci jest niewybaczalne. — Urwał.

— Dlaczego nie napisałeś do ojca? To z pewnością...

— Jasne, że pierwsza rzecz o tym pomyślałem. Ale krył się w tym haczyk, pani Selborne. W mieszkaniu pod nami siedziało

dwóch facetów. Mówili, że są jej kuzynami i cały czas spędzali z nami. Nie miałem ani chwili dla siebie. Nie udało mi się napisać listu tak, żeby o tym nie wiedzieli i go nie przeczytali. Co więcej, miałem wrażenie, że ona chce, żebym taki list napisał, więc tym bardziej dawało mi to do myślenia.

— Chciała, żebyś go namówił, by cię odwiedził?

— Właśnie. — Jego głos był wątlym echem głosu Richarda. — Powiedziała, że nie może pozwolić mi na powrót do Anglii, póki się nie przekonamy, w jakim stanie jest ojciec i zaproponowała, bym napisał do niego i poprosił go o przyjazd do Francji. Z pewnością przeczytałaby list, nie miałem najmniejszych szans napisać, jak wygląda sytuacja, ani zapytać, co się z nim naprawdę dzieło. Ciągłe mnie namawiała, by go zaprosić, a robiła to tak nachalnie, że stałem się podejrzliwy i po prostu odmówiłem. Udawałem, że wierzę w jej opowieść o tym, że postradał zmysły i że boję się spotkania z nim. — Zachichotał bez śladu wesołości. — O rany! Ale była wściekła, że wyprowadziła się we własne sidła! Dobrze mówię? Jakoś to dziwnie brzmi.

— Chciałeś pewnie powiedzieć, że wpadła we własne sidła. Ale nieważne. Rozumiem, o co chodzi. Wiesz, w końcu sama do niego napisała.

Rzucił mi jeszcze jedno spojrzenie.

— Tak, wiem. Pewnego wieczoru zatelefonowałem do niego.

— Naprawdę? Ale...

— Nie zastałem go. Byłem... dość rozczarowany. Któregoś dnia udało mi się wymknąć i zadzwonić z mieszkania kuzynów, kiedy byli z nią. Odebrała pani Hutchings. Powiedziała, że ranniem tata otrzymał list z paryskim stemplem i że natychmiast wyjechał. Zapytałem, jak się czuje, i powiedziała mi, że dobrze, ale zamartwia się na śmierć, a zresztą i tak dopiero niedawno wyszedł ze szpitala... Kuzyni złapali mnie, gdy wracałem. Wymyśliłem jakieś kłamstwo, ale mi nie uwierzyli i potem już nigdy nie zostawiali mnie samego. Następnego ranka wszyscy pojechaliśmy

do Lyonu, a potem, etapami, tutaj. Nie mogłem się zorientować, o co chodzi, aż wreszcie zaświtało mi w głowie, że chcieli, by tata przyjechał tu, nie do Paryża. Tak sobie pomyślałem, że ciągle ma to coś wspólnego z tym morderstwem, i że zrobią tacie krzywdę.

— To pułapka — potwierdziłam. — Z tobą jako przynętą.

— Właśnie — powtórzył. — Dlatego nie chciałem kontaktować się z tatą tylko po to, by go zwabić, najpierw wołałem się upewnić, że nic mu nie grozi. Ciekawe, że kuzyni zostawili nas w Montélimar, a gdy byliśmy w Awinionie, pozwoliła mi chodzić samemu...

— Ależ nie — zaprzeczyłam, myśląc o Paulu Vérym. — Kto inny przejął „opiekę” nad tobą. Cały czas miałeś towarzystwo.

— Naprawdę? Więc słusznie zrobiłem, uciekając z Nîmes?

— Najprawdopodobniej.

Mówił powoli, nieświadomie odtwarzając oszołomienie ojca:

— To okropne, kiedy się nie wie, co robić ani czy ludzie są wrogami, czy przyjaciółmi. To tak — wzdrygnął się — jakby wszystko wywróciło się do góry nogami. — Znowu zadrżał.

— To już minęło — oznajmiłam stanowczo. — Jeśli ci zimno, okryj się moim płaszczem.

— Właściwie nie. Chciałbym wiedzieć, co się stało i skąd pani wie to wszystko. Czy musimy tu siedzieć? Ten „środek komunikacji”, o którym pani wspomniała...

— Już jest — powiedziałam i podniosłam się.

Usłyszałam, że kawałek dalej ktoś wspina się od brzegu.

David podskoczył, trochę przestraszony, a Rommel się najeżył.

— Kto...

Richard zsunął się ze zbocza i stanął w świetle księżycy, patrząc na syna. Zawahał się na moment, po czym wyciągnął rękę.

Dobiegł mnie tupot nóg i David rzucił się w księżycowe światło

niczym strzała, wystrzelona w złoto. Widziałam, że ojciec otacza go ramionami, ciemne głowy przywarły do siebie.

Minęłam ich szybko, a Marsden wyciągnął rękę, pomagając mi wspiąć się na brzeg.

Spojrzałam na niego pytająco.

Potrząsnął głową.

— Ani śladu — odparł cicho.

Przeszliśmy między drzewami do drogi, gdzie stała furgonetka, zwrócona w stronę Marsylii.

ROZDZIAŁ XXVIII

Dwie miłości mam...

(Szekspir)

Gdy się obudziłam, świeciło słońce, a wokół roznosił się smakowity aromat kawy. Wynurzając się z pokładów głębokiego, ciężkiego snu, ospale uniosłam powieki, po czym spojrzałam na białe ściany i czerwone płytki podłogi. Mgliście przypominałam sobie, że chyba już kiedyś byłam w tym pokoju. Przez zasuniętą żaluzję słońce kładło we wnętrzu promienne pasy, przez drugą, odsłoniętą, wpadał do środka potok złota. Z ulicy dochodziła szumna i zgiełkliwa muzyka miasta, stłumiona jakby jaskrawością światła.

Drzwi otworzyły się cicho, wpuszczając do pokoju więcej wybornego zapachu kawy, który mnie obudził. Odwróciłam głowę, po czym usiadłam, zupełnie rozbudzona.

— Louise!

Nieskazitelna jak zwykle, stała tuż przy drzwiach, przyglądając mi się z namysłem znad zastawionej tacy.

— A więc się obudziłaś? Nie przeszkadzam? Wydawało mi się, że już najwyższy czas...

— Och, Louise, jak miło cię widzieć! Skąd się tu wzięłaś? A właściwie która jest godzina?

Postawiła mi tacę na kolanach i poszła odsłonić żaluzję.

— Południe, dziecino.

— O Boże, naprawdę? — Nalałam kawy. — Kiedy przyjechałaś?

— Jakieś półtorej godziny temu, pierwszym pociągami. Mówiłaś,

że wpadłaś jak śliwka w kompot, a nie wzięłaś ze sobą żadnych ciuchów — dodała trzeźwo.

— Kochana — westchnęłam z wdzięcznością — naprawdę przywiozłaś mi ciuchy? Zawsze wiedziałam, że jesteś najcudowniejszą osobą na świecie.

Roześmiała się.

— Nie można wybrnąć z trudnej sytuacji, jeśli się nie jest odpowiednio ubranym. Jak się czujesz?

— Chyba dobrze. — Wyciągnęłam się delikatnie i poczułam ulgę. — Trochę zeszywniałam i mam parę siniaków, ale w sumie — uśmiechnęłam się do niej — fantastycznie.

— Mmmmm. — Louise zmierzyła mnie wzrokiem, przysuwając do łóżka chybotałiwe wiklinowe krzesło. — Taak. Ta upiorna wioska okazała się w sumie dosyć ciekawa. Co się z tobą działo?

Zachichotałam. Przełykając kęs *croissanta*, uzmysłowiłam sobie, że w sercu czuję wiosenną radość. Krew musowała mi jak szampan: koszmar skończył się, świeże poranne słońce wstało nad innym światem, w którym ostatnia pajęczyna lęku i niepewności musi skurczyć się i zniknąć w obfitości światła.

— Zostałam... przetłumaczona — rzekłam.

— No tak. To widać. Przypuszczam, że spotkałaś Wilka Orańskiego.

— We własnej osobie — odparłam, cała w skowronkach.

— Tak też myślałam — powiedziała głosem pozbawionym wszelkich emocji. — Zadzwonił mniej więcej przed półgodziną. Jeśli czujesz się na siłach, mamy się spotkać z nim na lunchu w Hôtel de la Garde. Kwadrans po pierwszej na tarasie. A teraz — rzekła Louise, sadowiąc się wygodnie na wiklinowym krześle i mierząc mnie spokojnym wzrokiem — umieram z ciekawości i domagam się, byś opowiedziała mi szczegółowo, co się zdarzyło, a zwłaszcza dlaczego ten Richard Byron, który jest ojcem Davida Bristola i którego tak czy tak uważałam za mordercę, dzwoni do ciebie w Marsylii i zaprasza cię na lunch. Dlaczego uważa za stosowne poinformować mnie, że ani on, ani pan Marsden nie trafili

jeszcze do więzienia oraz że Rommel ugryzł André w siedzenie, jak również żebym cię nie budziła? A potem powiada, żebym przyniosła ci kawę i dopilnowała, żebyś wzięła taksówkę, jadąc na lunch, jakby — zakończyła Louise tonem z lekka oskarżycielskim — znał cię całe życie, a nie... jak długo?

— Trzy dni... mniej więcej — odparłam szczerze zdumiona.

— Raczej mniej niż więcej — skomentowała Louise. — Powiedziałabym, że to dżentelmen dość apodyktyczny.

— Może trochę — z ogromnym skupieniem zamieszałam kawę.

— I to ci się podoba — powiedziała oskarżycielskim tonem.

— No cóż, przyzwyczałam się. Johnny...

— Wiem. Nic dziwnego, że ty ciągle wychodzisz za męża, a ja nie — rzekła Louise bez krzty urazy.

Zaczerwieniłam się i uśmiechnęłam z lekka.

— Tak się składa, że jeszcze mi się nie oświadczył.

Uniosła tylko wspaniale zarysowane brwi i podała mi papierosa.

— Daj spokój. Opowiedz mi wszystko.

— To długa historia...

— Mamy godzinę do spotkania z Wilkiem. Zacznij od początku, dojdź do końca, a potem przestań.

— ...i zupełnie nieprawdopodobna.

— Zamieniam się w słuch — westchnęła rozanielona Louise i rozsiadła się wygodnie.

A więc opowiedziałam jej, oparta na poduszkach w małym hotelowym pokoiku w Belle Auberge, gdzie ukośne promienie słońca kładły się pogodnie na koldrę, a dym z papierosów wił się między nami spokojną spiralą. Opowiedziałam o wszystkich zdarzeniach, tak jak mi się przytrafiały, a ona, podobnie jak Paul Véry, słuchała w milczeniu, wpatrując się we mnie z osłupieniem i niedowierzaniem.

— Cóż za zdumiewająca historia — rzekła wreszcie. — Nie wierzę oczywiście w ani jedno słowo, tyle że...

— No to zapytaj innych — poradziłam jej. — Pan Marsden powiedział...

Louise wyprostowała się.

— Właśnie! Tego już zupełnie nie rozumiem. Co do diabła robi John Marsden w tej *galère*?

Tym razem to ja uniosłam brwi.

— John?

— Gdy wyjechałaś z Les Boos — odparła spokojnie — poznaliśmy się bliżej.

— Niech mnie — westchnęłam — gdybym wiedziała, od razu przestałabym go podejrzewać.

— Wychodząc z założenia, że wszyscy moi przyjaciele okazują się albo harcerzykami, albo wikariuszami na wakacjach — przyznała Louise. — Byłam absolutnie wstrząśnięta, gdy się dowiedziałam, że to wielki detektyw. Marsden z wydziału zabójstw. Proszę, proszę. I jest bardzo miły, nawet jeśli rzeczywiście czyta poezję. Mów dalej. Opowiedział ci, skąd się wziął w tym strasznym miejscu na skale?

— Tak. W jego ustach brzmiało to bardzo prosto. Najwyraźniej zaczęło się od tego, że wiosną pomagał w śledztwie w sprawie morderstwa Tony'ego Baxtera. Jak się okazało, Richard zetknął się z nim parokrotnie, lecz nie pamiętał nazwiska Marsdena, gdy mu go opisywałam. Cóż, Marsdena przesunięto do pracy przy innej poważnej sprawie, lecz nadal interesował się zamordowaniem Tony'ego, a policjant, który je prowadził, inspektor Brooke, nie był zadowolony ze sposobu, w jaki śledztwo zostało zakończone. Sam doszedł do przekonania, że Richard tego nie zrobił, morderca zatem musi pozostawać na wolności, być może nadal działa, a motyw pozostał nieznanym. Tak zwany wypadek samochodowy Richarda porządnie nim wstrząsnął. Richard w szpitalu był bezpieczny, lecz Brooke zaczął się zastanawiać nad rolą Loraine, no i niepokoił się losem Davida.

— Przyzwoity facet.

— Bardzo. Marsden miał wyjechać na urlop i zaproponował, że nieoficjalnie będzie miał oko na Davida. Ma przyjaciół w

Sûreté, którzy zgodzili się z nim współdziałać, więc przyjechał do Francji, by odnaleźć chłopca.

— Aha — powiedziała Louise — to dlatego zniknął z Tistet-Védène, gdy David dał nogę.

— Właśnie. Widziałam, jak kręci się koło Davida, i przypisywałam mu złe motywy. Krótko mówiąc, udało mu się, mimo sporych trudności, iść śladami Davida na południe aż do Marsylii. Biedny dzieciak stracił cały dzień, nim się tam dostał, bo krył się przed każdym samochodem, a ciężarówek było mało i do tego jeździły wolno i z rzadka. Ale dotarł tam, a za nim Marsden, wykończony, lecz deptał mu po piętach. W końcu mały wylądował w tym cholernym sklepie Kramera.

Spojrzałam na zegarek.

— Zaraz będę się musiała zbierać... biednego Davida uśpili chloroformem, dość potężną dawką, podczas gdy Marsden czatował na zewnątrz, nie wiedząc, co się dzieje. Przypuszczam, że właśnie wtedy Kramer zadzwonił do Awinionu i powiedział Loraine, żeby zabrała się pierwszym pociągiem. Paul Véry musiał wyjść dużo wcześniej, nim...

— Owszem — rzekła Louise. — Pojechał samochodem tuż po lunchu, rzekomo, by poszukać Davida. To samo zrobiła para Amerykanów i tych dwóch Niemców. Ale Paul Véry nie wrócił na kolację.

— Bez wątpienia naprawdę szukał Davida — rzekłam — i pewnie minął chłopca, który ukrywał się w rowie. Być może zatelefonował później do Kramera i od niego dowiedział się, że złapali małego, albo też od razu tam przyjechał po rozkazy. W każdym razie Marsden powiada, że Véry dotarł tam na dobrą godzinę przed Loraine. Sama go widziałam w biurze, nim Loraine przyjechała taksówką. Marsden kręcił się w pobliżu, czekając, aż David wyjdzie, gdy przybył Paul Véry i wjechał do garażu naprzeciwko, jakby tam mieszkał całe życie. Marsden rozpoznał go i zaczął się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi, gdy Paul Véry wszedł do sklepu i ruszył prosto do biura. Marsden, podobnie jak ja, zaszedł od tyłu i podsłuchiwał pod oknem.

— To pewnie wtedy — rzekłam w zadumie — siedzieliśmy i rozmawialiśmy z Richardem o cztery ulice dalej...

— Do przybytku Kramera ciągnęła cała procesja — zauważyła Louise.

— Rzeczywiście — wzdrygnęłam się. — Marsden sporo usłyszał pod oknem. Zorientował się, że w biurze jest przynajmniej trzech mężczyzn: Kramer, Jean-Paul i André, więc gdy się dowiedział, co stało się z Davidem, niewiele mógł zdziałać. Zrozumiał z rozmowy, że chcą przenieść Davida, więc gdyby poszedł na policję, straciłby jego ślad. Tkwił więc pod sklepem, licząc, że może uda mu się jakoś przechwycić chłopca.

— Biedny John — rzekła Louise.

— Mówił, że to był koszmar — przyznałam. — Czekał i czekał, a oni gadali i gadali, a potem drzwi się otworzyły i wszedł Richard.

— Pewnie go замуrowało.

— Mogło, nie sądzisz? Richard, oczywiście, zapamiętał wyłącznie widok Davida, leżącego na kanapie. Chciał do niego podejść, ale wtedy tamci natychmiast ruszyli na Richarda. Marsden zza okna nic nie widział, ale usłyszał, jak Richard krzyknął po angielsku: „David!”, a potem nastąpiło straszne zamieszanie. Po chwili Kramer powiedział coś o „wsadzeniu ich obu do furgonetki”, więc Marsden wślizgnął się do garażu. Myślał, że wszyscy trzej pojedą furgonetką, a ponieważ za nic nie chciał ich tracić z oczu, wszedł do środka i ukrył się pod jakimiś workami. Ale oni wrzucili Richarda i Davida do samochodu, zamknęli drzwi, a Kramer kazał André pojechać do tego miejsca na wybrzeżu, zaparkować w jakimś niewidocznym miejscu i czekać na niego. Potem razem z Paulem Vérym czekali na Lorraine. Marsden był wściekły. Gdyby mógł wyjść, załatwiłby André na miejscu i zawiózł Richarda z Davidem na policję. Ale był uziemiony, więc przeczaił się, rozwiązał Richarda i starał się go ocucić.

Louise westchnęła z zadowoleniem.

— Więc gdy nieszczęsny André zatrzymał furgonetkę i poszedł, by wynieść ciała...

— Właśnie. Przyłożyli mu tak, że padł jak długi, związali i zabrali broń. Zdjęli mu nawet płaszcz, by owinąć nim Davida. Właściwie — powiedziałam — trochę mi żal André, bo Kramer twierdzi, że nie jest bardzo rozgarnięty.

Louise się roześmiała.

— A teraz Rommel go ugryzł. Biedny André.

Odrzuciłam koldrę i wstałam z łóżka.

— Chyba chciałaś powiedzieć: biedny Rommel. Przez co on przeszedł! David zostawił go przed sklepem i nieszczęsne stworzenie musiało czekać całe wieki. W końcu wyszedł na uliczki z drugiej strony domu i tam go znalazłam. Czy naprawdę przywiozłaś mi coś do ubrania?

— Jest w moim pokoju. Przyniosę ci, wcześniej nie chciałam cię budzić. — Wstając, uśmiechnęła się do mnie. — Jak to dobrze, że zabrałam najładniejszą sukienkę.

— Tę w meksykańskie wzory? — spytałam z wdzięcznością. — Najdroższa Louise, znowu będziesz moją druhną.

— Za nic w świecie — odparła. — To przynosi pecha, a poza tym i tak jestem za stara. Poczekam, aż zostanę chrzestną matką.

— To trochę przedwczesne spekulacje.

— No, myślę — odparła Louise, zмирzając do drzwi. Odwróciła się i znowu drwiąco uniosła brwi. — Ale ty też się w to bawisz, prawda?

— Ja?

— Tak. Jeszcze ci się nie oświadczył.

I cicho zamknęła za sobą drzwi.

Gdy wyjęłam sukienkę z walizki, którą przyniosła mi Louise, ujrzałam pod nią fotografię w srebrnej ramce. Uśmiechnęły się do mnie oczy Johnny'ego.

Ujęłam zdjęcie i wpatrzyłam się w ukazaną na nim twarz, a jednocześnie kątem oka uchwyciłam blednący siniak na przegubie.

Uśmiechnęłam się do Johnny'ego. Potem delikatnie przytknęłam siniak do policzka. Wszelkie wahania, jakie mnie nachodziły,

wszelkie wątpliwości, które umysł przeciwstawiał porywom serca, rozwiały się i zniknęły, gdy tylko ta upiorna przygoda dobiegła kresu. Przeszłość i przyszłość złączyły się w tym momencie i wspólnie utworzyły wzorzec mego życia w następnych latach. Już nigdy nie będę tęsknić za Johnnym, doznając tego dojmującego, tępego bólu, jakby wyrwano część mnie, a blizna drga z zimna. Lecz, paradoksalnie, teraz, gdy znowu jestem całością, Johnny jest mi bliższy, niż kiedykolwiek od chwili, gdy po raz ostatni byliśmy razem, w ostatnią noc przed jego odejściem. Znowu jestem całością, a Johnny pozostanie ze mną na zawsze, na zawsze będzie częścią mnie. Ponieważ znalazłam Richarda, nigdy nie stracę Johnny'ego. Wszystko, co wiem o życiu i miłości, było darem Johnny'ego, bez tego Richard i ja bylibyśmy ubożsi. Oboje jesteśmy jego dłużnikami, teraz i na zawsze.

Podniosłam fotografię i pocałowałam ją. Uczyniłam to po raz ostatni. Potem delikatnie odłożyłam ją do walizki i znowu wzięłam do ręki sukienkę.

Wkrótce otworzyłam drzwi, zawołałam Louise. Wyszłyśmy na oblaną słońcem ulicę, by spotkać się z Richardem.

ROZDZIAŁ XXIX

O bajajeczny dniu!

(Carroll)

Taras Hôtel de la Garde zawisa niemal nad brzegiem morza. Jest szeroki, obramowany białym kamieniem; przed słońcem chroni gości cień, który rzucają uroczym oficjalnym drzewka pomarańczowe w potężnych donicach, a bryza znad morza przynosi ożywczy chłód. Jaskrawo kolorowe łódki, szkarłatne, zielone i białe, bujają się nieco tylko niżej poziomu stolików, a *bouillabaisse* jest cudowne.

Tworzyliśmy dość wesołe towarzystwo. Richard i Marsden większą część nocy i poranka spędzili na policji, toteż obaj wyglądali na zmęczonych, lecz u Richarda dostrzegłam coś, czego nigdy przedtem u niego nie widziałam: był odprężony. Zniknął ostatni powód do zdenerwowania, toteż oczy, choć znużone, patrzyły jasno, a usta straciły zacięty wyraz. David natomiast był w nastroju do żartów, śmialiśmy się zatem, aż przyszła pora na kawę i papierosy.

Marsden wyjął fajkę, rozsiadł się na krześle i, zadowolony z życia, głęboko westchnął. On również przestał się denerwować, lecz przejawiało się to u niego mniejszym skupieniem, jakby na chwilę włożył swą inteligencję w wygodne kapcie. Zakończył służbę.

Wpatrywał się we mnie błękitnymi oczyma znad zapałki, którą zapalał fajkę. Nareszcie wszystko dobrze się ułożyło.

— Jeśli wolno zauważyć, pani Selborne — powiedział — po tej

całej przeprawie wygląda pani zdumiewająco dobrze. Jak się pani dziś czuje?

— Świetnie, dziękuję. Nie odniosłam żadnych obrażeń poza paroma siniakami. — Ujrzałam, że Richard uśmiechnął się ponuro i odwzajemniłam jego uśmiech. — Świadomość, że każdy wie, po czyjej jest stronie, działa bardzo uspokajająco.

— Z pewnością — przytaknął Marsden. Rzucił spojrzenie na Louise. — Oczywiście zapoznała pani Louise z sytuacją?

— Opowiedziała mi całą historię — odparła Louise — z wyjątkiem najważniejszego: powodów tej afery. Wszystko pozostaje w sferze domysłów. Dowiedział się pan, dlaczego Kramer wynajął tych dwóch, by popełnili morderstwa?

— Nasze domysły okazały się słuszne — powiedział Richard.

— Policja przeszukała dzisiaj lokal Kramera i znalazła mnóstwo dowodów. Teraz sprawa przedstawia się całkiem jasno.

— Opowiedz — poprosiłam.

— Spróbuję.

Stracił popiół z papierosa do morza, wpatrywał się przez chwilę w jego koniuszek, po czym zaczął mówić.

— Mielśmy rację — rzekł, patrząc na mnie. — Wszystko zaczęło się w ten cholerny styczniowy dzień czterdziestego czwartego roku, gdy Tony Baxter i ja po drodze do obozu jenieckiego byliśmy świadkami morderstwa, którego Kramer dokonał na Emmanuelu Bernsteinie. Przy okazji stwierdziliśmy też, że bierze udział w masowym mordowaniu Żydów. — Spojrzał na Louise. — Charity ci o tym opowiadała?

— Tak. Co za okropna historia! Nie dziwię się, że wyszedł pan z siebie i narobił hałasu.

Wzrok Richarda napotkał moje oczy.

— Czasem mi się to zdarza — przyznał. — To taka moja wada. Ale tym razem Tony też nie wytrzymał. Cieszę się z tego, bo inaczej, gdybym tylko ja zwrócił na siebie uwagę Kramera, spoczywałby na mnie ogromny ciężar winy za przyczynienie się do śmierci Tony'ego. W zaistniałej sytuacji... — twarz mu pociemniała

na chwilę, lecz dalej ciągnął normalnym tonem. — Wiecie już, co się stało, pozwolono nam odjechać, lecz Kramer zdążył zapamiętać nas, a pamięć miał doskonałą.

Urwał.

— Nie miałyby to oczywiście najmniejszego znaczenia, gdybyśmy nie byli powiązani w jeszcze inny sposób: obaj z Kramerem działaliśmy w tej samej branży: handlu antykami i obu nas szczególnie interesowało stare srebro. Gdy wojna się skończyła i w Norymberdze rozpoczęło się polowanie na nazistów, Kramerowi jakimś cudem udało się zniknąć. Wydostał się z Niemiec i pojawił we Francji jako austriacki uchodźca, Karel Werfel. Zdołał zbić niezłą fortunę w postaci kapitału oraz wyszabrowanych przedmiotów i niebawem świetnie mu się powodziło. Główną siedzibę miał w Paryżu, a filie w Lyonie i Marsylii. Powinienem chyba wspomnieć o tym, czego dowiedzieliśmy się dziś rano. Loraine była jego... — Wzrok Richarda padł na Davida, który, pochłonięty opowiadaniem, słuchał go z szeroko otwartymi oczyma. — Loraine była z Kramerem jakiś czas tuż po zakończeniu wojny. — Richard mówił z powagą, a w jego głosie dźwięczała nutka litości. — Miała paskudną przeszłość, podejrzewano ją o kolaborację oraz o przyczynienie się do zamordowania dwóch francuskich oficerów. Kramer pomógł jej uniknąć kary, lecz dowody zatrzymał dla siebie, dzięki czemu miał ją w garści.

Zdusił papierosa.

— Gdy Tony i ja znowu stanęliśmy mu na drodze, Max Kramer miał wiele do stracenia. Prowadził autentyczny, dochodowy interes, lecz działał też w innej, mocno nielegalnej branży, przynoszącej jeszcze większe zyski, dla której handel antykami był tylko parawanem. Jego prawdziwa główna kwatera mieściła się tu, w Marsylii. Nie jestem pewien, w jakie ciemne sprawy był zamieszany, lecz w tym momencie policja marsyjska przeżywa szczęśliwe chwile, zgarniając ludzi, których lista nazwisk znajdowała się w sejfie Kramera. Maczał palce chyba we wszystkich możliwych machlojkach: szmugiel, handel narkotykami i tak

dalej, lecz największa afera wyszła na światło dzienne, gdy przeszukano jego lokal. Znalaziono tam niepodważalne dowody na to, że był zamieszany w jakieś podziemne ruchy, mające obalić obecny rząd niemiecki i z powrotem zaprowadzić narodowy socjalizm.

— Chodzi ci o te neohitlerowskie bandy? Wilkołaki, czy jak się tam nazywają? — zapytała Louise.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział jej Marsden. — Jego oficjalna działalność, dzięki której nawiązał szerokie kontakty handlowe, z czym łączyła się konieczność częstych podróży zagranicznych, stanowiła znakomitą przykrywkę dla ośrodka rozgąłżonej organizacji. Policja przypuszcza teraz, że Kramer — czy też Werfel — stał za wieloma przypadkami zorganizowanego bandytyzmu, sabotażu i tym podobnej przestępczości, której dopuszczano się tuż po wojnie w Niemczech i północnej Francji. Mów dalej, Byron.

— Nagle w ten wygodny i dochodowy układ — podjął Richard — wkraczamy Tony i ja. W Paryżu odbyła się ogromna wyprzedaż kolekcji Lemaire'a, więc oczywiście się tam pojawiłem. Kramer, najwidoczniej, również się na niej zjawił i musiał nas zobaczyć, choć żaden z nas go nie zauważył. Ale zaczął niuchać i dowiedział się, że działałam w tej samej branży, a nawet mam biuro w Paryżu. Musieliśmy się spotkać. Gdyby któryś z nas go rozpoznał, cóż — zrobił wymowny gest — nawet jeśli uniknąłby rozprawy przed trybunałem wojennym, zostałyby przeprowadzone dochodzenie, a on nie mógł sobie pozwolić na żadne śledztwo. Byłby to koniec Karela Werfela.

— Że też David musiał pójść akurat do sklepu Kramera, żeby sprzedać bransoletkę! — westchnęła Louise. — Co za fatalny przypadek.

— Fatalny — zgodził się Richard — lecz jeśli się zastanowić, nie było to tak całkiem przypadkowe. Przez całą tę historię przewija się wątek handlu antykami: gdybyśmy wraz z Kramerem nie działali w tej samej branży, prawdopodobnie nigdy nie spotkalibyśmy się po wojnie, a z pewnością szanse na to, że zetknemy się

więcej niż raz byłyby absolutnie minimalne. Ale obu nas interesowało to samo, toteż musiał liczyć się z niebezpieczeństwem częstych kontaktów, a tego nie chciał ryzykować. Tak, *raison d'être* całej sprawy było „stare srebro”, a bransoletka bez wątpienia musiałaby stanowić ogniwo, łączące nas obu. Kupiłem ją dla Loraine, Loraine przywiozła ją, a także sprowadziła Davida i mnie do strefy wpływów Kramera. Skoro David usiłował sprzedać taką rzecz w tamtej okolicy, wieść o tym prędzej czy później musiałaby dojść do Kramera. I tak się właśnie stało: Davidowi poradzono, by zaniósł ją do niego do oszacowania. Nie, zbieg okoliczności polega na tym, że ujrzałem ją na wystawie jego sklepu, ale tu po prostu mu się poszczęściło. Miałem się zjawić w jego melinie prędzej czy później, trafić chciał, że zdarzyło się to prędzej.

— A w którym momencie pojawia się Paul Véry? — spytałam, gdy urwał na chwilę.

— Rejestr przestępstw ma długi na milę — powiedział radośnie Marsden — oraz z pół tuzina pseudonimów. Kramer miał w swoim sejfie tyle dowodów przeciw niemu, że starczyłoby dla kilku facetów na dożywotnie zesłanie na Diabelską Wyspę.

— Musiał obiecać, że wręczy papiery Loraine i Paulowi, gdy pozbędą się Richarda — wtrąciłam. — Słyszałam, jak im przyrzekał, że uwolnią się od niego, gdy robota zostanie zrobiona.

— Czy naprawdę była żoną Paula Véry'ego? — spytała Louise.

— Bez wątpienia. Pobrali się w czterdziestym drugim roku, a w następnym uznano go za zaginionego. Znajomość z Kramerem nawiązała jesienią czterdziestego piątego. Gdy Paul Véry znowu się pojawił w tym samym roku, najwyraźniej pogodził się z sytuacją (choć przypuszczam, że nie obyło się bez pewnego nacisku) i zaczął pracować dla Kramera. Zdaje się, że miał... jak by tu powiedzieć... dość liberalne podejście do działalności żony. Gdy na wyprzedazy Lemaire'a Kramer ujrzał Baxtera i Byrona, doszedł do wniosku, że należy się ich pozbyć i wyznaczył do tej roboty Paula Véry'ego.

— A bardzo mu w tym dopomógł Richard Byron, dureń, który widząc Loraine na wyprzedzący, zaczął jej okazywać oznaki zainteresowania, co temu wspaniałemu trio znacznie ułatwiło dokonanie pierwszego morderstwa.

— Gdybyś jej nie „poślubił” i nie zabrał do Deepings, wymyśliliby coś innego — sprostował Marsden.

— Pewnie tak — odparł Richard — ale nie można powiedzieć, że nie poszedłem im na rękę. Pewną pociechą jest to, że nigdy nie była moją prawną żoną... To Paul Véry, naturalnie, zabił Tony'ego i ogłuszył Davida. To Paul Véry usiłował zderzyć się z moim samochodem. A gdy nie udała się próba podwójnego morderstwa, zabrali Davida do Francji. Wątpię, czy obmyślili już jakiś plan, ale David bez wątpienia miał być ich kartą atutową.

— Nie bardzo rozumiem dlaczego — odezwał się David.

— Naprawdę? — zdziwił się ojciec. — Loraine dobrze wiedziała, że z własnej woli nigdy się z nią nie zobaczę. Kramerowi zależało, bym się tu zjawił, lecz gdyby ona mnie do tego namawiała, albo bym ją zlekceważył, albo zlecił to mojemu adwokatowi. Ale ty... — niedbale musnął palcem jego policzek. — Nie mogę pozwolić sobie na to, by cię stracić. Jesteś moją ulgą podatkową.

— Skoro mowa o podatkach — wtrąciłam — twoje towarzystwo ubezpieczeniowe...

— O Boże, tak — rzekł Richard. — Dwa samochody w ciągu czterech miesięcy! Wiem. Nieźle się będę musiał napocić, żeby to wszystko wyjaśnić... No, ale tak to wyglądało. Resztę znacie. Zamierzali mnie tu ściągnąć, żeby łatwiej się mnie pozbyć i ich plan mógłby się powieść, gdyby nie przeoczyli dwóch ważnych rzeczy.

— Jakich? — dopytywał się David.

— Po pierwsze, niezależności i humanitarnej postawy angielskiej policji. Nigdy tego nie zapomnimy, Marsden, ani ja, ani David. Jeszcze dzisiaj napiszę do Brooke'a. Na zawsze pozostaniemy waszymi dłużnikami.

Marsden miał bardzo niewyraźną minę; wymamrotał coś, po czym odwrócił się i zaczął wytrząsać popiół z fajki na balustradę między stolikiem i morzem.

— A druga rzecz?
— Sprytne użycie klucza do nakrętek — powiedział i roześmiał się.

— Czego, tato?

— Przypadek, drogi Davidzie, w osobie Charity.

David spojrział na mnie, a ja zarumieniłam się jak idiotka.

— Twój tata przesadza — bąknęłam. — Jediną rzeczą, która miała jakiegokolwiek praktyczne znaczenie, było odnalezienie Rommla, a później i tak omal go nie zabiłam.

— Twoja koncepcja praktycznego znaczenia — rzekł Richard kostycznie — jest poważnie wypaczona, mówiąc najłagodniej. Ten pechowy kundel...

David podskoczył na krześle.

— Kundel? Na pewno nie! Od razu widać, że jest rasowy! Prawda? — Popatrzył na Marsdena, który uśmiechnął się pod wąsem.

— Powiedzmy, że na pewno jest znakomicie wytresowany. Na pewno nie brakuje mu inteligencji.

— Jasne, że nie — mówił z ożywieniem David. — Jak szybko mnie znalazł! Praktycznie jest wyszkolony jak pies policyjny!

— Czy to ma znaczyć, że specjalnie go uczyłeś, by spał na twoim łóżku? — studził jego zapal Richard.

— Policja — zaczął Marsden — w zasadzie...

Lecz David go nie słuchał. Przypatrywał się ojcu z pewną rezerwą.

— Prawdę mówiąc, tak.

— To bardzo dobry zwyczaj — pospieszyłam chłopcu z pomocą. — Przynajmniej... odstrasza myszy.

David rzucił mi pełne wdzięczności spojrzenie, z którym skrzyżował się, skierowany na mnie, wzrok Richarda.

— Ach tak — mruknął. — Zmowa. Spisek przeciw mnie w moim własnym domu. Zdaje się, że dałem się wpuścić...

— Tato! — Oczy Davida zrobiły się całkiem okrągłe. Spojrzął na mnie. — Pani Selborne! Czy wyjdzie pani za tatę?

— Tak — powiedziałam.

David podniósł się.

— Strasznie się cieszę — stwierdził po prostu i pocałował mnie.

Zaczęto mi zadawać pytania, składać gratulacje, a pośród tego całego zgiełku gładki głos *maître d'hôtel* zasugerował Richardowi wprost do ucha: „Szampan dla pana, *monsieur!*” Nic nie uchodzi uwagi personelu Hôtel de la Garde. Po czym pełni ukłonów pikolacy przynieśli kubek iskrzącego się lodu, w którym stała wspaiała butla, cała owinięta złotą folią, Marsden zaś powstał i wygłosił mowę, która dobrze świadczyła o jego krasomówczych talentach. Nie zwracał uwagi na szerokie uśmiechy i wyraźne oznaki zainteresowania gości, siedzących przy innych stolikach — albo też zupełnie się nimi nie przejmował. Za nim igrało błękitne morze, usiane diamentami, a we wzniesionym kieliszku miliony banieczek lśniły i puszczały oczka.

— Jedyne właściwe zakończenie przygody. „A potem żyli długo i szczęśliwie”. Chciałbym wznieść toast: zdrowie Richarda i Charity!

Usiadł wśród burzy oklasków i ogólnego śmiechu.

— Kiedy to ma nastąpić? — zapytał mnie.

Richard wyjął zwitek papieru z kieszeni marynarki.

— Za dziesięć dni — powiedział. — We Francji wcześniej się nie da. Dowiadywałem się dziś rano, gdy uzyskałem zezwolenie.

Tuż nad uchem usłyszałam szept Louise: „Dyktatorskie zapędy”, a potem David zapytał:

— Ale kiedy się to wszystko stało?

Richard uśmiechał się do mnie znad kieliszka szampana, a w oczach igrały mu diabelskie ogniki.

— W zasadzie to się w ogóle nie stało. On mi się w ogóle nie oświadczył.

— Nie oświadczył...

— Wyjdiesz za mnie? — zapytał Richard.

— Tak — odparłam.

David znowu pochwycił kieliszek.

— A więc — powiedział rześkim, praktycznym tonem — to już ustalone, tak? Wszystko w obecności świadków. Teraz już się pani

nie wywinie, pani Selborne. Dopilnuję, żeby dotrzymał słowa. Mogę w związku z tym poprosić jeszcze szampana?

— Wydaje mi się — zauważyłam surowo — że dostałeś już wystarczająco.

Uśmiechnął się do mnie.

— To były bardzo ładne oświadczenia — przyznał. — Bez zbędnych słów i owijania w bawełnę. — Wyciągnął rękę w kierunku butelki.

— Nie — zaproponował stanowczo Richard, podczas gdy ja odsunęłam szampana.

— Spisek! — poskarżył się David. — Zmowa! Widzę, że...

— Mam ogromne doświadczenie — oświadczyłam mu. — I jestem bardzo energiczna.

Richard wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Czy Johnny zawsze się ciebie słuchał?

— Zawsze — odparłam spokojnie.

Louise roześmiała się.

— Któregoś dnia opowiem ci, jak to było naprawdę. — Podniosła się i uśmiechnęła do reszty gości, którzy również wstali. — Dziękuję za lunch i szampana. Nie chcę pozbawiać was wizyty na policji i podobnych rozkoszy. Czy będą potrzebowali Davida? Nie? Więc może spędzi popołudnie ze mną?

— Dzięki — odparł Richard. — Gdyby pies przeszkadzał...

— Przeciwnie — rzekła Louise. — Za żadne skarby nie zostawiłabym psa. Jak myślisz, dokąd mogłabym ich zabrać?

Gdy odwróciliśmy się, by wyjść z restauracji, Richard ujął mnie pod ramię.

— Najczęściej — odparł z powagą — zwiedzanie Marsylii zaczyna się od wycieczki do Chateau d'If.

ROZDZIAŁ XXX

EPILOG

*Płyńmy na Wyspy Szczęśliwe,
Nie na nędzne Kanary, lecz Ambrozjożywe.
(Donne)*

Następnego dnia późne, popołudniowe słońce rzucało ukośne, złote promienie przez gałęzie, tworzące zielone sklepienie nad alejką, którą szliśmy z Richardem. Kolumny platanów tchnęły ciepłem delikatnych arabesk w kolorach srebra, brunatnej żółci i rdzawej czerwieni. Nad naszymi głowami liście, pociemniałe już u schyłku dnia, zakołysały się, poruszone lekkim wiatrem, po czym znieruchomiały.

— Przynajmniej — powiedział Richard — mamy dziewięć dni, by się poznać, nim będzie za późno. Na pewno nie deprymuje cię ten pośpiech?

— Absolutnie nie.

— Pozostawię ci przynajmniej wybór miejsca, w którym spędzimy miodowy miesiąc.

— Złote Wyspy — odparłam.

— Gdzie to jest? Ultima Thule?

— Niezupełnie. To inna nazwa Porquerolles. Wypływa się z Hyères.

— Cudownie. Posiedzimy tam ze dwa tygodnie, a potem może wpadniemy na Korsykę. Dexterowie powiadają, że David może u nich zostać, ile będzie chciał, i możemy go zabrać...

— Och, spójrz, Richardzie! — krzyknęłam.

Przechodziliśmy koło wystawy, gdzie na neutralnym,

słomkowozielonym tle, na małych sztalugach stał jeden jedyny obrazek.

Richard odwrócił się i spojrział na niego. Przystanął.

— Och — wyrzekł tylko, lecz powiedział to takim tonem, jakby doznał objawienia.

Obrazek był nieduży, lecz na nierzucającym się w oczy tle materii kolory lśniły niczym drogie kamienie, położone tak, że dawały efekt wibrowania. Po pewnym czasie można by przysiąc, że chłopiec na obrazku uśmiecha się. Stał na tle ocienionej skały i liści, prosty jak struna, z miną bardzo zadzierzystą.

— To David! — zawołałam.

— Zgadza się — potwierdził Richard. — W ręce trzyma procę. Właśnie wyrusza przeciw Goliatowi i Filistyńczykom.

— Tak wyglądał, gdy go pierwszy raz zobaczyłam — rzekłam i przyjrzałam się twarzy na obrazku, tak młodej, z tą samą determinacją przyjmującej brzemień, zbyt ciężkie na barki chłopca. David, samotny pośród wrogów, stawiał im czoło z taką samą pogodą i spokojem ducha, jakie wyrażała postawa młodego izraelskiego bohatera.

— Mogę go dostać w prezencie ślubnym? — zapytałam.

— Oczywiście. Co za wspaniałe malarstwo! Człowiek, który to namalował, wyrażał swe uczucia każdym pociągnięciem pędzla. Młody Izrael naprzeciw swych wrogów... ciekaw jestem...

Urwał nagle, pochyliwszy się nad wąską, mosiężną tabliczką, przytwierdzoną do dolnej części ramy.

— O co chodzi, Richardzie? — krzyknęłam, widząc wyraz jego twarzy.

— Sama zobacz — odparł.

Spojrzałam przez szlifowane szkło. Z trudem odcyfrowałam napis, wygrawerowany maleńkimi literkami w mosiądzu:

LE JEUNE DAVID

A poniżej nazwisko artysty:

EMMANUEL BERNSTEIN

A więc ta opowieść doszła do punktu wyjścia, do nieszczęsnego żydowskiego malarza, którego śmierć została pomszczona późno, lecz z nawiązką. A w dziesięć dni potem, gdy „Młody David”, starannie zapakowany spoczął na tyle riley’a, wyruszyliśmy na południe, na Złote Wyspy.